

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 5/55

1952



• *«La Culture» • Revue mensuelle •*

J. Serech:

Pokój Nr 101.

Dr A. Gamm:

Pamiętnik szmuglerski.

J. Mieroszewski:

Salto mortale „narodowych interesów”.

ARCHIWUM POLITYCZNE ♦ SPRAWY I TROSKI ♦
KRONIKA UKRAIŃSKA ♦ SPRAWY KRAJOWE ♦ NAJ-
NOWSZA HISTORIA POLSKI ♦ KSIĄŻKI ♦ LISTY DO
REDAKCJI

SPIS RZECZY

Jurij Serech:	<i>Pokój Nr 101</i>	3
Alicja Iwańska:	<i>Dwa uniwersytety</i>	17
Józef Czapski:	<i>„Chcę mieć rację Na naturze”</i>	27
Marian Czuchnowski:	<i>Wieści</i>	33
”	<i>Wieczorny widok. Prządka</i> ..	34
”	<i>Dojarka. Ku latu</i>	35
”	<i>Smaczna</i>	36
”	<i>Spokój. Woda</i>	37
”	<i>Odpoczywająca</i>	38
”	<i>Śniadanie. Mimosy</i>	39
”	<i>Znak</i>	40
”	<i>Ceny</i>	41
Dr A. Gamm:	<i>Pamiętnik szmuglerski</i>	43
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Juliusz Mieroszewski:	<i>Salto mortale „narodowych interesów”</i>	80
Jerzy Prądyński:	<i>Na otwarciu polskiej stacji Free Europe</i>	87
J. Pr.:	<i>List z Berlina</i>	90
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	93
SPRAWY I TROSKI		
Roman Gronowski:	<i>Rok doświadczeń</i>	98
Teresa Skórzewska:	<i>Pięciolecie „beczek”</i>	112
A. J.:	<i>Życie kulturalne Polonii w USA</i> ..	116
KRONIKA UKRAIŃSKA		
Jan Tokarski:	<i>Co nas dzieli?</i>	117
BEO:	<i>Kronika polsko-ukraińska</i>	125
SPRAWY KRAJOWE		
Berlińczyk:	<i>Umowa kulturalna</i>	133
”	<i>Więzienie wrocławskie</i>	134
”	<i>Nastroje wśród robotników</i>	135
NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI		
Mirosław Wierzbicki:	<i>Sprawa Brauweiller</i>	136
„Wacław Trzeci”:	<i>Jeszcze N.S.Z.</i>	140
KSIĄŻKI		
Branko Lazitch:	<i>Lenin, Trocki, Stalin</i>	146
Lon.:	<i>Gospodarka energetyczna Wsch. Europy</i>	152
J. Lerski, A. Polakiewicz, M. Wierzbica, J. Wyssogota-Zakrzewski:	<i>Listy do Redakcji</i>	154

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Maj — Mai

1952

INSTYTUT



LITERACKI

Noty biograficzne autorów

Jurij SERECH. Przed wojną docent na jednym z uniwersytetów Sowieckiej Ukrainy, wykładowca filologii słowiańskiej. Po wojnie profesor Wolnego Uniwersytetu Ukraińskiego w Monachium, bierze udział w emigracyjnym życiu kulturalnym. Obecnie wykłada na uniwersytecie w Lund (Szwecja).

Marian Dominik Benedykt CZUCHNOWSKI, urodzony w r. 1909 w Polnej, ziemia grybowska. Studia prawnicze i filozoficzne na U. J. w Krakowie. Debiutował w r. 1926 w dwutygodniku "Lot" w Nowym Sączu. Wydał osobno: "Poranek Goryczy" (1930), "Kobiety i Konie" (1931), "Reporter Róż" (1932), "Tak" (1933), "Trudny Życiorys" (skonfiskowany, 1934), "Powódź i Śmierć" (skonfiskowany, 1936), "Nowa Kultura" (skonfiskowany, 1934), "Cynk" (1937), "Pieniądz" (1938). W czasopiśmie: "Ksawera" (rękopis i maszynopis zawieruszony w czasie wojny), "Po co się żyje?" (rękopis i maszynopis zawieruszony w czasie wojny). Redaktor naczelny "Nowej Wsi" (1934-1936). Współpraca w czasopiśmie "Głos Narodu", "Ilustrowany Kurier Codzienny", "Czas", "Naprzód", "Robotnik", "Dziennik Ludowy", "Chłopska Prawda", "Sygnały", "Żagary", "Piony", "Po prostu", "Czarno na Białym", "Barykady", "Dźwigary", "Linia", "Kamena", "Okolica Poetów", "Lewar", "Próby", "Gazeta Literacka", "Prom", "Tygodnik Artystów" i td. W latach 1930-1938 aresztowany kilkakrotnie za działalność polityczną w ramach Stronnictwa Ludowego. Jeden z pierwszych zesłańców do Berezki Kartuskiej (1934).

Aresztowany przez Armię Czerwoną w Sanoku, dnia 28 października 1939 przebywał w więzieniach w Lesku, Lwowie, Odessie, Charkowie. W obozach "osobnoje naznaczenie" w Kotlasie, Ust-Wymie, Książ-Pagoście, Uchcie. Zwolniony na "amnestię" w sierpniu 1941, ponownie aresztowany w kilka dni, wychodzi na wolność z końcem grudnia 1941.

Po przebyciu tyfusu plamistego elew Szkoły Podchorążych 6-stój D. P. w Szachrziabs pod Samarkandą. Z armią w Persji, Iraku. Potem redaktor naczelny "Gazety Polskiej" w Jerozolimie (1943). W Londynie od 1944 do 1951. Należał do pierwszych siedmiu ludowców, którzy podpisali ostrzeżenie w sprawie zamierzonego rozbioru Polski w Jaćie. Wydał w Londynie "Z ziemi włoskiej do Polski", "Polish Troops in Italy", "Cofnięty Czas", "Pożegnanie Jeńca", "Z Moskwy do... Moskwy", "Tyfus, teraz słowki", "Pola Minowe", "Rozkupany przez perle".

Przekłady na język rumuński, czeski, angielski, hebrajski.

Przygotowane do druku: "Jutrznia Owadów" (pamiętnik więźnia stanu w ZSSR), "Fiołki z Warszawy", "Pierścień i Zamiec", "Opowiadania z czarnej koronki".

Pokój Nr 101

Na uniwersytetach zachodnich wykład trwa 45 minut, zaś przerwa między wykładami minut piętnaście. W Sowieckach wykład trwa 50 minut, przerwa — zaledwie pięć. Jeśli aula znajduje się na innym piętrze, nie ma sensu opuszczać jej podczas przerwy, bo czasu wystarcza jedynie na zejście na dół i wejście z powrotem. Wraz z końcem dzwonka trzeba już być w auli. Jeden z moich uniwersyteckich kolegów, Rosjanin, powiedział kiedyś, że profesorowie są to «pozwonocznij żywoťnyje», co w przekładzie znaczy — «zwierzęta kręgowce». Kalambur polega na tym, że słowo «pozwonocznij» można równie dobrze wyprowadzać od «pozwonok» — krąg, jak i od «po zwonku» po dzwonku, według dzwonka. Byliśmy zwierzętami, poruszającymi się na dźwięk dzwonka. Inna sprawa, że aby osiągnąć pełną charakterystykę sowieckiego naukowca, raczej należało by go nazwać zwierzęciem bezkręgowym, pozbawionym stosu pa-cierzowego. Może nawet tak pomyśleliśmy, ale żaden tego nie powiedział, bo to stanowiło by już akt polityczny.

Tak czy owak, od połowy trzydziestych lat wykładowcy na sowieckich wyższych uczelniach stali się zwierzętami w podwójnym tego słowa znaczeniu. Obliczono, że system jednego dzwonka, zapowiadającego początek wykładu, jest niewłaściwy, gdyż za każdym razem okrada państwo pracującego ludu o kilka sekund, co w pomnożeniu przez ilość wykładów i wszystkich istniejących w Sowieckach wyższych uczelni, a następnie przez ilość studentów, stwarza olbrzymią nieproduktywną stratę roboczych godzin. W ciągu tego straconego czasu można by wychować dziesiątki tysięcy tak bardzo potrzebnych państwu wykwalifikowanych fachowców, a tym samym system ów jest nie tylko szkodliwy, ale wręcz podpadający pod określenie «szkodnictwa». Wobec tego uchwalono, że początek każdego wykładu mają znajdować dwa dzwonki: na pierwszy — wszyscy studenci powinni znajdować się na swoich miejscach, zaś profesorowie wyruszać w kierunku auli; na drugi — otwierają się drzwi, wchodzi profesor i zaczyna wykladać.

O tym mało się wie, wygląda to na anegdotę, ale tak jest w rzeczywistości. Z natury rzeczy może powstać pytanie: czy system ten stworzono na serio, aby zaoszczędzić czas, czy też miało na celu efekt psychologiczny — przeprowadzić tak daleko idącą reglamentację każdego szczegółu uniwersyteckiego życia,

Imprimé en France

Imprimerie de la S.N.I.E., 32, rue de Ménilmontant — Paris (20)

aby ludzie stale odczuwali, że są tylko kółkami maszyny. Myślę, że raczej to pierwsze, choćby i wydawało się największym nonsensem. Kierownicy Związku Sowieckiego, ze Stalinem na czele, są całkowicie pozbawieni zmysłu humoru. W tym ich siła, choć to samo może stać się w pewnej chwili ich słabością. Nie potrafili tego zrozumieć i wykorzystać ludzie Zachodu. Co prawda, w walce z systemami i ludźmi, pozbawionymi tego poczucia humoru, oni sami również go zatracają. Jako dowód — chociażby żądanie bezwarunkowej kapitulacji, postawione Niemcom w roku 1945. Ale ta sprawa nie należy do tematu.

System dwóch dzwonek, lub — jeśli ktoś chce — symbolika dwóch dzwonek była rozszerzeniem na życie uniwersyteckie wszechzwiązkowych posunięć, mających na celu wzmocnienie dyscypliny pracy. To właśnie wtedy wydano dekrety o sądowej odpowiedzialności za bumelanctwo i spóźnienia w fabrykach i warsztatach, jak również o przywiązaniu do miejsca pracy. Te same rozporządzenia dotyczyły wyższych uczelni. Osobliwością było to, że każdy wykład potraktowano jako pewną, określoną formalnie całość, i tak oto powstał ów dwudzwonkowy system.

Istota sowieckiego systemu polega na tym, że w zasadzie wszystko rozszerza się na wszystkich. Uchwała o ideologicznych odchyleniach w muzyce musi być omówiona nie tylko — to by się rozumiało samo przez się — przez wszystkich muzyków, ale również przez chemików i fizyków, bowiem *wszystko*, co wychodzi z centrali, musi stosować się do wszystkich. Po opublikowaniu artykułów Stalina o językoznawstwie, czasopisma ze wszystkich dziedzin zamieszczały wstępne artykuły redakcyjne: «Archeologia i wystąpienie towarzysza Stalina na temat językoznawstwa», «Geologia i wystąpienie towarzysza Stalina na temat językoznawstwa», «Medycyna i wystąpienie towarzysza Stalina na temat językoznawstwa». Dziwić się temu — znaczy nie rozumieć istoty sowieckiego systemu. Znaczy — patrzeć na niego oczami Orwella.

«1984» Orwella przedstawia historię aresztu i «pokajania» Winstona Smitha, który psychicznie zbuntował się przeciw systemowi panowania Wielkiego Brata. Wszystko razem polega na całkowitym niezrozumieniu sowieckiego systemu. Najpierw Smithowi przyszywają przynależność do antyrządowego spisku. Całkowicie nieprawdopodobne. Aby zostać aresztowanym, wcale nie trzeba czytać zabronionych książek, ani dyktować do ukrytego fonografu przyrzeczeń walki wszelkimi sposobami przeciw systemowi. Potem, w lochach i celach N.K.W.D. — Ministerstwa Miłości — Smitha doprowadzają do pokajania i wewnętrznej bankructwa przy użyciu *indywidualnych* metod. Całkowicie nieprawdopodobne. Metody N.K.W.D. nigdy nie są indywidualne. Od jednostki zależy jedynie, czy podda się ona, i w której fazie tortur. Ale kolejność tortur, a nawet rodzaj oskarżeń są zawsze te same. Najstraszniejszą rzeczą w orwellowskim Ministerstwie Miłości jest pokój numer 101. Jest to pokój pusty,

nie ma w nim niczego stałego. Taki lub inny sposób stosuje się według charakteru jednostki. Ale za każdym razem jest to coś z istniejących rzeczy najgorszego. «Najgorsza rzecz na świecie — filozofuje teoretyk i mistrz od nawracania heretyków, O'Brien — wygląda zawsze inaczej, zawsze zależnie od osoby. Może to być pogrzebanie żywcem, spalenie, utopienie, wbicie na pal, albo pięćdziesiąt innych rodzajów śmierci. Zdarzają się wypadki, że śmierć taka jest rzeczą zupełnie zwyczajną, wcale nie straszną».

Otóż takie rozumowanie stanowi największe nieprawdopodobieństwo. Pokoju nr 101 tego typu nie tylko nie ma, ale i być nie może. Istota systemu w ZSSR, jak i — w znacznie mniej doskonałym kształcie — w dawnej Rosji, polega właśnie na braku indywidualnego podejścia, na traktowaniu wszystkich w sposób mechaniczny, jako istot obojętnych i pozbawionych indywidualności. Gdyby chodziło o literacki obraz tego systemu, znajdziemy go w najpełniejszej postaci w poemacie Tarasa Szewczenki, pt. «Sen». Jest to swoiste *podaj dalej* mordobicia, zainicjowanego z góry.

*Patrzę: car do najstarszego
idzie i po pysku
jak nie trzepnie. A nieborak
oblizal się i młodszego
w brzuch, aż ten odskoczy.
Więc ten znowu następnego
bykiem między oczy.
Więc z kolei ten małego,
a tamten mniejszego;
mniejszy mniejszych...*

Wszystko to są uwagi ogólnego typu, zaś literackie analogie mogą wydać się zbędne; jednakże prowadzą nas one prosto do głównego tematu: polityki Sowietów wobec nauki i naukowców. Może to i paradoks, ale ściśle odpowiadający rzeczywistości: polityki takiej *nie ma*. Istnieje jedynie mechaniczne zastosowanie ogólnopolitycznej linii wobec życia we wszystkich jego objawach. Pewna specyficzność zjawisk w dziedzinie nauki powstaje nie w wyniku jakiejś specjalnej polityki, lecz w wyniku zetknięcia się ogólnego kursu politycznego z materiałem ludzkim, bądź co bądź dość osobliwym.

Nie zawsze jest łatwo dostosować powszechnie przyjętą politykę do uniwersyteckiego życia. Ot, na przykład, choćby spółzawodnictwo socjalistyczne. W fabrykach, warsztatach, kołchozach jego sens jest jasny i zrozumiały. Robotnik ma zwiększać produkcję, dbać o jej jakość i oszczędzać maszyny. Ale na uniwersytecie? Cóż dla profesora oznacza zwrot o «jak najwyższej produkcji»? Większa czy mniejsza ilość studentów i skończonych fachowców od niego nie zależy. Co oznacza dobra jakość? Według jakich konkretnych sprawdzianów oceniać poziom wy-

kładów? «Dbałość o maszyny»? Czyżby miał walczyć o najmniejsze zużycie kredy, lub o zachowanie gładkiej powierzchni tablicy do pisania? Ale każdy wykładowca, profesor czy docent musiał co semestr podpisywać indywidualne zobowiązania na socjalistyczne współzawodnictwo z którymś ze swych kolegów.

Robotnicy w Sowietach nienawidzą «socjalistycznego współzawodnictwa», gdyż zmusza ono do zużywania nadmiaru sił. Pracownicy uniwersyteccy nienawidzą «socjalistycznego współzawodnictwa», bo w tych warunkach nie posiada ono najmniejszego sensu, bo często trzeba łamać głowę, co wypisać na jakimś papierku, aby treść nie wyglądała na kpiny. Ale system nie ma poczucia humoru i co semestr komedia z całą powagą zaczyna się na nowo, organizacja zawodowa oświadcza przy powszechnej owacji, że sto procent wykładowców bierze udział w socjalistycznym wyścigu pracy, po czym odpowiednie dane idą do okręgowych raportów, a stamtąd do stolicy Republik i do Moskwy. Jedyny praktyczny skutek — to poczucie oplucia samego siebie, bo ostatecznie nawet w ZSSR robienie rzeczy nonsensownych przy jednoczesnej świadomości ich bezsensu, równa się samooplucaniu. A zresztą, czyż efekt, wywoływany przez system dwóch dzwonek, nie prowadzi do tego samego? System dwudzwonkowego życia — oto ZSSR. Oto tajemnica autentycznego pokoju nr 101.

To samo stosuje się nie tylko do pozostających na wolności, a raczej, przepraszam, jeszcze nie zaaresztowanych profesorów wyższych uczelni. Identyczne zasady stosowane są również wobec już aresztowanych... Pewien profesor ukraińskiej filologii opowiadał mi, że na badaniu w N.K.W.D. oświadczone mu co następuje: «Wiemy np., żeście przemilczali rewolucyjno-demokratyczną twórczość Szewczenki, natomiast omawiali pozytywnie burżuazyjno-nacjonalistyczną twórczość Pańka Kulisza...» Profesor musiał przyznać się. Cała ironia polegała na tym, że ów filolog nigdy nie wykładał ani o Szewczence ani o Kuliszu. Być może, śledczy pomylił kolejność oskarżeń, przeznaczonych dla profesorów literatury i filologii. Najprawdopodobniej jednak przyjęto *a priori*, że wszyscy, którzy wykładali dyscypliny ukraińskie, musieli być nacjonalistami, zaś wszyscy nacjonałiści musieli chwalić Kulisza i usuwać w cień Szewczenkę, bo tak robił Chwyłowij*).

Tak w tym wypadku, jak i we wszystkich innych, śledczemu wcale nie chodziło o zdanie sobie sprawy z indywidualnych cech badanej osoby. Chodziło wyłącznie o podciągnięcie jej pod jedną ze znanych mu, a przysyłanych z centrali, ogólnych kategorii.

*) Mykoła Chwyłowij, wybitny pisarz ukraiński, przy końcu lat dwudziestych stanął na czele literackiej opozycji na Ukrainie. Nazwisko jego stało się dla bolszewików symbolem nacjonalizmu ukraińskiego. Stąd oskarżenie o «chwyłowizm» należało w owych latach do najcięższych. Sam pisarz skończył samobójstwem. (Przypisek tłumacza).

Następnie człowieka włączano automatycznie w «*podaj dalej*» mordobicia, i wszystko było w porządku.

Często uważa się, — tak uważa i Orwell — że w Sowietach nie ma swobody myślenia. W powieści Orwella śledczy O'Brien żąda od aresztowanego, aby nie tylko uznał, że słusznosc jest po stronie Wielkiego Brata i jego systemu, ale i uwierzył w nią. Trudno o większy absurd. W rzeczywistości, nikogo w ZSSR nie obchodzi, co człowiek myśli, i nikt nie ma zamiaru go przekonywać. System, na którym opiera się sowiecka propaganda pozostanie niezrozumiałą, jeśli będzie się sądziło, że w granicach swego kraju pragnie ona kogoś przekonywać, cokolwiek mu sugerować. Istota polega na tym, aby nauczyć człowieka, co i jak ma mówić. Tylko to jest ważne. Aby człowiek nie milczał i mówił to, co należy. Co on przy tym myśli, to już jego osobista sprawa, nikogo nie obchodząca. To właśnie dlatego, w tym samym czasie, gdy na ulicach leżą trupy zmarłych z głodu, radio krzyczy o szczęśliwym, zamożnym życiu. Właśnie dlatego, gdy niemiecka armia stoi o sześć kilometrów od Kijowa; komunisty Głównego Sztabu mówią o zacieklej walkach «na Zwiahelskim (Nowogród-Wołyńskim) kierunku». Na ulicy, pod własnym oknem, widzicie opuchnięte zwłoki, ale jednocześnie musicie opowiadać o wesołym, zamożnym życiu. Możecie w swoim kijowskim mieszkaniu słyszeć trzask karabinowych wystrzałów, ale znajomemu, który wpadł na chwilę, musicie opowiadać, że, chwala Bogu, Czerwona Armia trzyma Niemców «na Zwiahelskim kierunku» i że noga niemieckiego żołnierza nigdy nie położy w Kijowie. Ale myśleć wolno, co się podoba. Myślenie jest swobodne.

Inna sprawa, czy można stale żyć pod ciężarem podwójnego systemu, czy można stale i każdej konkretnej chwili oddzielić swoją myśl od swoich słów i swego postępowania. Każdej konkretnej chwili, na jawie i we śnie. Bo będzie źle, jeśli ta myśl wyjawia się w słowie, albo w czynie. Ta *wilcza* myśl. A z drugiej strony nie mniej trudne od niewyjawienia swej myśli, ustrzeżenie jej przed wpływem własnych słów i własnych czynów. Tu właśnie i tylko tu zaczyna się wpływ sowieckiej propagandy na duszę człowieka: ta propaganda nie przekonywa człowieka, ale rozłamuje go na połowy, a później — później mimowoli zaczyna się wzajemna rozgrywka tych połówek. Z praktyki przesłuchiwania więźniów w sowieckich więzieniach powstał charakterystyczny zwrot-określenie: «razkałoiśia» — rozłamał się, *rozszczepił się*. Rozszczepił się — to znaczy, przyznał się do wszystkiego, czego żądał śledczy, obojętnie, czy to odpowiadało rzeczywistości, czy nie. Ten charakterystyczny zwrot sięga głębiej, niżby mogło się wydawać: obejmuje on nie tylko więźniów, ale i «wolnych» obywateli.

W największym jednak stopniu dotyczy on naukowców, a to z tej prostej przyczyny, że ich praca wymaga wyjawienia poprzez słowo. Od robotnika, od kołchoźnika żąda się przede wszystkim pracy, ręcznej, fizycznej pracy. Oni również muszą

mówić, ale tylko na zebraniach, wiecach, na godzinach politycznego wychowania — jest tego sporo, ale bądź co bądź w ciągu ośmiu godzin pracy mogą oni milczeć, jak również w ciągu ośmiu godzin snu. Czas, w ciągu którego musi mówić naukowiec, jest znacznie większy, jak również większa odpowiedzialność. Stąd większa ilość załamujących się. Ale, pamiętam, pewien stary profesor, który dojrzał jeszcze przed rewolucją, mówił mi tak: «Jeśli zajmą dobrze wykształcić, to nauczy się nawet zapalaki zapalać». Historia sowieckiego naukowca w latach 1917-37 — to właśnie historia tych zajęczych studiów. Zwłaszcza ciężko przychodziła ta nauka poza Rosją, bo w Ukrainie na przykład, do programu należało nie tylko wyrzeczenie się siebie jako osobowości, ale również i jako członka narodu, czego nikt nie żądał w Moskwie czy Leningradzie. To, z czego wyśmiewał się Turgieniew: «Niektóre zuchy nawet rosyjską naukę wynaleźli; u nas, powiadają, dwa razy dwa — także cztery, ale wychodzi jakoś z większym fasonem» — musieli z największą siłą wyrażać przedstawicieli nie rosyjskich i wrogich Rosji narodów. Ale fakt faktem: wszyscy współcześni naukowcy przeszli przez zajęcze studia. Wszyscy oni nauczyli się zapalać zapalaki, jak tego żądali od nich trenerzy.

Nie, nie zamierzam rzucać w nich kamieniem. Niech to uczyni, kto sam jest bez grzechu. Nie wiem, kto został ukarany ciężej: ci, co wyrzekli się zajęczych studiów, co nie chcieli upokorzyć się i pokutują w dalekich obozach, czy też ci, co dzisiaj należą do uprzywilejowanej klasy, otrzymali odznaczenia, a nawet mają prawo do osobnego pokoju we własnym mieszkaniu. W kalamburze o «pozwonocznym żywotnym» tkwi podwójna prawda: nie tylko o mustrze przy pomocy dzwonek, ale i to drugie: «żywotnyje» — *zwierzęta*. To właśnie nic innego, jak tylko przekształcenie człowieka w zwierzę, całkowita *dezindywidualizacja*. Ale być zwierzęciem, które myśli, a więc zdaje sobie sprawę, że jest zwierzęciem, a jednocześnie ma świadomość, że nie może nie być zwierzęciem!.. O tak, łatwo rzucić kamieniem, ale warto pomyśleć, zanim się to uczyni...

Historia zajęczych studiów naukowców sowieckiej Ukrainy — oto temat na całą księgę. Dzielą się one na kilka etapów, na kilka klas. Na początku ludzie sami nie dostrzegali, że ich posiadano na szkolnej ławie, myśleli, że wciąż jeszcze są wolni.

To były lata dwudzieste. Ukraina wydawała się ukraińską, ukraińska nauka szła naprzód według praw swego własnego rozwoju. Na nowo, po upadku w XVIII w., rozbudowana przez wielkie jednostki, poczynając od połowy XIX stulecia, weszła w nasz wiek naukowymi szkołami, fakt decydujący dla samego istnienia nauki w ogóle. To w nich, w tych szkołach, nagromadzone doświadczenie pokoleń i tradycja przekazywana uczniom przez nauczycieli zapewniają powodzenie buntom i rewolucjom, podnoszonym przez uczniów przeciw nauczycielom. Przypomnę dla przykładu szkołę A. Antonowicza - M. Hruszewskiego w historii, Potebni w językoznawstwie, Peretza w historii literatury,

Miecznikowa w medycynie... Tak powstały realne podstawy do nadania naukowemu ruchowi wyższej formy, jaką jest Akademia Naukowa. A chociaż polityczne okoliczności opóźniały jej powstanie, to gdy rewolucja zmiotła zewnętrzne przeszkody, gdy w Kijowie w dniu 14 listopada 1918 roku nastąpiło otwarcie Ukraińskiej Akademii Naukowej, było to, przy całej niedostateczności czasu na organizację, zjawisko uzasadnione i słusne.

Dojrzałość i poziom prawdziwej nauki wyraża się przede wszystkim jej obiektywizmem, oraz tym, że rozwija się ona według własnej logiki, niezależnie od praktycznych czy politycznych zadań, jakie zawsze jej gotowa narzucać praktyka chwili bieżącej. Nauka ukraińska owego okresu wykazała jasno swą całkowitą suwerenność. Oczywiście, były objawy prowincjonalizmu, nie brakowało walki z wiatrakami, jak na przykład, udowadnianie, że Ukraińcy są narodem, albo, że stanowią naród przodujący w Słowiańszczyźnie, że są oni jedynymi prawowitymi spadkobiercami Pra-Słowian, że żadni Germanowie — Gotowie, czy Waregowie — nie odegrali żadnej roli w historii ukraińskiego narodu, że ukraiński język jest najdzwięczniejszy w świecie, i tak dalej, i tak dalej. Nie ma zresztą potrzeby podawać polskiemu czytelnikowi takich przykładów, boć dla nich analogii nie brak i w historii polskiej nauki. Natomiast warto podkreślić, że w owych latach objawy takie grają rolę drugorzędną i nie wyznaczają kierunku w rozwoju prawdziwej nauki, ogarniętej patosem potwierdzenia narodowego bytu poprzez obiektywne poznanie prawdy, a nie przez dowolność w jej naświetlaniu.

Ograniczę się do jednego przykładu — z dziedziny językoznawstwa. W. Hancow i O. Kuryłow wystąpili z nowym poglądem na genezę ukraińskiego języka. W przeciwieństwie do starych teorii o pierworodnym, prasłowiańskim pochodzeniu i absolutnej słowiańskiej czystości ukraińskiego języka, doszli oni do wniosku, że właśnie nie jest on pierworodny, gdyż powstał z połączenia się dwóch pierwotnie odmiennych dialektycznych grup, z których pierwsza znajdowała się blisko języka białoruskiego, a druga prawdopodobnie polskiego (ciekawe, że te poglądy najenergiczniej zbijał polski uczyony W. Kuraszkiewicz). Nie chodzi mi tu o miarę słuszności tych poglądów — przytaczam je jako ilustrację niezależności ukraińskiej nauki owych lat od dyktanda polityczno-patriotycznego, jako ilustrację jej suwerenności, oczywiście, w objawach na wyższym szczeblu, ale też one decydowały i nadawały kierunek w tym okresie.

Również i tematycznie nauka ukraińska wychodzi daleko poza granice problemów ukraińskich, obejmując swym zainteresowaniem, głównie w dyscyplinach humanistycznych, zarówno Zachód (specjalna seria «Zbirnyky zachodoznawstwa»), jak i Wschód: Iran, Arabię, Turcję, kraje, budzące zainteresowanie w związku z hasłami Chwyłowego, który w nich szukał «towarzyszy wspólnego losu», i z realną oceną tego samego zagrożenia przez Rosję.

Ukraińska Akademia Naukowa powstała przed opanowaniem Ukrainy przez Sowiety, potem zaś nie korzystała z żadnej ich pomocy. Pamiętniki pracowników Akademii mówią o pracy w ciasnych, nieopalanых pokojach, o na wespół głodnym istnieniu, o braku środków na najprymitywniejsze potrzeby osobiste i naukowe, o zaciekłości w pracy, o entuzjazmie i płonących oczach, o powstawaniu wielkich bibliotek i muzeów, o przygotowaniu do druku setek naukowych prac, i to we wszystkich dziedzinach od arabistyki do oftalmologii, od teorii oporu materiałów do numizmatyki i etnografii.

Działalność Akademii sięga szczytu w latach 1927-29, i już wówczas gromadzi się przesłanki, z których wyniknie jej późniejszy pogrom. Aby rozbić Akademię, potrzeba było, najpierw przygotować kadry, które by mogły przeprowadzić, oraz opanować jej kierownictwo. To drugie było najłatwiejsze, gdyż wystarczyło przeprowadzić «wybory» nowych akademików spośród osób, dalekich od nauki, ale bliskich komunistycznej partii. Marszałek Rokossowski użyty został po raz pierwszy nie w Warszawie, ani w polskim wojsku. Ukraińska Akademia Naukowa wcześniej miała swego Rokossowskiego, czy też swoich Rokossowskich.

Rozumie się samo przez się, że — jak zwykle w takich wypadkach — polityka ta pozorowana była pomocą udzielaną Akademii. Staje się ona instytucją oficjalną, otrzymuje nowe, pierwszorzędne budynki, jej budżet wzrasta dziesięciokrotnie. Terror w Sowieciech jest nieodłączny od przekupstwa, medal ma dwie strony, a stare powiedzenie o darach Danajów potwierdza się raz po raz.

Jeśli chodzi o «swoje», «pewne» komunistyczne kadry naukowe, również i one były przygotowane mniej więcej na koniec dwudziestych lat. Wychowano je w aulach dawnych uniwersytetów, które najpierw nosiły nazwę Wolnych Akademii, a następnie INO — Instytutów Ludowej Oświaty.

Uniwersytety starego typu były dla nowej władzy zjawiskiem niezrozumiałym i wrogim. Teologia? Sanskryt? Gramatyka porównawcza? Po co to wszystko? Studenci — toż to byli po prostu białorączki, stroniący od fizycznej pracy. Dyplomy, egzaminy — chwytły, stosowane przez burżuazję dla utrzymania swej władzy. Otwórzmy drzwi tych instytucji dla wszystkich, niech spokojne audytoria zaludnią robotnicy i chłopi i niech wniosą tam życie, rzecz prosta, nowe życie, bowiem wszystko było albo miało być nowe. Jeśli nie rozumieją profesorskich wykładów, to nie ich wina, dość pustej gadaniny o jakimś tam przygotowaniu, niech profesorowie przystosują się do nowego audytorium, a jeśli nie, mamy na to sposoby czerwonego terroru!

Wolne Akademeie trwały krótko, zaledwie rok-dwa w romantycznym okresie rewolucji. Nonsens był tak oczywisty, że szybko zastąpiono je Instytutami Ludowej Oświaty, w których wszystko podporządkowano praktycznemu zadaniu przygotowania kadry nauczycielskiej. A że profesorom nie można było zaufać,

wykłady praktycznie skasowano, zapanowały «metody laboratoryjne»: studenci otrzymywali tematy, opracowywali je w Instytucie (w żadnym wypadku w domu) w godzinach z góry wyznaczonych, po czym odczytywali swe prace na zebraniach odczytowych. Rola profesora sprowadzała się do odpowiedzi na pytania, dotyczące rzeczy niejasnych, i do reasumowania. Słuchaczy ostro przesiewano według politycznego klucza, zgodnie z rekomendacją związków zawodowych; kandydatów na naukowców polecały ośrodki partyjne. Profesorów trzeba było wykorzystywać, ale im nie dowierzano i nie polegano na nich.

Już to samo stanowiło szkołę dla profesorów, było wstępną klasą ich studiów na dojrzałość. Decydującą osobą w wyższych szkołach był nie profesor, lecz student. Los profesora zależał od nastawienia studiujących. Zaś studenci byli w swej masie zupełnie inni, niż dotychczas, nie rozumieli profesorów i ustosunkowywali się do nich z podejrzliwością, jeśli nie z nienawiścią. (Burżuazyjną inteligencję — powiedział Lenin — należy wykorzystywać; wykorzystywać — znaczy: po wykorzystaniu odrzucić). Między sobą profesorowie jeszcze opowiadali anegdoty o tępocie własnych studentów, ale ziarna strachu już były posiane w ich duszach. Co prawda, w owych latach lęk i kontrola osób niewykwalifikowanych i niekompetentnych dotyczyły tylko pracy wykładowczej, a nie ściśle naukowej. Ale nowi, «proletariacy» naukowcy wychowywani byli ostatecznie w tym celu, by dojsz do słowa i w dziedzinie naukowo-badawczej. Wstępna klasa musiała się skończyć i zacząć pierwsza.

I oto tych «proletariackich naukowców» wypuszczono przeciw starszym uczonym na pograniczu dwudziestych i trzydziestych lat. To była pierwsza klasa zajęczych studiów pod hasłem: czystość marxo-leninowskiej ideologii w nauce. Metoda: zestawienie prac każdego naukowca z cytatami z klasyków marksizmu. Najohydniejsze było to, że nikt nie śmiał zachować milczenia. Przemawiać na «zebraniach poświęconych samokrytycyzmowi» musieli wszyscy uczestnicy, a ponadto wszyscy przyjaciele krytykowanego. Następnie on sam. Przycznać się do błędów — to było za mało; żądano «pokazania ich metodologicznych korzeni», a to znaczyło publicznie określić samego siebie agentem burżuazji w nauce, mimowolnym szkodnikiem, oświadczyć, że wszystkie dawne prace nie mają żadnej naukowej wartości, obiecać uroczyście «przebudowę» samego siebie. Ale, nie, krytyka była zawsze niedostateczna, wczorajsi uczniowie nadal występowali z groźnymi oskarżeniami, mechanizm, raz puszczony w ruch, kręcił się dalej. Prasa drukowała nowe odkrycia, po nocach przychodzili do domu enkawudyści, uczeni znikali bez śladu jeden za drugim, ich krewnych wyrzucano z posad i mieszkai, krytyka trwała nieustannie, bez przerwy. Nikt nie śmiał milczeć, milczenie było gorsze, niż otwarte wystąpienia przeciw systemowi, a w każdym razie nie lepsze.

Oskarżenia były najczęściej prymitywnie niepiśmienne. Czasopismo CK. ukraińskiej Kompartii, «Komunista», zarzucił pew-

nemu filologowi ukraiński nacjonalizm na tej podstawie, iż filolog odważył się napisać, że północno-ukraińskie dyftongi są innego pochodzenia niż rzymskie w Rosji. Jak śmie powstać na Ukrainie coś odmiennego niż w Rosji? Oskarżenie było humorystyczne: każdy uczeń filologii wie, że owe dyftongi istotnie są innego pochodzenia, i każdy normalny człowiek widzi jasno, że w takim stwierdzeniu nie ma ani krzty ukraińskiego nacjonalizmu. Ale na takim mniej więcej poziomie były wszystkie oskarżenia i największy może dramat naukowców polegał na tym, że *właśnie takie oskarżenia* trzeba było uznawać za słuszne i kajać się. Ludzi, którzy wierzyli w naukę, zaczęto uczyć, że żadnej obiektywnej nauki nie ma, a są jedynie dyrektywy z centrali i one zawsze mają rację. Dziś zbiera się na śmiech, gdy się czyta na nowo stenogramy z «samokrytycznych» zebrań uczonych tego okresu, albo literackie utwory, przedstawiające ów proces: «Kadry» Iwana Mykytenki, sztuka teatralna, w której jakiś parobas krytykuje profesorów ze stanowiska «zdrowego proletariackiego rozumu», albo «Strach» Afinogenowa, dramat o nieprzypadkowo charakterystycznym tytule. Ale wówczas wcale było nie do śmiechu i niejeden stracił się wtedy dla nauki, stając się człowiekiem psychicznie nienormalnym, alkoholikiem, schizofrenikiem. Bowiem nie lekko *pozwolić* opluwać się i prowadzić na Golgotę, ale jeszcze ciężiej opluwać samego siebie i prowadzić na Golgotę swych własnych przyjaciół i ukochanych nauczycieli.

Gdzieś koło 1933 roku praca była zakończona. Młody narybek sowieckich naukowców zajmował wszystkie kierownicze stanowiska, zaś starzy, którzy jeszcze zostali, trzymali się przy nich w roli doradców, opanowanych ciągłym strachem, doradców, rzadko zapytanych o ich opinię, a jeszcze mniej słuchanych, przy czym stale im dawano do zrozumienia, że uchowali się przez jakieś nieporozumienie, ale — rzecz prosta — nie na długo. Były to lata największego upadku nauki w Sowietach. Szybko dojrzała wychowankowie na praktycyzm nastawionych wyższych uczelni sowieckich niczego nie umieli, robili lekkie kariery, nauka ich nie obchodziła, karierę zrobili, kierownicze stanowiska obsiedli, teraz trzeba było jedynie pilnować, żeby nie wypaść z ram ortodoksji.

Dziw dziwów: sowiecka literatura odbiła w sobie ten stan i te procesy. Takim zwierciadłem stała się sztuka Iwana Mykytenki, «Solo na flecie». Historia karierowicza w naukowo-badawczym instytucie. Nie musi on uczyć się, musi zorientować się, gdzie są słabe struny wybitnego komunisty, od którego zależy jego kariera, musi sam na sam grać na tych strunach, i tak oto powstaje owe «solo na flecie», istniejące tylko dla dwóch osób i otwierające szeroką drogę mistrzowi tego muzycznego rodzaju. Sztuka przez jakieś nieporozumienie trafiła nawet na scenę, wywołała olbrzymi skandal i po kilku wieczorach została zdjęta z afisza i zabroniona, zaś gwiazda «proletariackiego dramaturga» i stałego dostawcy sztuk na temat ostatnich uchwał

partyjnych zaczęła szybko zachodzić. Ale sztuka została jako jaskrawy dokument epoki, w której naukowcom narzucali swe rzady parweniusze i karierowicze.

Ponieważ jednak ich nieporadność dorównywała karierowiczostwu, taki stan rzeczy nie mógł trwać długo; trzeba się było do nich zabrać, jeśli nauka miała jako tako rozwijać się, tym bardziej, że zajęce nauczyły się już obchodzić z zapałkami. Rok 1937 zniósł ich prawie wszystkich; swoje zadanie spełnili, więc nie byli już więcej potrzebni, a że w sowieckim systemie nie istnieje zwykłe odsunięcie człowieka od pracy, musi on zniknąć, więc znikli i oni, te kilkudniowe kalify.

Wówczas na Ukrainie odnowiono uniwersytety, wówczas proklamowano zaufanie do starych, ocalałych naukowców, zaczęto im sprzyjać, przekupując nagrodami, premiami, orderami, życiowymi przywilejami. Już nie potrzeba było nadzwyczajnych zachodów, by utrzymać ich w pokorze. Wystarczyły *pracownicze narady*, na których każdy mógł krytykować i demaskować, denuncjatorskie notatki w uniwersyteckiej prasie i ściennych gazetkach, niezapowiedziane wizyty na wykładach kontrolerów-dziekanów (w Sowietach dziekani nie są wybierani, ale mianowani), nasyłanie na wykłady stenografistek, co pociągało za sobą omawianie wykładu — czy był dostatecznie ortodoksyjny i czy odpowiada programom — a trzeba dodać, że wszystkie programy przychodzą z moskiewskiej centrali. Ideologiczne odchylenia zdarzały się rzadko, naukowcy lękali się może jeszcze bardziej, niż sami kontrolerzy, i dobrze pilnowali się. Zapałki płonęły dokładnie według programu i planu. Nauka rozwijała się według planu, służąc reżimowi i ze strachu i z przekonania. Niech żyje towarzysz Stalin, największy uczonej Sowietki Związku i całego świata! Niech żyje wielka nauka rosyjska!

Nie, żadnego indywidualnego podejścia do naukowców w Sowietach nie było. Nie było pokoju 101, gdzie każdy otrzymuje *własną* karę i reedukację dostosowaną do jego charakteru. Nie dążono do tego, by ludzie nie myśleli. Był standard metod, skierowanych ku temu, by ludzie zrozumieli, co każdej chwili trzeba mówić i jak zachować się. To wystarczało. Pokojem nr 101 był cały Związek Sowietki, wszystko było dla wszystkich takie same, i właśnie to było najstraszniejsze.

Lecz element zwycięstwa nad systemem, element przyszłego wyjścia z obecnego stanu polegał właśnie na tym, że jednak zniszczyć indywidualności do reszty nie udało się. W życiu społecznym decydują nie tylko wartości absolutne, lecz i system wzajemnego stosunku tych wartości. System zmusił uczonych do przyjęcia jego wartości absolutnych, ale nie dał rady — i żaden system na świecie nigdy rady nie da — by narzucił swój stosunek wartości. Okazało się, że profesorowie mogą cytować Lenina i Stalina i mówić ściśle według programu, narzuconego z Moskwy, a przecież zostają jakieś imponderabilia, rozumiały same przez się, jakich nie zanotuje żaden stenogram i nie potrafi skrytykować żaden dziekan, ale odczuje je każdy student. Okazało się, że

w granicach oficjalnie wymaganego zespołu zdań istnieją jakieś niuanse, nie poddające się określeniu, ale wyraźnie świadczące o uczciwości lub nieuczciwości profesora, jego indywidualności lub braku indywidualności (ślimakowatości). Okazało się, że studenci rozumieją to podświadomie i na tym rośnie osobisty autorytet jednych profesorów, pogarda wobec ślimakowatości drugich. Odcienie za każdym razem są inne. Tego roku wystarcza cytata ze Stalina i trzy zdania przeciw «burżuazyjnym nacjonalistom». Jeśli się ich nie wygłosi, wywołuje się podejrzenia i studenci nie uwierzą profesorowi — co więcej, pomyślą, że zachowuje się tak, aby wypróbować ich pilność, że to jest dla nich niebezpieczne i że trzeba zabezpieczyć się. Jeśli profesor przeholuje, to oznacza chęć podlizania się, podłość, brak osobowości, i studenci będą pogardzać takim profesorem. Ale w następnym roku proporcja może ulec zmianie. Nikt ich nie wyznacza, nikt nie potrafiłby ich sformułować, ale istnieją, każdy je odczuwa, są w powietrzu, stanowią same życie.

Oto słowa Goethego:

*Es ist doch lange hergebracht,
das in der grossen Welt
man kleine Welte macht* *).

Te maleńkie światy, zabarykadowane od zewnątrz i pomalowane na kolor ochronny — oto ratunek sowieckiego człowieka. W nich przechowuje się narodowe, w nich przechowuje się — indywidualne. Nic w tym dziwnego. Dziwne jest to, że te zamknięte w sobie, małe światy, nie mając najmniejszej możliwości zetknięcia się, porozumienia ze sobą, jednocześnie odczuwają się wzajemnie, żyją nie tylko samymi sobą, ale w zespole, porozumiewają się językiem podświadomości, i że odbywają się w nich równoległe zjawiska. Imponderabilia, jakich nie pojmie postronny obserwator — całe życie buduje się na nich. I dzięki nim, a wbrew oficjalnemu planowaniu, wbrew oficjalnej frazeologii, wbrew oficjalnym zachętom, przywilejom i nagrodom, nauka w Sowietach mimo wszystko rozwija się, chociaż z ogromnymi zahamowaniami, i niekiedy z kupy urzędowego motochu wybliskują światła prawdziwych naukowych osiągnięć i autentycznego patosu naukowych odkryć. Nie tylko w technice i medycynie, ale nawet w humanistyce. Niezaprzeczalne osiągnięcia sowieckiej archeologii, nawet sowieckiego językoznawstwa, choć tyle dziedzin po prostu zamknięto przed badaczem, zwłaszcza gdy chodzi o wszystko, co ma związek z życiem narodów ZSSR, wyjąwszy Rosjan i ich prawdziwe czy symulowane wpływy. Inną dziką przeszkodę stanowi zakaz nawet wspominania uczonych, na których spadły represje — a są ich tysiące! —

*) Jest to stara prawda, że w wielkim świecie można tworzyć małe światy.

co uniemożliwia ciągłość i wreszcie uczciwość, gdyż mimowoli zdarza się przypisywane samemu sobie odkryć poczynionych przez tamtych.

Nie chcę przez to powiedzieć, że uczeni w Związku Sowieckim trwają w swych maleńkich, wewnętrznych światach, w niewyczuwalnym, ale realnym sojuszu tych światów, w świadomej, przemyślanej opozycji wobec sowieckiego systemu. Byłoby to zbyt wielkim uproszczeniem. Zbyt zrosli się oni z tym systemem. Zbyt długo ich uczono zapalać zapaliki według moskiewskich programów. Są dostatecznie uprzywilejowani i nagradzani. Od dawna i mocno odgradzono ich od życia, również i od naukowego życia na Zachodzie; wątpliwe, czy poczuliby się tam jak u siebie w domu, to wymagało by reedukacji na wielką skalę. Niewola ma swoje słodczyce, zaś uniwersalność metod pokoju nr 101, obejmującego obszary od Wysp Kurylewskich do Łaby, imponuje jednostkom właśnie swą powszechnością. Nie, wśród naukowców w ZSSR niewiele jest świadomych i konsekwentnych, programowych wrogów systemu. Rozkład, tym systemem spowodowany, sięgnął w nich głębiej, niż wśród innych grup ludności. Jest ich więcej, rzecz prosta, wśród uczonych nie-Rosjan, z racji związania ze swą narodową kulturą, ale to nie znaczy, by stanowili większość.

To może najważniejsze, że w Związku Sowieckim nie ma się prawa na zachowanie godności uczonego, że uczeni każdej chwili muszą się oglądać, czy na jedno machnięcie ręki niepiśmiennego partyjnika nie trzeba będzie odwołać swęj koncepcji, że na rozkaz powinni powtarzać każdą bzdurę ogłoszoną przez Stalina, jak na przykład twierdzenie, że literacki język rosyjski rozwinął się z gwary kursko-orłowskiej, chociaż wszystkim wiadomo, że powstał on z gwary moskiewskiej. Toteż w dziełach uczonych sowieckich znaleźć można oświadczenie, że pokrewieństwo języków słowiańskich odkrył... genialny Stalin. To nie żart, takie twierdzenie wydrukowano na str. 208 książki W. Mawrodina, «Powstanie państwa rosyjskiego», wydanej w 1951 r. przez Leningradzki Państwowy Uniwersytet imienia Żdanowa (też kpiny: dlaczego imienia Żdanowa, skoro ten nigdy nie miał nic wspólnego z nauką?). Uczony, pozbyty szacunku do siebie samego, a przede wszystkim szacunku dla nauki — czyż może być prawdziwym uczonym?

Jednakże w uniwersalnym pokoju nr 101 najsilniejsza opozycja polega właśnie na zachowaniu swego własnego małego świata. Może to być jakaś myśl, jakieś uczucie, nawet małe uczucie, ale *własne*, ale niezależne od systemu. Tu Orwell miał rację, gdy napisał: «Jeśli kochacie kogoś, kochacie *jego*, i jeśli nie możecie niczego mu ofiarować, dajecie mu swoją miłość». Przenieśmy to ze sfery osobistych uczuć w sferę twórczości — bo nauka to przede wszystkim twórczość — a przekonamy się, że zachowanie niepodległości w swoim małym świecie znaczy — pozostanie człowiekiem, uratowanie się przed całkowitą zamianą na «pozwonoczoje» zwierzę. Tylko, że zbyt boli zakaz

poruszania tylu ciekawych tematów, zakaz cytowania «wrogów ludu», a obecnie również zachodnich uczonych.

Prosta to i powszechnie znana prawda: nie ma zawsze jednokowego człowieka. Nie ma człowieka, który zawsze byłby tylko bohaterem. Albo zawsze tylko tchórzem. Człowiek — to *indywidualna* odpowiedź w czasie na głos życia i otoczenia. Człowieka można przemienić w zająca. Zająca można nauczyć pocierać zapalki. Jeśli ten zając zachowuje w sobie choćby najmniejszy, samodzielny ludzki świat, jeśli istnieje irracjonalny związek tych światów, pewnego pięknego dnia zając może podpalić swą zapalką wspaniałą budowę sowieckiego pokoju nr 101. Nieprawdaż, że to będzie niezwykle efektowny pożar?

Jurij SERECH.

Przełożył z ukraińskiego Józef ŁOBODOWSKI

„ŚWIATŁO”

Kwartalnik poświęcony sprawom społecznym, gospodarczym i politycznym życia polskiego w Kraju i na emigracji pod dyrekcją Zygmunta Zaremby.

Adres: 5, rue d'Alsace — PARIS (10^e)

Cena zeszytu — 50 frs Rocznice — 200 frs.

Dwa Uniwersytety

(Columbia University — New York; The University of Chicago — Chicago).

Gdy mianowano Eisenhowera prezydentem Columbii, wszyscy opowiadali, że to tylko na krótko, że z Pagórków Po Stronie Poranka¹⁾ tym razem droga prowadzi prosto do Białego Domu. O Białym Domu dla "Ike" mówi się teraz jeszcze więcej niż trzy lata temu. Tylko, że droga skrzyła. Na wielkim zakręcie jest Europa. I co jeszcze? O tym się mówi dużo i nie tylko na Columbii.

Tak zwana "instalacja" Eisenhowera jako prezydenta Columbii była wedle "New Yorkera", "uroczysta jak koronacja, dobrze zorganizowana jak inwazja i ponura jak pogrzeb". I rzeczywiście... pochod setek przedstawicieli uniwersytetów europejskich i amerykańskich w średniowiecznych togach, wyglądał uroczysto i ponuro. Nie ponuro i nie uroczysto wyglądał tylko sam Eisenhower. I to co mówił nie było również uroczyste. Było eleganckie. Patriotyczne. Proste. Na miejscu. Tak... ale jeśli chodzi o treść było to przede wszystkim nijakie... Nikt go zresztą nie krytykował. Podkreślało się raczej, że to jednak bardzo dobrze dla Columbii "mieć" chociaż przez krótki okres czasu takiego prezydenta. I mówiło się o przeszłości Ike... i o przyszłości. Stawiano kwiaty koło jego portretów — opowiadano dowcipy z wojny i zastanawiano się kto będzie jego następcą.

Wpływu Eisenhowera na Columbię nie czuło się zupełnie. Był on jak druga chorągiew, zatknięta obok niebieskiej chorągwi columbijskiej na okrągłym, ocementowanym i okolumnionym gmachu Administracji. Gmach Administracji to jakby królewski pałac Columbii. Administracja jest w ogóle bardzo ważnym składnikiem uniwersytetów amerykańskich. Gmach Administracji stoi pośrodku columbijskiego kampusu²⁾. Przed gmachem purytańsko dostojna, brzydka i wielka Alma Mater. Między nią a gmachem Administracji ważne, płaskie, liczne cemen-

1) Morningside Heights — wzgórze na którym stoją gmachy Columbii.

2) Campusem nazywa się tu terytorium uniwersyteckie. Uniwersytety amerykańskie budowane są zwykle w ten sposób, że wszystkie budynki znajdują się blisko siebie, a między nimi drzewa i trawniki, po których wolno chodzić.

towe schody. Na tych schodach właśnie, w pobliżu Alma Mater "koronowany" był Eisenhower.

Między Alma Mater a Biblioteką Uniwersytecką jest wielki sportowy stadion, na którym młodzi chłopcy grają w football i w baseball, narciową, niemal świętą grę amerykańską. Twarde piłki, stalowe kaski, kolcrowe bluzy, ogromne dziwaczne, skórzane rękawice. Baseballowe i footballowe stypendia są podobno jednymi z najlepszych — dobrzy gracze odbywają studia za darmo. Na bibliotece wyryte imiona Arystotelesa, Platona, Vergilego, a w środku wielki barwny bohomas: Jerzy VI otrzymuje honorowy doktorat Columbii — naokoło grono dostojnych gości. Pod bohomazem, na marmurowej poręczy fotografia bohomazu z numerkami dostojnych gości i dokładnymi objaśnieniami. To wszystko na 1-ym (czyli po amerykańsku na 3-im piętrze). A na parterze (czyli na drugim piętrze) — inny zapierający dech bohomas. Jest to Minerwa czy coś w tym rodzaju, wielkości czterech dużych kobiet, bardzo wspaniała, oblepiona wypukłym złotem, z oczami jak Greta Garbo i w szacie jak Matka Boska. Z rąk Minerwy wylewa się złota kula, ze złotej kuli wystrzela dymek, z dymku robi się złoty amorek, z ręki amorka tryskają promienie w kierunku dalekiego okna. Przez okno widać New York: kilka bardzo wyraźnie narysowanych drapaczy chmur. Nie podobna zapamiętać wszystkich szczegółów tej "wspaniałej" kompozycji. Amerykanie zwiedzający Columbię stają olśnieni przed Minerwą i mówią, że jest piękna i o tym, że Columbia ma 40 tysięcy studentów i największą bibliotekę na świecie¹).

Amerykanie mają ogromne poczucie autorytetu nauki.. i cząsami nawet poczucie autorytetu sztuki, o ile sztuka ta jest odpowiednio podana. Bohomas podany został dobrze.

Podawanie sztuki studentom jest znacznie bardziej skomplikowane. Przeciwno bohomazom wprawdzie nie protestują, skoro już są i w dodatku tak mocno wgrzyzione w ściany dostojnego gmachu. Nie powiesiliby jednak u siebie czegoś takiego. Obrazy w pokojach nowojorskich studentów są zwykle dobre, ale zaskakująco jednolite. Wygląda to tak, jakby się wszyscy umówili: tylko dwa Picasso, właśnie te a nie inne, tylko trzy obrazy Modiglianiego i wszędzie te same dwa obrazy Rouault. Obrazy podane zostały jako najslawniejsze przez Muzeum Sztuki Współczesnej, przez "Life", przez niedzielny "New York Times".

Naukę podawać jest łatwiej. Nauka bowiem bardziej skojarzona z postępem, a postęp to obowiązki moralny. Tym się tłumaczy zapewne tak łatwe i wielkie powodzenie w Ameryce najróżniejszych technik psychologicznych i socjologicznych. Uczciwe odpowiadanie na kwestionariusze, poddawanie się testom, udzielanie wywiadów — to wszystko obowiązki moralne. Niedawno słyszałam o takiej historii: kilku studentów postanowiło dla kawału zdobyć dane podobne do danych Kinsey'a, dotyczą-

1) Nie jest to zresztą prawda — Biblioteka Kongresu w Waszyngtonie jest np. większa od columbijskiej.

ce jednak życia seksualnego kobiet, a nie mężczyzn. Chodzili więc od domu do domu i zadawali pytania amerykańskim matronom¹). Ani jedna z nich podobno nie odmówiła informacji — zadna też nie zakwestionowała naukowości kawału... Społeczeństwo amerykańskie wierzy w naukę, w moralność, w postęp, w Boga... Studenci, a w każdym razie studenci czołowych uniwersytetów amerykańskich wierzą chyba jedynie w naukę. Prestiż nauki jest na uniwersytetach amerykańskich znacznie większy niż na uniwersytetach europejskich. Prestiż naukowców — znacznie mniejszy. Prestiż nauki płynie z jej związku z postępem. Nie ma tu myślicieli. Są pracownicy nauki i podobnie jak w Rosji Sowieckiej, ceniona jest przede wszystkim wydajność, która sprowadza się niekiedy do wydajności ilościowej. Tylko, że nie ma tu oficjalnych komisji weryfikacyjnych. Kryteria wydajności są niejasne a konsekwencje niewydajności bardzo dotkliwe²).

Columbia kładzie nacisk raczej na szerokość niż na głębię wykształcenia. Ilość książek, którą w ciągu studiów zaabsorbować musi student columbijski jest co najmniej 5 razy większa niż ilość książek czytanych przez europejskiego studenta³). Czytanie dla przyjemności jest tu jednak prawie nieznanne. Wszystko to obowiązkowa lektura. Lektura zaplanowana jednak w ten sposób, że przy największym wysiłku można przeczytać zaledwie część. Na egzaminie doktorskim odpowiedzialnym jest jednak za całość. Trzeba być poza tym au courant bieżącej literatury. Columbia jest uniwersytetem kładącym nacisk przede wszystkim na specjalizację. Socjologowie nie czytają tu pism psychologicznych, książek z dziedziny antropologii społecznej, ekonomii czy historii (wyjątkiem jest psychoanaliza). Nie czytają też powieści i wierszy. Nie chodzą na wystawy i do teatru. Socjologia postawiona jest tu bardzo dobrze i wyspecjalizowana, że tak powiem, powyżej swych możliwości. Na poziomie studenta prestiż naukowy mierzy się dwojako. Jedną miarą jest tak zwane "sophistication": nieprzetłumaczalny termin. W dziedzinie nauki "sophistication" to przede wszystkim umiejętność operowania modnymi i skomplikowanymi pojęciami z dziedziny własnej specjalizacji. Im większa akrobatyka pojęciowa — tym większy prestiż. Drugą miarą to praca w "Bureau". Bureau to columbijski Instytut Socjologii Stosowanej. Pracuje się tu na wielką skalę, dla wielkich amerykańskich firm i czasami dla Washingtonu. Na wielkich i hałaśliwych statystycznych maszynach. Jest to praca zbiorowa, wyspecjalizowana, zatowarowana. O dostęp do nowych, skomplikowanych pojęć i o dostęp do Bureau idzie zażarta walka, bez skrupułów

1) Może się to wydawać dziwne, ale w Ameryce jest chyba procentowo więcej matron niż w jakimkolwiek kraju europejskim.

2) Ciekawy opis amerykańskiego świata uniwersyteckiego daje socjologiczne studium Logana Wilsona *The Academic Man*, 1942, Oxford University Press, New York.

3) Mam tu na myśli polskie i belgijskie uniwersytety — sądzę jednak, że jest to prawdą również w odniesieniu do innych krajów.

i bez reguł gry. Oto biblioteka. Na korytarzu spotykają się Bob i Bill. Bob przeczytał właśnie artykuł, o którym Bill nigdy nie słyszał. Nie powiedział o nim oczywiście Billowi... o, nie... Ale Bill wie! Zobaczył artykuł na jego stole, w momencie gdy Bob poszedł do ubikacji: nowy artykuł harwardzkiego socjologa... zapewne dalsze rozwinięcie pojęcia funkcjonalnej internalizacji norm... Bill nie mówi o tym Bobowi nic... Powie mu dopiero jutro, gdy artykuł przeczyta sam. Ale nie powie mu za to nic o książce Z, I nie da notatek z ostatniego odczytu w Bureau. To był odczyt w zamkniętym gronie: na temat ostatnich osiągnięć w dziedzinie mierzenia postaw społecznych. Gdyby Bob się dowiedział na pewno by zaraz zaczął studiować rachunek różniczkowy. Im później zacznie studiować — tym lepiej...

Są dwa modele wydajnych naukowców columbijskich. Żywe modele. Jeden od pojęć. Drugi od Bureau. Obaj są najbardziej wpływowymi profesorami wydziału socjologicznego. Model od pojęć to typ purytańskiego męczennika nauki: młody, blady, sztywny, bezwzględnie poważny i całkowicie oddany socjologii. Model od Bureau to typ ezoterycznego businessmana. Ezoteryzm polega na wtajemniczeniu w matematykę. Businessmęstwo na rozległych kontaktach ze światem politycznym i światem handlowym: klientami Bureau.

Oba modele wraz z grupą najbardziej agresywnych i sprytnych studentów tworzą klikę. Klika wie oczywiście więcej, wcześniej i zazdrośnie strzeże tajemnic. Ażeby zasłużyć na miano socjologa, trzeba pracować co najmniej 14 godzin dziennie — głosi model od pojęć. I nie tylko głosi. Wystarczy spojrzeć na jego wyblakłą twarz i na umęczone pojęcia: narkotyczna dysfunkcja..., serendypiczny model..., strategiczna obserwacja... I trzeba pisać, pisać i publikować... Na biurku modela, od Bureau stopy listów i nieustannie dzwoniący telefon: przewidywać wynik wyborów... zbadać najbardziej efektywną technikę sprzedawania butów kobietom w średnim wieku... zmierzyć postawę społeczną chorych wenerycznie do klinik Wydziału Zdrowia... i zdrowych do Rządu Światowego... i pań domu do najnowszego proszku do prania... Studenci z kliki podejmują się "zadań".. może z któregoś z nich da się wycisnąć tezę doktorską... A ci spoza kliki krążą naokoło. Takie krążenie kończy się zresztą często u psychoanalityka. Klika bowiem nie tak łatwo dopuszcza nowych. Znacznie bardziej "higieniczne" jest krążenie naokoło pokoju w którym odbywają się egzaminy doktorskie. Tutaj przynajmniej jakieś poczucie równowagi między sukcesem i klęską. Sukces i klęska to tak, jak w innych kulturach śmierć i miłość. Dwie sprawy najważniejsze: fascynujące i straszne. Do sali, w której odbywają się egzaminy doktorskie, wchodzi się po wąskich, stromych schodach, przyczepionych do ściany wielkiego Lounge jak do okrętu. W okresie egzaminów tłumy studentów ze świecącymi oczami naokoło schodów... Na ścianach pokoju doktorskiego fotografie kilku generacji wielkich administratorów Columbi: ponurych i koturnowych. Żeby

osiągnąć sukces trzeba właśnie tak: godzina po godzinie, z maksymalnym wysiłkiem, wydajnie i tak jak wszyscy.

Kiedy z Columbi przyjeżdża się do Uniwersytetu Chicagoskiego, wydaje się, że wszystko od A do Z jest tu inne, i że podobne są jedynie skaczące po kampusie szare wiewiórki. A więc przede wszystkim jest tu parterowo — nie koturnowo. Nie znaczy to, że gmachy są parterowe, nie, kilka z nich ma nawet ponad pięć pięter. Uniwersytet nie stoi jednak, jak Columbia, na wzgórzu i nie mieści się w centrum miasta, lecz w niskiej, cichej, pełnej drzew dzielnicy rezydencyjnej, położonej nad jeziorem i z angielską nazwaną Hyde Park. Gmachy uniwersytetu nie są ocementowane i obrośnięte ważnymi schodami. Obrasta je dzikie wino, trawa i drzewa. Architektonicznie uniwersytet jest kopią uniwersytetu Oxfordzkiego, ale tylko architektonicznie, Sorbona ma tu bowiem daleko większy mir niż Oxford.

Studenci wyglądają zupełnie inaczej niż studenci Columbi. Niektórzy w obszarpanych i brudnych ubraniach. Inni w dzikawych kolorowych bluzach i czapkach... studentki w granatowych płóciennych spodniach, podwiniętych do kolan. Nie spieszą się tak jak columbijczycy do "niecierpiących zwłoki spraw", wioczą się po kampusie i po dzielnicy uniwersyteckiej, w lecie w kostiumach kąpielowych opalają się przed gmachem filozofii, nauk społecznych, przed Eckhart Hall. I dyskutują, dyskutują zawzięcie w uniwersyteckich kafeteriach i w nieuniwersyteckich barach. Zachowują się dużo podobnie do europejskich studentów. Gdy się tu przebywa dłużej, widać jednak wyraźnie, że nie są oni europejscy. Nie są jednak również amerykańscy. Są inni. "Marginesowi": oto oficjalne słowo. Aby to zrozumieć, trzeba przede wszystkim wiedzieć, że Uniwersytet Chicagoski przeszedł humanistyczną rewolucję. Trzeba znać poza tym historię słowa "marginesowy", historię związaną ściśle z wydziałem socjologii tutejszego uniwersytetu. Ale o tym za chwilę.

Studenci chicagoscycy z zamiłowaniem kolekcjonują najróżniejsze ataki na uniwersytet (zwłaszcza ataki "Chicago Tribune", najbardziej izolacjonistycznej i antyeuropejskiej gazety w USA) i sami fabrykują dowcipy na temat uniwersytetu. Oto jeden z nich:

Uniwersytet Chicagowski to czerwony uniwersytet, w którym za protestanckie pieniądze żydowski profesorowie uczą ateistycznych studentów katolickiej filozofii.

Dla "Chicago Tribune" uniwersytet wygląda rzeczywiście czerwono, dlatego choćby, że jest tak inny i nie tylko "po prostu inny": uniwersytet od dawna i stale popełnia głośne i wielkie grzechy przeciwko "amerykańskości". Jednym z największych grzechów było skasowanie drużyny footballowej. Uniwersytet bez footballu to uniwersytet nieamerykański, a więc anty-amerykański, a więc czerwony.

Drużynę footballową skasował Hutchins, wieloletni Kanclerz¹⁾ Uniwersytetu Chicagoskiego. Młody, inteligentny, autorytatywny, arogancki, bezkompromisowy, piękny i zagadkowy nawet dla najbliższego otoczenia. Albo — albo — powiedział krótko. Albo wielką drużyną footballową — albo wielki uniwersytet. On to właśnie zapoczątkował rewolucję humanistyczną. Rewolucja humanistyczna polegała na zupełnym zerwaniu z amerykańskimi ideami wychowawczymi i naukowymi i na stworzeniu nowych o charakterze znacznie szerszym i bardziej międzynarodowym. A więc główną funkcją uniwersytetu jest wedle Hutchinsa wychowanie niezależnych naukowców, a nie nauczycieli; przygotowanie do badań naukowych a nie do intratnych stanowisk w świecie handlowym czy dyplomatycznym. Stąd nacisk na naukę czystą raczej niż na stosowaną — na rozwój towarzystw i klubów naukowych i społeczno-politycznych raczej niż korporacji. Hutchins wystąpił przeciwko amerykańskiej "obowiązkowości" chodzenia na wykłady i przeciwko autorytetowi podręczników. Zmusił studentów do wątpienia i do buntowania się. Nie było to łatwe: okres studencki jest w Ameryce okresem finansowo trudnym i bardzo konformistycznym.

— Yale²⁾ — powiedział kiedyś Hutchins, o nowo-angielskim uniwersytecie, w którym sam zresztą studiował — to w gruncie rzeczy tylko snobistyczna szkółka dla dobrze wychowanych chłopców...

Po 20 latach panowania Hutchins zeszłego roku zrezygnował nagle ze stanowiska Kanclerza i objął kierownictwo Fundacji Forda. Było to niespodziewane i niezrozumiałe.

— To niemożliwe! Przecież mity nie podają się do dymisji! — zawołał jeden ze studentów, dowiedziawszy się o rezygnacji Hutchinsa. A potem zaczęto spekulować... że w gruncie rzeczy coś ważnego musi być "poza" tym posunięciem... że to na pewno dalsza akcja propagowania chicagoskich reform... że Hutchins wróci. Rezygnacja była szokująca i dla tych którzy go uwielbiali i dla tych którzy go nienawidzili. Zaczęto sprzedawać płyty z głosem Kanclerza... Płyty kontynuowały arogancko:

— Uniwersytet jest społeczeństwem naukowców — to nie Kindergarten, nie dom poprawczy... Uniwersytet nie jest partią polityczną i nie jest agencją propagandową...

Szkolnictwo amerykańskie różni się bardzo od europejskiego. Nie można przede wszystkim porównywać tutejszej szkoły średniej z europejskim gimnazjum. W szkole średniej młodzież uczy

1) Kanclerz jest w gruncie rzeczy czymś pośrednim między prezydentem uniwersytetu a rektorem. Nie wszystkie uniwersytety mają Kanclerza. Uniwersytet Chicagoski ma zarówno Kanclerza jak i Prezydenta. Columbia ma np. tylko Prezydenta.

2) Yale jest obok Columbi, Harvardu, Uniwersytetu Chicagoskiego i Berkeley University, jednym z czołowych uniwersytetów amerykańskich.

się tu głównie najróżniejszych rzeczy praktycznych, wychowania obywatelskiego, i gry w piłkę. Potem dopiero jest College, które przeciętny Amerykanin zaczyna w wieku lat 18-tu. College trwa 4 lata i przez te 4 lata student amerykański musi nadrobić to wszystko, czego się nie nauczył w szkole średniej. Dopiero po skończeniu College studiuje się na Uniwersytecie (czyli Graduate School), do tak zwanego Master of Arts, czego znowu na ogół nie można przyrównywać do polskiego magisterium. Studia te teoretycznie trwają rok. W praktyce zwykle dwa lata lub nieco dłużej. Po uzyskaniu Master of Arts, studiuje się znowu na Uniwersytecie, czytając setki obowiązkowych książek i zdając egzaminy. Po roku lub dwóch latach takich studiów (zależy to od bardzo różnorodnych wymagań Uniwersytetów) zdaje się egzamin doktorski i dopiero potem zaczyna pracę^{*} nad tezą.

Hutchins zmienił uniwersytecki system amerykański upodabniając go nieco do europejskiego. Połączył więc dwa ostatnie lata szkoły średniej z dwoma pierwszymi latami College i stworzył coś w rodzaju europejskiego gimnazjum. Nazywa się to zresztą nadal "College" i należy administracyjnie i architektonicznie do Uniwersytetu. Głównym zadaniem tutejszego College jest danie studentom porządnego wykształcenia humanistycznego. "Przesadnego wykształcenia humanistycznego" — jak mówią niektórzy. Nacisk jest tu specjalnie na literaturę, historię i filozofię. Czyta się Platona, Arystotelesa, Pascala, Milla, Bacona, Poincaré, Bergsona i wielu innych promotorów tak zwanych tu "wielkich idei"... no i czyta się oczywiście Tomasa z Akwinu... drugiego obok Hutchinsa "komunistycznego agenta", odpowiedzialnego za skandale chicagoskie. Bo trzeba wiedzieć, że filozoficznie Hutchins jest neo-tomistą, zażartym wrogiem pragmatyzmu i neo-pozytywizmu.

Potem, — podobnie, jak kiedyś na Uniwersytecie Warszawskim — studiuje się 4 lata do magisterium. Studia do doktoratu nie zostały zreformowane — są jednak bardzo odkonwencjonalnione — ma się tu daleko większą swobodę niż na innych amerykańskich uniwersytetach.

Zmiany te niewątpliwie podniosły poziom tutejszych Masters of Arts. Zamiast 1-2 lat specjalizacji — 4 lata koncentracji na wybranym przedmiocie studiów. Specjalizacja chicagoska nie jest zresztą podobna do specjalizacji columbijskiej. Kładzie się tu nacisk na jedność nauki i na jak najwyższą współpracę różnych wydziałów. Fakultet Nauk Społeczno-Politycznych (Division of Social Sciences) zorganizowany jest tu, na przykład, w najróżniejszy Komitety. Jest więc Komitet Myśli Społecznej, jest Komitet poświęcony badaniu stosunków społecznych między grupami etnicznymi, Komitet badania stosunków międzynarodowych i szereg innych. Ciągłe tworzą się nowe komitety: niektóre trwają lata, inne kończą się w ciągu kilku miesięcy. W skład komitetów wchodzi przedstawiciele różnych nauk z Fakultetu Nauk Społeczno-Politycznych i z innych Fakultetów. Założeniem, na którym zbudowane są komitety jest neopozytywistycz-

na idea jedności nauki i... neotomistyczne idee wielkich syntez w rodzaju Sumy Teologicznej. Jak neopozytywizm i neotomizm walczyły i współpracowały na Uniwersytecie Chicagoskim, — jest dla mnie zagadką, którą chciałabym kiedyś zrozumieć. Chwilowo nie rozumiem tu jednak nic. Podobnie jak nie rozumiem właściwie kim jest Hutchins.

Pewne jest jednak to, że Hutchins był i jest wielkim przeciwnikiem wszelkiego pozytywizmu; pewne jest również, że właśnie on zaprosił tu Rudolfa Carnapa, czołowego filozofa neopozytywistycznego i znanego wroga metafizyki. Prócz Carnapa, zaprosił wielu innych filozoficznych wrogów, wiedząc dobrze, kogo zaprasza. Szacunek dla ideologicznych i naukowych przeciwników kultywowany jest na Uniwersytecie Chicagoskim świadomie i wbrew całemu światu! Trzeba tu dodać jednak, że Uniwersytet może sobie na to pozwolić finansowo i, że tak powiem, duchowo. Jest to najbogatszy bodaj uniwersytet na świecie, a poza tym cóż? Uniwersytet ten nie przeszedł przez to wszystko przez co przeszły europejskie uniwersytety: i mimo wielkiej ilości studentów z całego świata i europejskich profesorów — jest to jednak uniwersytet amerykański: nietknięty przez bomby, głód, cenzurę, nigdy nieobrabowany i niespalony.

Komitety spełniają dwie funkcje: badawczą i nauczycielską. Wiele kursów organizowanych jest właśnie przez komitety i uczonych na zmianę przez przedstawicieli różnych nauk. Niektóre komitety nie mają nazw tylko numery. Ucząc się na tutejszym uniwersytecie jest się często członkiem nie jednego, lecz wielu komitetów. Ulubionym moim komitetem jest np. tak zwany "Komitet 200". Komitet ten ma pod sobą 3 kursy: kurs metodologii, nauk społecznych, kurs statystyki i kurs socjologii wiedzy. Wśród "ludzi 200" nierzadko bywało tak, że Amerykanie stanowili mniejszość. Komitet 200 jest już bardzo stary: ma przeszło pięć lat. Komitety spotykają się raz na kilka tygodni lub częściej i dyskutują, jedzą, klóćą się, eksperymentują, decydują. Atmosfera dyskusji i eksperymentowania przenika zresztą cały uniwersytet¹⁾.

Oto lato: na trawie, pod drzwiami, grupki studentów z profesorami, wykłady często odbywają się na dworze. Nie, to nie wykłady; oni po prostu zadyskutowują się na śmierć... Czasami trudno odróżnić studentów od profesorów, Uniwersytet Chicagoski ma bowiem więcej chyba młodych profesorów niż jakikolwiek inny uniwersytet i jednocześnie więcej starszych studentów. Metoda dyskusji (zamiast wykładów) jest tu od dawna wprowadzona i osiągnęła właściwie rozmiary nieco przesadne. Nazywa się to "nawiązaniem do tradycji sokratesowych debat". Dyskusje są tak "dynamiczne" i niezdiscyplinowane, że naj-

1) Zaznaczyć tu warto, że Uniwersytet Chicagoski jest mniej więcej 4 razy mniejszy od Columbii — ma około 9 tysięcy studentów (Jest trochę mniejszy niż przedwojenny Uniwersytet Warszawski).

dostojniejszemu nawet profesorowi często jest trudno dojść do głosu. Zaznaczyć zresztą trzeba, że mówienie per "profesor" lub per "doktor" jest tu nie tylko nieprzyjęte, ale i systematycznie zwalczane. Jedynie kilku starych niemieckich profesorów pozostało "profesorami"... Inni to po prostu "misters" i "misses". Po przyjeździe z Columbii długo musiałam się odzwyczajać od używania tytułów. Stosunki między profesorami i studentami są tu znacznie bliższe niż na Columbii.

O czym rozmawiają "marginesowi" studenci chicagoscycy? Gdy porównać ich z Columbijczykami, zwraca uwagę przede wszystkim to, że rozmawiają oni dużo więcej o problemach a mniej o samych sobie, o profesorach, o kulisach uniwersytetu. Nie wywiesza się tu, jak w Columbii, stopni na ścianach, więc choćby dlatego wymiary sukcesu i klęski są bardzo inne. Nie tylko dlatego jednak: studenci chicagoscycy liczą znacznie mniej na karierę niż studenci Columbii i na pewno mniej ona dla nich znaczy. Prócz kariery i sukcesu istnieją inne, ważniejsze rzeczy. Ale jakie? Jak je nazwać?

Studenci napiętnowani rewolucją humanistyczną nie są beztroscy w kraju dolara i w mieście gangsterów i businessmanów. Na jednym z domów uniwersyteckich wywieszono w tym roku z okazji rocznicy Washingtona, gigantycznego dolara z zamazanym wizerunkiem Washingtona i bardzo wyraźnym napisem: "Najpierwszy w sercu rodaków". Uniwersytet ten przyciąga zbuntowanych przeciwko kulturze amerykańskiej ze wszystkich stron USA. Prócz tego jest tu wielu studentów z Europy, Azji i innych części świata, sporo murzynów; elitą intelektualną (jak zwykle zresztą i na innych uniwersytetach) są Żydzi. Czym żyją studenci chicagoscycy? Czy stworzyli jakąś inną amerykańską kulturę? Czy może jakiś zaczątek kultury międzynarodowej? I jak żyją? "I co się z nimi stanie?" — zastanawiają się niektórzy wychowawcy. "Czy Uniwersytet Chicagoski nie wychowuje przypadkiem chronicznie nieszczęśliwych jednostek?"

"Tak... może..." — odpowiedział mi kiedyś 18-letni Michel, gdy zadałam mu to pytanie — "ale przecież tylko wtedy widzi się naprawdę jasno..."

Michel jest pół Francuzem, pół Szwedem, urodzonym w Ameryce. Chodzi w jaskrawej rudej koszuli, modrakowym swetrze i żółtej kraciastej czapce z daszkiem. Michel jest dość typowy. Nie typowe jest tylko tempo w jakim skończył College. Charakterystyczne jest jednak np. to, że zachował francuskie imię. Synowie emigrantów, których znałam na Columbii mieli wszyscy imiona amerykańskie. Michel zaczął właśnie studiować socjologię i interesuje się specjalnie problemem dekadencji. Czyta teraz właśnie Parka. Park to jeden z "ojców" socjologii chicagowskiej. Socjolog-dziennikarz. Człowiek o wyjątkowej wyobraźni i przenikliwej inteligencji. On to właśnie wymyślił pojęcie "marginesowości", które teraz rozwijają chicagoscycy studenci i która tak im pomaga w walce o prawo do inności.

Marginesowość, wedle Parka, powstaje z zetknięcia kultur i

ze skrzyżowania ras. Euro-Azjata to typowy marginesowy człowiek. Amerykański mulat. Europejski emigrant w Ameryce. Żyd. Marginesowość to jeden z najważniejszych czynników rozwoju kultury — twierdzi Park. Przypomina to Simmel'a¹⁾, przypomina Mannheima²⁾, przypomina nawet czasami Sartre'a, którego Park nie miał już okazji czytać.

Marginesowy człowiek — zdaniem Parka — jest "człowiekiem prawdziwie wolnym, zarówno teoretycznie, jak i praktycznie — prawdziwie wyemancypowanym. Poglądy jego są bardziej wolne od przesądów niż poglądy innych ludzi — szersze i bardziej obiektywne. Jest on w mniejszym stopniu niewolnikiem zwyczaju i konwenansu"³⁾.

Alicja IWĄSKA

1) Np. George Simmel, *Soziologie, Untersuchungen ueber die Formen der Vergesellschaftung*. Zwłaszcza simmlowskie pojęcie "obcego".

2) Karl Mannheim, *Ideology and Utopia*, — klasa inteligencka Mannheima jest właściwie klasą "marginesową" — jedynie kosmopolityczni inteligenci zdolni są zdaniem M. do obiektywnego spojrzenia na świat. Ciekawe jest, że podobną rolę przypisuje Marx międzynarodowemu (nie kosmopolitycznemu) proletariuszowi.

3) Robert E. Park *Human Migration and the Marginal Man*, *American Journal of Sociology*, May 1928, The University of Chicago Press.

WYSYŁAMY NA KAŻDE ŻĄDANIE

BEZPŁATNIE NAJNOWSZY KATALOG KSIĄŻEK

●
((LIBELLA))

SKŁADNICA KSIĄŻKI POLSKIEJ

12, rue St. Louis en l'Île — Paris IV°

«Chcę mieć rację NA naturze»

Jean Colin poświęcam,

W. Walter, założyciel i kierownik znanego wydawnictwa artystycznego "Quatre Chemins", wydał rok temu album rysunków Degasa poprzedzony wstępem Daniela Halévy. Rysunki te wykonane były wieczorami w latach 1877-1883 w domu rodziców Daniela Halévy. Degas siedząc pod lampą szkicował w dużym albumie. Po dniu pracy miał zwykle oczy bardzo zmęczone i już wtedy wisiała nad nim groźba, że oślepie. Podstawiał lampę bardzo blisko i zawsze z tym samym ostrym skupieniem rysował swoje tancerki, starszych panów siedzących w łóżach, karykatury znajomych czy ilustracje do opowiadań jak np. do "La fille Elisa" Goncourt'ów. Walter wydał album reprodukcji tych rysunków fototypią w tym samym formacie co albumy autentyczne, oprawiony nawet w identyczne płótno. Oglądałem jeszcze te rysunki niereprodukowane i przechowywane w gabinecie Daniela Halévy, zawalonym od góry do dołu książkami, fotografiami pamiątkowymi, portretami przyjaciół rodziny Halévy'ego i Degasa, pod pięknym tegoż Degasa portretem kobiety w czerni na szaroniebieskim tle.

Biorąc do ręki album "Quatre Chemins" zdumienie jest zupełne, tyle, że papier nie jest poźółkły i oprawa płócienna nie ściemniała. Cóż za ścisłość oddania najdelikatniejszej kreski, ścisłość *walorów* każdego rysunku.

W tym roku wydał Walter podobnie szkicowniki Cézanne'a.¹⁾ (W przygotowaniu są notatniki Gauguin'a.) Tu znowu ogarnia nas zdumienie obcowania nie z żadną reprodukcją, ale z *samym* rysunkiem Cézanne'a. Sto sześćdziesiąt rysunków: parę autoportretów, głowy synka przy lampie, akty pamięciowe, studia rysunkowe rzeźb w Louvrze, krzesło, kubki o najbardziej zwyczajnych kształtach, notatki pejzaży z Estaque. Wszystkie te szkice zostały wybrane z paru zeszytów rozmiaru plus-minus 12×21 cm i pochodzą z lat 1870-1890-tych (ta sama epoka co rysunki Degasa). Dołączony został rzeczowy i jasny wstęp J. Rewalda.

Już w "Głosie Plastyków", przed wojną, pisałem o Rewaldzie jako o autorze jednej z najstaranniej opracowanych książek o Cézanne'ie²⁾. Wstęp ma te same zalety co tamta książka: poza

1) Cézanne, *Carnets de Dessins*, Wyd. Quatre Chemin, Paris.

2) "Cézanne et Zola", wyd. Albin Michel, Paris, 1939, str. 400.
"Cézanne et Zola", wyd. Sedrowski, Paris 1936.

ściłymi danymi gdzie, jak i kiedy powstały reprodukowane notatki, Rewald dodał szereg uwag na podstawie wypowiedzi samego Cézanne'a o stosunku malarza do tej techniki. Ten album jest drogocenny dla każdego człowieka wrażliwego na rysunek a tym bardziej malarza, którego rysunek "męczy" i zastanawia niesłychana różnorodność podejścia do tej techniki od Pisanella chociażby do Bonnard'a.

Wpatrując się w skromne szkice staram się zrozumieć dlaczego zarzut, że Cézanne nie umiał rysować był za jego życia tak ogólny, dlaczego niejednemu artyście nawet z prawdziwego zdarzenia zarzut ten mógł wydawać się słuszny, dlaczego jeszcze w mojej młodości słyszałem tyle zacieklej ataków na Cézanne'a. Jeżeli one teraz zacykły to chyba raczej dlatego, że obrazy Cézanne'a kosztują grube miliony, że są we wszystkich większych galeriach świata, podejrzewam, że dla szerszego ogółu rysunek jego jest jeszcze teraz po cichu skandalem, albo w najlepszym razie czymś zupełnie obojętnym. Wyda się to paradoksem ale myślę, że nawet rysunek Picassa jest łatwiejszy do przyjęcia, kryje w sobie więcej niespodzianek dla laika, jest przy tym wirtuozyjny i tak różnorodny, że zawsze można się "schronić" do jakiejś jego epoki i na jej podstawie stwierdzać, że Picasso "przecież umie rysować". Cięty krytyk, znany kolekcjoner paryski nasz rodak Basler napisał wiele lat temu złośliwie o wystawie rysunków Picassa: "Le dessin à travers les âges" ("rysunek poprzez wieki") bo rzeczywiście od rysunków młodzieńczych "goy'owskich", do "ingres'owskich" z lat 19-20-tych przez zupełnie abstrakcyjne z pierwszej epoki kubizmu od 1907 aż po najostatniejsze, mamy dziesiątki jakby wykluczających się wzajemnie stylów, widzimy wpływy sztuki murzyńskiej, rzeźby greckiej, gobelinów francuskich, brutalnych jarmarcznych malowideł hiszpańskich, lub garncarstwa południowo-amerykańskiego. Czy w ogóle była jakokolwiek epoka w świecie, która by w pewnej chwili nie wpłynęła na Picassa? Można mu zarzucić eklektyzm, ale nikt nie może mu postawić zarzutu nieumiejętności, niezgrabności, zarzutu z którym rysunek Cézanne'a spotyka się nagminnie. A zarzut ten w oczach laika jest najcięższy.

Opowiadano mi, że jeden z przyjaciół Delacroix'a, gdy malarz był już stary, chciał zorganizować wystawę zebranych przez wiele lat paruset rysunków Delacroix. Mistrz się zachnął: "Jest tam wiele słabych rysunków — powiedział — nie wystawiaj. Ale po namyśle dodał: "Wystaw je przecie. Niech ludzie wiedzą co znaczy moja osławiona *łatwość*..."

Otóż rysunek Cézanne'a nie ma śladu zręczności, "łatwości", tej tak przecenionej przez ludzi i tak *niebezpiecznej* zalety.

Widziałem parę dni temu wystawę kolekcji rysunków z muzeum w Rotterdamie w Paryskiej Bibliothéque Nationale. Parę względnie dużych akwareli i rysunków Cézanne'a można było oglądać obok rysunków Rembrandt'a, Breughla, Rubensa, Lorraine'a, Watteau, Degasa, Ingres'a, Manet'a i nawet Pisanella, Leonarda, etc., etc. Nie widziałem jeszcze w życiu tak dobranej

kolekcji. Człowiek który ją zebrał był chyba sam genialny. Poza rysunkami Tiepola, który mnie osobiście zawsze rozczarowuje, trudno było się oderwać od tych ścian pokrytych arcydziełami. Ściana Cézanne'a miała swoją wymowę równie silną jak ściana Watteau czy Degasa; przyznam, że do mnie przemawiała o ileż więcej od ściany Rubensa! A przecież ten rysunek jakże był *odrębny* od wszystkich, dosłownie wszystkich. Zapamiętałem specjalnie obok rysunków z niezrównaną delikatnością podkolorowanych — "Portret Żony" ołówkowy. Ołówek, nawet niepowiązany delikatnymi plamami kolorowymi, widział Cézanne poprzez kolor. Kombinacja kreski o różnym natężeniu i plam robionych miękkim ołówkiem, stwarza iluzję *koloru*.

Notatki Cézanne'a, które reprodukuje Walter na pewno nie były przeznaczone do pokazu, są bliskie w technice "Portretowi Żony" z Rotterdamu chociaż się różnią tym, że są typowo rysunkami "roboczymi", przygotowawczymi dla malarstwa, że nie są na pewno celem samym w sobie. Dlatego może bardziej jeszcze demaskują to z czym się Cézanne borykał. "Przeszkody — to znaki niejasne, przed którymi jedni wpadają w rozpacz, drudzy zaś rozumieją, że jest coś do zrozumienia, ale są i tacy, którzy tych znaków nawet nie widzą..." — powiedział Valéry. W szkicownikach Cézanne'a widzimy proces odkrywania formy cézanne'owskiej, widzimy jego mozół i mękę, wobec tych "znaków niejasnych", które widział i całe życie próbował zrozumieć i opanować.

Cóż można by tym rysunkom *zarzucić*? Ołówek w rysunkach Cézanne'a, zawsze miękki, stwarza rozrzucone plamy o formie nie zawsze jasnej; linie, wklęsłe czy wypukłe, mają czasami charakter jakby mechaniczny. Ani śladu takiej mechaniczności w jakimkolwiek rysunku Degasa. W innych miejscach ciemne plamy, oznaczające najciemniejsze walorowe punkty, wywołują efekt dziur nie cieni. Kreskę trzy cztery razy powtarzając obok siebie wyczuwamy jak dwojenia czy trojenia się modelu w oczach artysty. Proporcje niektórych rzeźb z Louvru są zupełnie zmienione.

Jeżeli patrzymy na te rysunki z myślą nie tylko o Ingres'ie, ale sięgamy *wyżej* do rysunku na przykład Pisanella, jeżeli tamte rysunki przyjmujemy jako obowiązujący i jedyny "ideał", wówczas naturalnie zarzut niezdarności, nieumiejętności Cézanne'a może zdawać się słuszny. Rysunki Pisanella mają babczną czujność kształtów, pewność w oddaniu formy, o ileż bardziej niż u Cézanne'a niechybna, ale w tych rysunkach nie ma światła i nie ma koloru. Jest tylko kształt. U Cézanne'a *inne* zadanie, *inna* technika.

Przypomnijmy sobie okres w którym żył Cézanne (1839-1906).

Walka pomiędzy linearnym rysunkiem Ingres'a o chwilami

niezrównanej³⁾ czystości, a rysunkiem Delacroix, u którego gwałtownie podkreślony walor — światło, — plama, grają nieustannie — ta walka z czasów Cézanne'a jest jeszcze świeża (a dziś wciąż jeszcze, choć inaczej, aktualna).

W dalszym biegu sztuki 19-go w. zwycięża jakby Delacroix, bo żywy nurt jej rozwoju w latach 1850-1900 to przede wszystkim Courbet, impresjoniści, Cézanne, Van Gogh, wszystko dzieci i wnuki Delacroix. Tradycja zaś ingresowska degeneruje w akademicką kaligrafię, zapelnia salony wylizanymi portretami i scenami ze świata antycznego. Portrety wyidealizowane, szlachetne postacie szlacheckich bohaterów w przeróżnych togach i nagłe ciała, symbolizujące "prawdę", i wszelakie inne cnoty tracą jakkolwiek *materię* malarską, a rysunek staje się martwy, mechaniczny i zrzeczny. Naturalnie nie jeden Ingres jest odpowiedzialny za ten aspekt malarstwa 19-go wieku. Winowajcą głównym jest David, ze swoim "Porwaniem Sabine" i innymi tego typu obrazami; David, któremu Pankiewicz słusznie zarzucał "rozkawałkowanie sztuki" 19-go wieku. Ale Ingres jest także zań odpowiedzialny, przez stałe lekceważenie koloru, podkreślanie jego podrzędności. "Kolor jest ornamentem malarstwa... kolor tylko uprzyjemnia prawdziwą doskonałość sztuki" pisze Ingres. Ta spopularyzowana i święcąca triumfy zdegenerowana tradycja Ingesa gotowa jest zasłonić nam fakt, że malarstwo Ingesa ma w 19-tym wieku także swoje przedłużenie, swój rozwój w autentycznych wyznawcach tego upartego starca, w którym była zadziwiająca mieszanina żarliwej wielkości i tępego ograniczenia.

Autentyczną tradycję Ingesa reprezentuje Degas (próbując on połączyć spadek Inges'a i Delacroix), na pewno jeden z największych rysowników swojego wieku o przenikliwej inteligencji, zawsze poszukującej nowych form wyrazu. Degas wystawia z impresjonistami, zachwyca się malarstwem Maneta, ale jest do końca wrogiem "nadużywania natury". Nawet piasek na plaży maluje według... kamizelki koloru piaskowego rzuconej na krzesło w jego własnej pracowni (horrendum dla fanatyków pracy z natury — impresjonistów), zarzuca impresjonistom brak kompozycji, radzi młodym malarzom nie pracować z natury, a jedynie kopiować mistrzów i studiować naturę bezpośrednio tylko już w okresie dojrzałości. W tym wiąże się on całkowicie z Ingesem i jest biegunowo przeciwnym Cézanne'owi. Tradycja ingresowska linearna i abstrakcyjna w swej idealizacji, którą osiąga poprzez konsekwentną, świadomą *deformację* rzeczywistości (dodatkowe żebro "Odaliski", etc.) nie tylko odżyje ale się wzmocze w Gauguin'ie⁴⁾, a bardziej jeszcze w Picass'ie.

3) Ten superlatyw piszę pod wrażeniem szkicu aktu kobiecego do "Źródła" z kolekcji w Rotterdamie, za który bym oddał dziesięć olejnych obrazów Inges'a, takich jak sławne "Źródło".

4) "Dobrzeście zrobili przesadzając tę długość (twarzy modlącej się kobiety), przynajmniej można zapomnieć modela i przeklętą naturę" (Sacré nature) — pisze Gauguin do malarza E. Bernarda.

Głęboko obcy Ingres'owi Cézanne kocha Delacroix. Cézanne, jak wszyscy impresjoniści, jego bezpośredni mistrzowie, urzeczony jest problemem światła. Nie w pracowni lecz w naturze, słońcu czy mgłę, wśród poruszanych wiatrem drzew powstają najbardziej odkrywcze płótna impresjonistów. Wyrażenie światła poprzez plamę barwną jest ich problemem centralnym. Rewolucja Cézanne'a polega na tym, że poszedł on o krok dalej od impresjonistów, że tą plamą barwną próbuje świadomie budować płótno, ale nie na linearnej "architekturze" robi swego "Poussin'a na naturze", ale buduje płótno kolorem. Cézanne nie idzie za formę zbudowaną rzeźbiarsko światłocieniem, walorem, ale jego plama nie jest też płynną plamką czy "ciętą włóczką" jak nazywano położenie barwy impresjonistów. Cézanne nie roztopia formy tak jak Monet w późniejszych płótnach lub cała fala langa epigonów impresjonizmu, ale stwarza formę kolorem, kolor jest tu decydującym elementem.

Żeby zrozumieć głębiej rysunek Cézanne'a trzeba znać jego stosunek do linii. Jest powieść Balzaca "Le chef d'œuvre inconnu" ("Nieznane arcydzieło"), napisana pod świeżym wrażeniem jego rozmów z Delacroix. Bohaterem nowelki jest Frenhoffer, genialny i tragiczny malarz 18-go wieku. Doszedł on do świadomości, że linia nie istnieje w naturze, że jest to czysta abstrakcja, wymyślona przez człowieka. Balzakowski artysta próbuje wyrazić formę oderwaną od linearnego kształtu. To on mówi, że rysujemy tylko modelując "ściśle mówię, rysunek nie istnieje! Nie śmieję się młodzieńcze, linia jest środkiem, za pomocą którego człowiek zdaje sobie sprawę z wrażenia światła na przedmiocie, ale nie ma linii w naturze, która jest pełna; bo modelując dopiero rysujemy, to znaczy wydobywamy przedmioty z otoczenia, w którym się znajdują".

Balzakowski Frenhoffer wariuje nie mogąc osiągnąć tego co sobie postawił za zadanie malarskie.

Gdy Cézanne przeczytał opowiadanie Balzaka, zerwał się od stołu ze łzami w oczach i zawołał: "Frenhoffer to ja!"

Ta balzakowska powieść nie opuszczała Cézanne'a. Wracał do niej często.

Ten strumień twórczy, głęboki i czysty pracy człowieka, który dążył do sztuki *pełnej*, chciał wiązać bezpośrednio jak najbardziej rzetelne studiowanie natury z klasycznym zmysłem kompozycji, ten strumień twórczy dał początek nurtom gwałtownym przeważnie węższym i płytszym, nie jeden z nich stał się już dziś zatęchłym, stojącym bajorkiem.

Kubiści są najbardziej jednostronnymi spadkobiercami Cézanne'a — oni chcieli mieć rację nie NA naturze lecz PRZECIWIW naturze, stworzyli sztukę cerebralną nieraz ciekawą i świetną, ale od pełni do której dążył Cézanne najdalszą. *Uchylił się od całokształtu* zadania, które sobie Cézanne postawił i przez to zerwali z istotą jego dramatu z jego "je ne veux pas avoir raison théoriquement mais sur nature"⁶⁾.

6) Nie chcę mieć racji teoretycznie, ale na naturze...

Cézanne może być dziś aktualny tylko jeżeli go na nowo przeżyjemy bezpośrednio, przede wszystkim nie przez jego "oficjalnych" następców, jeżeli jego zdanie o formach geometrycznych, o naturze ⁷⁾ (punkt wyjścia teorii kubistycznych) dopełnimy tyśiącem zdań innych, które podkreślają jego wolę wierności naturze, jego z naturą związek.

Każdemu, komu grozi zbyt łatwa wolność abstrakcyjna, oderwana od ożywczych i bezgranicznie bogatych źródeł natury, albo krąg ciasny i zamknięty abstrakcyjnego, najeżonego dogmatami nowego akademizmu, chciałbym dać do rąk ten album notatek z natury, uważnych, mozolnych, pokornych mistrza z Aix.

"Rysunek czysty jest abstrakcją". "Rysunek i kolor nie są czymś różnym, bo wszystko w naturze jest kolorowe" mówił. A do malarza E. Bernard pisał: "W miarę jak malujemy — rysujemy, im bardziej kolor się harmonizuje, tym bardziej rysunek jest precyzyjny, kiedy kolor jest u szczytu bogactwa⁸⁾ — forma osiąga pełnię"... Jakże to dalekie od Ingresa, który twierdził: "Linia, to jest rysunek, to jest wszystko".

Pomimo to słusznie chyba twierdzi Rewald, że linia u Cézanne'a istnieje może więcej niż u impresjonistów, ale ma ona inną rolę. Robi wrażenie pomocnicze, przygotowawcze dla plamy barwnej, migotliwej i ruchomej; stąd też głęboka odrębność tego rysunku, gdy go porównujemy chociażby z współczesnym mu, bardziej tradycyjnym rysunkiem Degasa.

Co jeszcze uderza w notatkach Cézanne'a reprodukowanych przez Waltera, to nadzwyczajna pilność, pokora, uwaga, z jaką się artysta przygląda naturze, z jaką doszukuje się formy dzbanka czy podstawy swej naftowej lampy, jak nigdy się nie waha wracać, powtarzać swoją linię, przekreślać i zaczynać z powrotem. Z jaką starannością w swoich pejzażach ustawia plamy, które jak sam mówił "najeżdżają mu jedne na drugie".

"Metoda wykluwa się *poprzez kontakt z naturą*", mawiał Cézanne. W roku 1906, miesiąc przed śmiercią, pisze do syna o idei "zdrowej i wzmacniającej rozwoju sztuki w kontakcie z naturą". Cézanne nieustannie naturę odkrywa i nią *nasiąka*.

Niech się kaligrafowie śmieją z Cézanne'a. Ten nieznanym im mozół, ta niezręczność — ależ to było odkrywanie nowej ziemi i nowego nieba dla malarzy, ten rysunek jest u podstawy estetyki niezliczonych wątków sztuki z niego płynących, wszyscy jesteście z niego.

Józef CZAPSKI.

Wieści

*Przychodzą z Polski wieści.
Lepiej by nigdy ich nie było.
W każdej się srebrna księga mieści.
W każdej by piekło się zmiesciło.*

*Szpitala, chaty, miasta, huty,
Kopalnie, siota, zamieszanie
Liści jesiennych, elektryczność,
Drogi po uszy w błocie, przezroczystość
Brzóz i deszcz, co nocą ciągle w polach pada.*

*Góry, ementarze: biada! Biada!
Zbutwiałe wsi, kościoły, rzeki i wiatr, co je zawala
Wilgotną mgłą i chłop ten sam co u kowala
Na deszczu czeka. Stoi, póty
Łańcuch na krowę nie będzie wykuty.
To wszystko przyszło, jak szczękanie
Zimnego wiatru, dżdżu kaskada.*

*Wieści masz z Polski? Powiedz, jakie?
Smutne, cierpliwe, jak chłop stojący u kowala,
Na deszczu chroniąc się pod krzakiem
Z deszczem mruczy: — „Kuj, kowalu,
Kuj łańcuch srogi, bom zdrożony,
Bo mi tu zimno stać na wietrze
Po nocy, kiedy czuję dreszcze
Pod tym schronieniem bylejakim”. —
Coś tam bez związku jeszcze gada.*

*Bezmyślne słowa, jak od żony,
Co i w starości i w rozpaczycy,
Pisze do Anglii do sąsiada:
— „Powiedz, co wszystko to ma znaczyć?
Dlaczego, łajdak, mąż nie pisze?
..... gdy wszyscy piszą.
..... wszyscy wracają.
Dlaczego, łajdak, mąż nie wraca?” —
A kowal mruczy: próżna pracal*

7) *Traiter la nature par le cylindre, la sphère, le cône...*

8) *"Quand la couleur est à sa richesse, la forme est à sa plénitude".*

Deszcz także mruczy, cicho pada
 Na męża, co nie pisze z Anglii,
 Na męża, co nie wraca długo,
 Ani się do domu nie odzywa.
 Pewnie tam z babą jaką żyje...

A deszcz się sroży, równo bije.
 Pluszcze i pada pośród huku
 Na chłopca co się dźwiga ciężko,
 Podnosi, wstać próbuje, siada.
 Potem się kładzie, z deszczem biada
 Wspólnie nad ciężką ziemią, której tyle
 Na oczy, brzuch mu nasypali.
 I płacze w ciemnym, głuchym grobie,
 Że go koledzy odbieźali
 I poszli bić się do Gazali.
 A jemu tyle metrów dali
 Tej ziemi, co ją ma na sobie,
 Że jej podźwignąć lata nie mógł,
 Aż się po latach z losem przemógł
 I został, leżąc w mokrym juku
 W Afryce marnej, gdzieś w Tobruku.

Widok wieczorny

Dni mijają, jak korale z bicza.
 Bicz koralu, to śliczna pamiątka.
 Pamiątką także koralowy strumień, jak niteczka z wątka.
 Co się pod oknem z księżycą rozlicza
 Ile kto monet bije srebrnych. Jakie krągłe one.
 Czy takie same ciężkie, jak myśli zmartwione?

Pod willą w rzece promień nikły się przebija
 Przez wodę świeżą, czystą, różową na wierzchu,
 Oblaną sokiem malinowym zmierechu.
 A ja w tej willi mieszkam, jak żona niczyja.

Prządka

W tkalni jedwabiu przodownica
 Pnie nić za nicią, ścięgiem w ściąg.
 Jakby zbijała świeży śnieg
 W gęste, świetliste, cienkie płótno.

Trzepocą krośna. Drżą nawijki.
 Szpule, czótenka, ramy, kijki.
 Terkocze hala. Drży świetlica
 W pasmach powietrza, póki nie utną
 Płatów tkaniny ostre noże
 W gęsty, jak ścięgi, późny wieczór.

Lecą z szelestem, ciemne zorze
 Z zielonych farb utkane rano,
 Odbite w szybach ręcznej tkalni,
 Pachnące włóknem, tchem przędzalni,
 Choć je na krosnach drukowano
 W surowe pasy na powietrzu,
 Jak ziarna cukru w mokrym zbożu.

Dojarka

Weszła nieśmiało i cicho, jak służąca
 Z rumianą twarzą, w grubej, burej chustce.
 Rękę małą oparła o klamkę, i czeka.
 Przeciąg trysnął przez drzwi otwarte, i wkrótce
 Zburzył złote pierścienie we włosach. Zatrzymał ją całą
 Młodą, jakby w drzwiach nagle drożdżami powiało.

Pod tchnieniem wiatru gibka i gorąca
 Odgarnia z czoła włosy, dotyka policzków i otwiera usta
 Gęsto tkane perłami, że nie wiedzieć, który
 Sznur bielszy, dolny czy ten sam u góry.
 Chce coś powiedzieć. Dyszy
 Słodki oddech wionie pośpieszny i żarki.
 Stoi w drzwiach cicho z ciężkim wiadrem mleka.
 Jakby ubite z brzozonej miazgi, tęgie jej ciało
 Jeszcze sokiem rozkosznym i cierpkim wciąż wrzało.

Krucha piana na wierzchu wiadra paruje i pachnie
 Ciepłem krów, zielem, wsią, mocnymi udami dojarki,
 Które ściskając skopiec, drżą gniewnie, aż się mleko zachnie
 Ciepłe, słodkie, jak młoda dojarka rumiana i tłusta,
 Która, czekając z ręką o klamkę pokoju opartą, nieruchomo stoi.

Ku latu

Kiedy już twardnieje żyto
 Wilga młody owoc jałowca zajada.

Nad wiejską gospodą ciepły zmierzch zapada.
 Siejąc krochmal przez jedwabne sito.
 Jedwab biały także ma kapelusz gczyba
 Rosnące dziko za gąszczem pod przyzbą,
 Na podszewce miękkiej polśniewając gładko.
 Biała koza z koźlątkiem idąc za mleczarką
 Zuje lekką wstążkę podniesioną wiatrem
 Na plecach chłopki. Z paciorkami na spódnicy igra,
 Póki jej nie dadzą spocząć w bie za przyzbą,
 Tartak górski zachłyśnięty gatem
 Srebrzystym, co pasma desek i brusów ciągnie ponad rzeką,
 Jakby lniany materiał rozwieszał w powietrzu,
 Nagle ucichł. Dzwon bije na wieczór daleko.
 Echo tonie w ciszy miękkim pierzu.
 Smuga zachodu idzie z chmur, jak śmietana jasna.

Smaczna

Zanurz rękę w dekolcie, natrafisz
 Na śnieg ubity, twardy.
 Przyciśnij dłoń, zatrzymaj, usłyszysz, jak bije
 Serce pod piersią: białą, oddaną i zdrową.

Zęby dzwonią, jak orzeszki, o brzeg szklanki.
 Twarz w rumieńcach jarka, jak szwajcarski afisz.
 Zęby słodkie, jak kostka cukru. Palce, śnieżne obwarzanki:
 Ramię jędrne.
 Chrupiesz białymi zębami rumiane pieczywo, pulchne bułki.
 Cukru lotne, kryształowe kije
 Lamiesz, poruszając głową.

— „Mocniej przyciśnij. Dodaj palcom barwy,
 Niech pulsują. Kocham. Więcej nie wiem” — szepczesz.
 Mdleje złota głowa.

— „Widzę gwiazdy, ciebie, małe, krągłe pardwy,
 Jak się zrywają w dolinie, główkami bijąc w locie o skał twarde
 [półki” —

Jeszcze tyle zdołałaś powiedzieć.
 A teraz nie ma granicy.
 Niech się co chce dzieje.

Spokój

Wikliny nad jeziorem szkockim.
 W odzieży kalin mokry las.
 Z jeziora tchnie wód zapach świeży.
 Motyla kotys raz wiklinę chwieje,
 To znowu drugi raz, gdy piosnka się rozleje
 Pasterki w lesie na kaliny
 Ciurkiem, jak drobnych perel sznur,
 Leci z szelestem w dół. Od gór
 Wycieka ścieżką, tąką i potoczkiem,
 Co z jamy swej po skale bieży,
 Catując brzeg, konwalie i maliny,
 Nim wzmocni srebrny nurt.

Jak cicho! Małom nie usnął u twych ust
 Otwartych, jak mokre, słodkie ziota.
 Zbiegł dzień, jak jelen chżyż stopą.
 Jest wieczór i jelen w suchy chrust
 Brnie i szeleści. Wozu koła
 Skrzypią za lasem, człapią konie i pod kopą
 Świeżego siana gryzą szorstkie wędzidła.

Pozwól zdjąć z bluzki robaczka świętojańskiego.
 Drugi nadleciał. Drży na loku. O! Już go nie ma.
 Od wsi dobiega zapach palonych wrzosów i powidła.
 To nie robaczek świętojański, ale diament.
 Dlaczego lubisz tak ten diament w tusze z miki?
 Nic nie mówisz. Patrzysz niema.
 — U piersi trzymasz go dlatego,
 Bo kochasz noc, pachnące siano, czad jeziora,
 Miłości spokój, chociaż pora
 Wieczoru wnosi do krwi zamęt?
 Strząsając żywo na wiklinach pstre świetliki,
 Że drżą na krzewach, świecą w trawach,
 W jeziorze błyszczą, żyjąc z niego. —

Woda

Gdybyś ty, wodo, bieżąca w pierścieniach wiedziata,
 Smaczna wodo, jak się toczą, nacierają, jak dzwonią
 Warstwy ciekłe, cieńsze niż nylon, żwawe, jak powietrze,
 To byś w srebro się ustala.
 Chłopiec z rzeki z wiadrem przeszedł.
 Za nim wróble w pościgu w powietrzu się gonią.

Może kroplę schwyć, co szybko zleciała,
 Nim upadnie w murawę. Potem drugą
 Co leci chłopcu z wiadra. A gdy srebrną strugą
 Lunął z źródła chłodny żywioł, skoczyły do rzeki,
 Tocząc dziobkami po trawie ziarnka wody, jak szum

[kołowrotka.]

O! Żebyś ty, wodo, wiedziała, jaka jesteś słodka!
 Jak pachniesz krnąbrnym sokiem bukowej przesieki.

Odpczywająca

Gorąca chłopka, zaćwiczona
 Pragnieniem dziecka, snu i ciała
 Leży w nietadzie, ze strumieniem
 Księżycą w włosach, piersiach, krtani.
 Z udem, jak kłoda odrzuconym
 Na brzegu łózka, różowawo
 Oddycha, czując przez sen
 Ciosy i gwałt miłości dziki.

Już niema, wzięta i bezwładna
 Pulsuje równo, jak w przystani
 Łódź przytroczona za kolczyki
 Do ryłca w murze. Podestata
 Ręce i włosy na poduszce.

Wciąż pogrążona w śnie, bezradna,
 Technąca gorącem od pościeli
 Wtula się jeszcze pół ramieniem
 W biel prześcieradła, mając stopy
 Luźne, zwolnione. Jakby lawą.
 Wciąż wrzały biodra chciwe żaru,
 Tłuszczu i miazgi, chciwe jadła
 Woni miłosnych i pożaru,
 Choć miło im tu w nocy cieniu
 Oddychać prosto w słoneczniki
 W otwartym oknie, na tej dróżce
 Z piasku miękkiego, na tej bieli
 Co ją przenika, jeszcze parzy,
 Choć sama leży, w opuszczeniu,
 Z wielkim spokojem w białej twarzy,
 Technącej rozkoszą i marzeniem.

Śniadanie

Podają do stołu tłuste, tęgie sery.
 Kruche — z śmietaną. Twarde — z papryką.
 Chrupkie pieczywo, chłodne sellery,
 Zimną sarninę, jaja na twardo
 W krótkich skorupach, sól i cynamon,
 Korzenie chrzanu, spodek z musztardą,
 Rzodkwie umyte w leśnej wodzie,
 Chleb czarny z żaren, co muzyką
 Z sieni się srebrzą ku gospodarzowi.

Płat sera suto błyszczący rano.
 Seler lodygę twardą ma,
 Smak jędrny. Sarniny kęs
 Parzysty do pulchnej bułki. Potem dwa
 Zwięzłe, obrane jaja od kokoszy
 Z smacznym miększem: kubek kawy
 Mocnej, jak ciemny, ochronny aksamit rzes
 Dziewczyny, co się krzepko dźwiga z ławy
 Szeroka, z uśmiechem słodszy od rozkoszy.

Mimozy

Choć jest cicho za werandą,
 Gdybyś zdjęta płomień świecy,
 Później ciężką suknię z czerwonego aksamitu,
 Obnażając ciepłe ciało,
 To zostanie jeszcze nocą,
 Poza nami, za werandą, garstka mimoz
 Oszroniona w niskich krzewach,
 Co się skrzy przez szyby ciemne,
 Zaglądając do pokoju. Mimo
 Czarnej, grubej nocy,
 Jarząc się jak złote oczy,
 Przenikając szkło okienne,
 Co migocą pod kryształatem
 Na pająku. U sufitu.

Pozostanie oprócz garstki złotych mimoz
 Za werandą,
 Oprócz ciała, jak odlanej, ciepłej bryły
 Z bel jedwabiu
 Ładowanych na parowce,
 Oprócz szronu co warstwami w krzewach namarzł,

Czarny w kącie obok schronu
 Za werandą,
 Zardzewiały czyjś karabin.
 Ani krzty spokoju dla nas, choć jest cicho za werandą.

Znak

Jak śpiące, smutne oczy psa
 Miał chorym światłem dwie latarnie.
 Pamięć ich nigdy nie wymaże,
 Choć tyle lat i oddalenia.
 Nie wróca lata, ani fala
 Rzeki, co myła róg szpitala,
 Czerwone cegły drążąc z dna.

Latarnie stare, z rdzawym uchem.
 Gdzie gazu skrzenie, jakby kiście
 Wodnistej bieli, drży, jak liście
 Wstrząsane pulsem ciemnej rzeki
 Płynącej cicho tam przez wieki.

Stróż nocny zajdzie i poprawi
 Mżenie, co śliznie się na fali
 Nieśmiało, potem na mej twarzy błysnie.
 Podniesie rdzawe ucho, świni
 Na psa, co znikł w oddali,
 Węsząc za kaczka.

Przyjdzie czasem,
 Pozdrowi szeptem, potem powie:
 — „Znośna jesień” — niknąc w rowie
 Za rogiem starych dwu latarni,
 Gdzie czekam wciąż, stojąc w nadziei,
 W nieludzkim skurczu i męczarni,
 Czy deszcz i zima, wśród zawiei,
 Co ust się czepia, gniewna, zła,
 Z niemą otuchą, która zbawi.

Na próżno czekam sam w ciemności
 Na znak z szpitala.

Sam, bez pamięci, opuszczony —
 Gdzie śpiące, chore oczy psa:
 Miał smutnym światłem dwie latarnie.

Ceny

Rosną na targach ceny mięsa wieprzowego,
 Choć ja szukam cenniejszego surowca:
 Min marmurowych. Wolę jedwab, uran, szmaragdowe złoza.
 Sprzedają w tonach herbatę. Płaczą, że wietrzeje.
 A ja wiem, że jeszcze polewa nie dnieje.
 Że się nie rozwija, jak opakowanie
 Z zielonej zorzy: dziennej banderoli.

W kolo szumią mokre, ciche zboża
 W zawoju mgły, oparu stawowego.
 O płot glogowy tłusta ociera się owca.
 Węszy wilgotnym, czarnym, aksamitnym nosem,
 Jakby czuła, albo też widziała
 Swą wełnę przedzioną w nici, choć to już nie boli,
 Tylko się wiję szorstko. Tka. Leży na ciałach
 Ścisłe, jak przedza mgły, igrająca z moim papierosem.

Boją się zniżki cen wołowiny, masła,
 Orzechów kokosowych, kauczuku, oliwy i fiołków.
 Ach! Co bym oddał, byle zorza zgasta,
 A ja mógłbym usnąć, zapomnieć na zawsze
 Ceny, surowiec, żywiec, rynki zbytu!

Ach! Co bym oddał! Jaką złocistą świecę zapaliłbym zielonej
 [ćmie,

Żeby przyszłość nie była znowu podobna do dołków
 Różowych i słodkich kobiety, do włosów na płaszczu
 Złotym deszczem rozsypanych, do uśmiechu,
 Gdy weszła: — żegnam — mówiąc. Potem kłamerę płaszczu na
 [kształt stalaktytu

Odpięła: — „Patrz, jestem naga,
 Prześliczna i młoda. Słońce świeci.
 Nie lubisz mnie? —

.....”

Ceny marmuru rosną. Szkoda każdej chwili.
 W gardła fabryk się pchają praca, pieniądz, miliardy surowca.
 — „Szczęśliwą będzie ludzkość. Śmiać się będą dzieci,
 Zwycięży miłość, szczęście i odwaga”. —

Jeszcze teraz Ją widzę, wracając z grobowca
 Za łaką, gdzie koszą świeże, łączne siano,
 Jak stoi śliczna, uśmiecha się, ze sobą się zмага.

Ceny rosną na rynkach. Przemysł idzie w górę:
 Stal, herbata, laski cynamonu, lekarstwa,

*Uran i syfilis, sośny masztowe,
Chmura perfum, elektryczne buty, działa.
Ratunku! Ciemno w oczach, zameł! purpurowy.*

.....

*Dlaczego ślicznej nie ma? Tylko szarfa drżała
Oderwana od trumny, gdy ją kładli rano.
Słońce świeciło jasno, i mężczyzna
Co upadł ciężko na twarde kamienie,
Szarpnął tę szarfę w zemdleniu.
Tak więc tu została,
Trzęsąc się z zimna, skargi i wilgoci.*

Glasgow, czerwiec-lipiec 1948.

Londyn, listopad 1950 — marzec 1951.

Marian CZUCHNOWSKI

Pamiętnik szmuglerski

Wstęp

Trzy powody skłaniają mnie dziś do skreślenia wspomnień z okresu, w którym maczałem dość mocno palce w warszawskim "wielkim szmuglu".

Po pierwsze (nie jest to powód najważniejszy) zauważyłem, że w sprawie wyżywienia ludności stolicy w czasie wojny panują wyobrażenia najzupełniej fałszywe.

Po drugie (i to jest powód ważniejszy) istnieje zwyczaj przeciwstawiania światu konspiracji świata "przemysłników i paskarzy". Takie przeciwstawienie, wraz z ryczałtowym potępieniem wszelkiego handlu, może się zdarzyć tylko w naszym społeczeństwie. W imieniu szmuglerów chciałbym wystąpić otwarcie w obronie warszawskiego szmuglu, tego dużego i tego małego, a także wykazać, jak dalece był on spleciony z życiem podziemnym.

Po trzecie — i to jest powód może najważniejszy — chciałbym dać obraz skorumpowania okupantów. Uważam, że stopień ich demoralizacji był bezpośrednim następstwem doktryny narodowo-socjalistycznej. Nie można prowadzić polityki niemoralnej i głosić niemoralnych programów politycznych, a równocześnie zachować moralność jednostek, w takiej atmosferze wychowywanych. Jednostki zastosują naukę, głoszoną całemu narodowi także do siebie indywidualnie. Będą tak samo dążyły do rozszerzenia zakresu swej władzy i swej przestrzeni życiowej, jak naród, do którego należą.

Jakimi metodami — zobaczymy.



Lato 1940 roku. Francja kapitulowała.

Świadomość, że czeka nas długi okres niewoli, była przygnębiająca, ale ratunkiem dla wielu było to, że trzeba było żyć i często zapewnić możliwość życia innym. Nie zawsze było to łatwe — trzeba było stworzyć system rozbijania niemieckiej polityki eksploatacji "Gubernii Generalnej" i wybić w rurach aparatu ssącego z GG i tłoczącego do Reichu tyle utworów, by przynikło wszystko, co było potrzebne dla utrzymania się przy życiu.

Nie od razu tego dokonano. W zimie 1940/41 i na wiosnę tego roku warunki aprowizacyjne w stolicy były tego rodzaju, że gdyby utrzymały się dłużej śmiertelność przybrałaby rozmiary zastraszające. Ale później było lepiej. Poprawa zaczynała się od małych rzeczy.

Zoliborz już w roku 1940 zaczął zmieniać swe oblicze, gdyż niektóre skwery i puste place zamieniano na ogródki warzywne. Przedtem jeszcze ofiarą łopaty padły wypielęgnowane trawniki ogródków osiedli willowych. Wśród krzaków pomidorów, czy grząd fasoli osamotnione róże były jedynymi świadkami niedawnej świetności. Po nabraniu smaku do ogrodnictwa mieszkańcy Żoliborza zabrali się do nowej kampanii i w 1941 roku wzięli pod łopatę rozległe tereny dolnego parku.

Jako człowiek pochodzący ze wsi, trzeźwo obliczyłem, że rola paruset metrów kwadratowych w uzupełnieniu przydziałów kartkowych nie może być wielka. Natomiast inna myśl zaczęła zaprzętać moją uwagę: gdzie ci ludzie będą kupować nasiona?

Handel nasienny warszawski mógł w sezonie obsłużyć kilka tysięcy starych klientów, tzw. badylarzy czyli hodowców warzyw — nie mógł obsłużyć dziesiątek tysięcy działkowiczów. Od tego już jeden krok do myśli założenia sklepu z nasionami. Jeden z parterowych pokoi willi umeblowałem półkami z biblioteki i uruchomiłem w lutym 1941 r. mały sklepik, który otworzył mi później drogę do wielkiego szmuglu.

Z początku wcale o nim nie myślałem i nie wyobrażałem sobie, że będę się zajmował czymś zgoła innym, niż sprzedawanie działkowiczom małych torebek z nasionami marchwi, cebuli czy pietruszki. A jednak to niewinne zajęcie wprowadziło mnie etapami w nowy świat najnieprawdopodobniejszych pomysłów, zawziętej walki sprytu z brutalną przemocą, w świat, który nauczył mnie brzydkiej sztuki przekupywania i odsłonił przede mną najnikczemniejsze strony natury ludzkiej. Nauczył mnie też rozumieć sposoby, jakimi słaby walczy z silnym, ułatwiając przez to poznanie psychiki poniżonych.

Gdybym nie był szmuglerem warszawskim, nie zrozumiałbym ich tak, jak dziś ich rozumiem. Nie odczułbym, co znaczy pogarda zamaskowana uprzejmym uśmiechem, noszonym na pokaz wobec pyszałków, których słabości odkrywa się dopiero w rozmowie, prowadzonej przyciszonym głosem, z niedomówieniami i aluzjami, aż do tego punktu krytycznego, w którym następuje załamanie silnego przez uderzenie w jego słaby punkt — jakim jest zwyczajna ludzka chciwość.

Co tu dużo mówić — setki czy tysiące rąk, podnoszonych do góry w pozdrowieniu hitlerowskim stwarzały wrażenie wielkiej mocy, a każda moc imponuje i poniża słabego.

Te same ręce, trzymające za nóżki niemowlęta, których czaszki rozbiły się o mur wywoływały potworną grozę. Cyniczne śmiechy pijanych SS-manów na widok krwawych i szarych plam rozlanych na białym tynku budziły głuchą nienawiść, pragnienie zemsty, ale równocześnie były tak nieprawdopodob-

nym dla nas, z wielokrotnionym i wyolbrzymionym demonicznym obrazem zła, że człowiek stawał przed nim zdumiony jego potęgą.

By dojść do równowagi, trzeba było dopiero zobaczyć ręce, jeżeli nie tych samych, to takich samych niby ludzi, wyciągające się chciwie po paczkę banknotów, trzeba było zobaczyć ich usta, układające się w obleśny uśmiech po jej starannym przeliczeniu i ukryciu banknotów w kieszeni munduru spiętego pasem i kłamarą, na której widniała swastyka, okrażona napisem "Gott mit uns".

Wówczas zamiast poniżenia i grozy rodziło się inne uczucie — pogardy.

II. Pierwsze kroki

W późniejszych latach mojej kariery szmuglerskiej z pewnym rozrzewnieniem wspominałem mały pokój, w którym tłoczyli się świeżo upieczeni "hodowcy warzyw" obojga płci w wieku od lat sześciu do osiemdziesięciu, pragnący obok kilku torebek z nasionami otrzymać od razu także cały zasób wiedzy ogrodniczej, potrzebnej do uprawy działek.

Szyld u wejścia do willi i ciągły ruch klientów były doskonałą pokrywką do wszelkiego rodzaju zajęć. Kogóż może dziwić, że z okien domu, w którym mieści się tak ruchliwa firma, wciąż dochodzi stuk maszyny do pisania?

Moje zajęcia handlowe ograniczały się wkrótce do dbałości o zaopatrzenie sklepu w nasiona, narzędzia ogrodnicze i nawozy sztuczne, którymi zresztą nie wolno mi było handlować. Główną podporą była dla mnie stara firma braci Hozer, której dyrektora Janusza Hozerę znałem osobiście przed wojną.

W stosunkach handlowych z nim nauczyłem się, co znaczy tradycja stu lat solidnego przedsiębiorstwa. Janusz Hozer nie mógł się przyzwyczaić do handlu wojennego. Cennik firmy był dla niego cennikiem, a nie sposobem wprowadzenia w błąd policji przemysłowo-handlowej.

Nie chciał sprzedawać drożej i trudno mu było opłacić personel, ale twierdził, że może dawać mu przydziały w naturze, zdobyte u odbiorców. Potem, gdy już absolutnie nie miał innego wyjścia, prowadził pewne operacje "nieodzwolone" w minimalnych rozmiarach, miał rację. Jego firma potrzebna była Warszawie zawsze — moja na czas wojny.

Po pierwszym sezonie rozumiałem, że dla nowego kupca taka polityka jest niemożliwa, bo z początkiem czerwca wszelki normalny ruch handlowy ustaje, a od moich działkowiczów nie mogłem przecież żądać, by mi sprzedawali produkty "według cennika".

W tym czasie jednak otrzymałem licencję na sklep, dotychczas działający jako "przedstawicielstwo Braci Hozer". Wiedziałem, że ta licencja otwierała jakieś dziwne możliwości. Domy-

siliłem się tego stąd, że przy odwiedzinach w pewnej firmie hurtowej powiedziano mi raz:

— Gdy będzie Pan miał koncesję niech Pan przyjdzie do nas. Wtedy będziemy mogli robić większe interesy.

Nie upłynęły trzy dni od otrzymania koncesji, a już mniej więcej wiedziałem o co tu chodzi. Zanim jeszcze zdążyłem zacząć na własną rękę badanie co do racjonalnych metod eksploatacji udzielonego mi "zezwolenia na detaliczny handel nasionami" zjawił się u mnie pewien znajomy, nie mający wiele wspólnego z nasiennictwem, i oświadczył:

— Dowiedziałem się, że Pan przed trzema dniami otrzymał koncesję na handel nasionami. Chciałem Panu zaproponować drobny interes. Czy można na Pański rachunek kupić 500 kg rzepaku w tej i tej hurtowni? Mogę Panu za to zapłacić 2.000 złotych.

W cenniku nasiennym można było przeczytać, że kilogram rzepaku kosztuje złotego. Tymczasem ja miałem ograniczyć się do wpisania w jedynej książce jaką prowadziłem, mianowicie książce przychodu i rozchodu towarów, otrzymanego rachunku, po pół roku zapłacić albo (jak zobaczymy) i nie zapłacić 20 czy 30 złotych podatku obrotowego i dochodowego z tytułu rozsprzedania tego rzepaku i za to otrzymać 2.000 Złotych. Byłem wówczas ogromnie naiwny, ale nie tak naiwny, by nie wiedzieć, że jeżeli ktoś mi za coś daje 2 tysiące, to po pierwsze sam zarabia na tym najmniej pięć, a po drugie gotów pewno dać więcej. Byłbym oczywiście skłonny do tego, by rzepak kupić samemu, ale stał temu na przeszkodzie zasadniczy brak, mianowicie brak jakiegokolwiek gotówki. To co się zarobiło na normalnym sezonie było już dawno przejezdzone. Po krótkich targach wziętem 3.000 i na drugi dzień z tymi trzema tysiącami poszedłem do hurtownika, który zapowiadał mi, że po otrzymaniu koncesji mogę się do niego zgłosić.

Wszedłem do gabinetu, w którym siedział główny udziałowiec firmy, jego żona, prokurent, znany działacz organizacji rolniczej, oraz drugi prokurent, były właściciel największej firmy nasienniczej w Poznaniu. Znałem ich wszystkich stąd, że przedtem kupowałem u nich drobne ilości prawdziwych nasion. Wiadomość o zdobyciu przeze mnie upragnionej koncesji przyjęta była radośnie i wszyscy obecni wyrazili zadowolenie, że przybywa nowy klient. Od razu zaproponowano mi kupienie tony siemienia lnianego.

Bez targów zrobiłem transakcję na własną rękę, kupując tylko 3 cejnary siemienia.

— A dlaczego tak mało?

— Chcę spróbować ile dostanę.

Nie mogłem przecież ujawniać mojej kompromitującej słabości finansowej. Dyspozycję na odbiór towaru z magazynu schowałem do jednej kieszeni, próbkę rzepaku do drugiej, siadłem do tramwaju i pojechałem na Pragę. Znałem przypadkiem tamtejsze targowisko i wiedziałem, że nie jest tak otoczone

firmami nasiennymi, jak Plac Żelaznej Bramy, czyli że konkurencja jest mniejsza.

Bazar Różyckiego na Targowej, zewnętrznie przypominający Kercelak, obejmował kilkaset tandetnych bud, skleconych z desek. Wąskimi uliczkami między dwoma rzędami bud przelewała się rzeka nabywców, począwszy od wiejskich bab w chustkach, a skończywszy na wytwornych damach z Saskiej Kępy, które kupowały tu masło i wędliny. Wśród tłumu uwijali się jeszcze naturalnie kieszonkowcy, dostawcy towaru, a także, jak się później dowiedziałem, wywiadowcy policji.

Wojna zmieniła charakter bazaru, który kiedyś był najtańszym źródłem żywności i lichej konfekcji. Dawniej na bazar towary przynoszono, obecnie na wąskich przejściach z trudem przedzierały się riksze, wiozące ciężkie ładunki. Na przyległych ulicach pełno było wozów i aut ciężarowych. Po rozejrzeniu się w terenie od razu znalazłem uliczkę, w której handlowano siemieniem lnianym. Wybrałem pierwszą z brzegu budkę, w której zauważyłem telefon. Właściciel firmy robił wrażenie raczej młodego studenta, niż kupca z bazaru — jak się później dowiedziałem, przed wojną, po zdaniu matury, zaczął już praktykować w redakcji jednego z dzienników warszawskich. Zainteresował się próbką siemienia i po krótkich targach zgodził się na cenę 14 złotych za kilogram. Nie odpowiadała mu tylko ilość. Potrzebował tony. Oświadczyłem, że to da się zrobić.

Wróciłem do Warszawy, by znaleźć riksę i po drodze zaszedłem na "pół czarnej" do cukierni Gogolewskiego na Marszałkowskiej. Siedząc przy oknie zobaczyłem jak przed cukiernią staje towarowa riksza i atletycznie zbudowany młodzieniec zchodzi do lokalu.

— Proszę o 20 ciastek — zadysponował przy ladzie.

— Zapakować?

— Nie, do stolika.

Siadł obok mnie i zaczął w pośpiesznym tempie likwidować ciastka. Tak mi to zaimponowało, że przysiadłem się i zapytałem, czy by nie zawiózł 300 kg siemienia lnianego z Wolskiej na Bazar Różyckiego. Propozycja została przyjęta i w ten sposób poznałem pana Tadeusza, człowieka, który po miesiącu stał się pracownikiem mojej firmy i był nim później przez trzy lata. Powróciwszy do siebie na Żoliborz kierowałem dalszym biegiem spraw już tylko przez telefon.

Ostatni transport dostarczony został dopiero na drugi dzień rano. W wyniku całej transakcji za tonę siemienia zapłaciłem 9.000 złotych, zainkasowałem 14.000, co po odliczeniu kosztów przewozu dało mi 4 i pół tysiąca zysku, miałem więc już pierwszy kapitał obrotowy w kwocie siedem i pół tysiąca złotych, zarobiony w ciągu trzech dni.

W następnych dniach, nie tracąc wiele czasu, odwiedziłem innego hurtownika, tego, który na mój rachunek sprzedał już komuś innemu rzepak i dowiedziałem się, co mają na sprzedaż. Pokazało się, że pestki słonecznikowe, a ponieważ widziałem, że

sprzedaje je na Bazar Różyckiego, nie namyślając się kupilem tonę. Wiedziałem już, że "na rachunek" kupuje się absolutnie wszystko co dają, bez pytania o cenę, bo to są transakcje "muruwane".

III. Na rachunek... Trzeciej Rzeszy

Kupno nasion na rachunek było, transakcją pół-legalną. Notowało się ją w księgach hurtowników i detalistów, zgłaszało do urzędu nasiennego, nawet opodatkowywało. Cena oczywiście była wielokrotnie wyższa od ujawnionej w rachunku, tym niemniej jednak kasa u hurtowników zawsze się zgadzała, gdyż najpierw płaciło się kasjerce cenę urzędową, a później prokurentowi czy dyrektorowi firmy dopłacało się różnicę — wprost do kieszeni. Z urzędowej ceny płacono urzędową część rachunku dostawcy, którym był urząd nasienny lub jego organy tzw. Centrale Rolnicze (Landwirtschaftliche Zentralstellen). W GG było ich cztery: w Warszawie, Radomiu, Lublinie i Krakowie, później powstała piąta we Lwowie. Hurtownik płacił za towar teoretycznie tylko urzędową cenę, pozornie więc zarabiał ogromne sumy.

W rzeczywistości było jednak trochę inaczej.

W pierwszych miesiącach wojny powstał w Warszawie wielki brak tłuszczów, a równocześnie, wobec polityki zwiększania uprawy olejnych przydziały nasion do handlu były dość duże. Niemieccy urzędnicy nie byli oczywiście tak głupi, by można było przypuszczać, że nigdy się nie zorientowali w wyciekaniu części nasion do domowego przemysłu olejarskiego.

— Trzeba było — tłumaczył mi znajomy hurtownik — zawczasu związać ze sobą decydujących urzędników, zanim się zorientują w rozmiarach szmuglu, uprawianego pod pretekstem "handlu nasiennego".

"Związek" nastąpiło w bardzo prosty sposób. Jeżeli chodzi o śniadanka czy kolacyjki, biurokracja niemiecka nigdy nie była zbyt katońska. Śniadanie spożyte w towarzystwie i na rachunek kupca, z którym się miało do czynienia w toku urzędowania, nie uchodziło za nic specjalnie niewłaściwego. Urzędnicy z Saatgutstelle zaczęli więc korzystać z zaproszeń na śniadania w najdroższych lokalach warszawskich i krakowskich. Przy śniadaniach można swobodnie rozmawiać o tym i o owym, na przykład o względnej łatwości nabycia w GG po bardzo umiarkowanych cenach wszystkiego, czego dusza zapagnie, począwszy od szynki, a skończywszy nawet na drobnych przedmiotach ze złota, w ostateczności nawet z brylancikiem.

Mistrzami w prowadzeniu takich rozmów byli Poznaniacy, znający język niemiecki i tych Niemców, których wysyłano na wschód dla "robienia porządku z Polakami". Można sobie łatwo wyobrazić, że urzędnicy niemieccy, którzy mieli przeciw rodzinny i przyjaciół (albo przyjaciółki) w domu, a ani w Berlinie, ani w żadnym innym mieście Reichu nie mogli kupić niczego, poza urzędowymi przydziałami, skwapliwie skorzystali z możli-

wości nabycia po cenach nieraz... niższych niż przedwojenne wszystkiego, czego tylko zapagnęli sami dla siebie, dla rodzin, a czasem także dla swych przełożonych, czy to w Krakowie, czy w Berlinie, na najwyższych szczeblach hitlerowskiej administracji.

Początek był niewinny: jakiś kuponik angielskiego materiału, kilka kilogramów szynki, gęś, butelka koniaku — jednym słowem drobiazgi. Kończyło się na "nabywaniu" po cenie urzędowej, czyli po 9 złotych, najautentyczniejszych dolarów Stanów Zjednoczonych, bądź miękkich czyli papierowych, bądź twardych, czyli złotych.

— Czyż nie ma wśród tych Niemców ludzi przyzwoitych? — pytałem hurtowników.

— Są, oczywiście są. Przywoici po wręczeniu pożądanego przez nich towaru lub przedmiotu natychmiast odliczają jego równowartość, czyli w rzeczywistości jakiś śmieszny ułamek prawdziwej ceny, natomiast nieprzywoici obiecują uregulowanie tego drobnego rachunku przy okazji. Ta okazja nigdy się nie nadarza i żaden hurtownik nie był tak nietaktowny, by o drobnym długu przypominać.

Trudno sobie wyobrazić, jakie rozmiary przyjmowała ta z lekka tylko zamaskowana korupcja. Na Dworcu Głównym w Warszawie spotkałem kiedyś jednego z poważniejszych hurtowników warszawskich, z którym szło trzech tragarzy z walizkami.

Po powrocie z Krakowa mógł hojnie sprzedawać nasiona na rachunek. Gdy przy zawieraniu transakcji zauważyłem, że ceny są trochę wysokie, obruszył się:

— Nie wie Pan, co mnie kosztowały te walizy z towarami, które wiozłem dla urzędników Saatgutstelle. Wy, detaliści, wyobrażacie sobie, że nam to łatwo przychodzi, ale spróbowałibyście pokazać się w krakowskim urzędzie! Mało tego, że trzeba dawać referentom i naczelnikom, ale już każda maszynistka tylko się rozgląda za pończochami i czekoladkami.

Byłem zawsze szczerliwy, że nie potrzebowałem, jako detalista, podtrzymywać śniadaniowych stosunków z niemieckimi urzędnikami. Była to najmniej przyjemna część działalności hurtownika, który poza tym, przy zachowaniu pewnej ostrożności, ponosił stosunkowo nie wielkie ryzyko, gdyż miał do czynienia z niewielkim gronem zawsze tych samych odbiorców.

Odbiorca, czyli taki jak ja detalista, mógł, przyłapany na przekroczeniu cen, powołać się na to, że zapłacił cenę wielokrotnie wyższą od urzędowej hurtownikowi. Gdyby jednak to zrobił, jego kariera kupca byłaby skończona.

Jeden z detalistów warszawskich, przyłapany przez policję przemysłowo-handlową na przekroczeniu cennika, powołał się na to, że przecież sam hurtownikowi zapłacił o wiele drożej. Skutki były dla niego fatalne. Nie tylko, że nałożona na niego "kara" nie była niższa niż normalnie w takich wypadkach, ale wszyscy hurtownicy przestali mu w ogóle sprzedawać towar. Wychodzili oni z założenia, że umyślnie pozostawiają detalistom

dużą marżę zarobku, by ci już sami pokryli "koszty zapewnienia bezpieczeństwa". Złamanie tej milczącej umowy równało się pozbawieniu podstaw egzystencji.

Nie chodziło jednak o same ceny. Obowiązkiem detalisty było wedle obowiązujących przepisów dbać o to, by nasiona dostały się do rąk rolników. Ścisłych przydziałów nie było i teoretycznie wystarczało wykazanie się dobrą wiarą. Ale jak tu przekonać policję, że się sprzedawało rzepak w dobrej wierze na siew, gdy nabywca niósł ze sobą bańkę na olej, gdy ubranie jego było poplamione tłuszczem, gdy spokojnie pytał w sklepie, ile ten rzepak "wydaje" (oleju) z kilograma, gdy wreszcie przychodził kupować codziennie w takich okresach roku, w których nikt nigdy rzepaku nie siał?

Ryzyko zwiększało się przy transakcjach handlowych bardziej skomplikowanych, przy których samo nabycie towaru, niezależnie od ceny i systemu rozsprzedaży, było pozbawione podstaw prawnych. Wystarczyło jednak, by istniała jakaś niewielka transakcja legalna, by można było pod jej płaszczykiem przeprowadzić cztery razy większe obroty nielegalne. Import ogromnych ilości nasion oleistych z Holandii (siemię lniane) czy Danii (gorczyca) odbywał się kolejami, nie było więc przy tym mowy o zręcznym zakamuflowaniu ilości — list przewozowy ujawniał prawdziwą. Wobec tego ten rodzaj importu prowadzony był przez samą Saatgutstelle, czyli urząd nasienny. To samo dotyczyło przywozu słonecznika z Ukrainy.

Na szczeblach najwyższych toczyły się narady nad rozpaczliwą sytuacją tłuszczową Rzeszy, a wynikiem tych narad było najczęściej wskazanie na możliwość zwiększenia uprawy oleistych w GG i... kierowanie na ten teren nasion, które przez nasz aparat rozdzielczy docierały do ukrytych w piwnicach olejarni warszawskich.

Czy doprawdy uczestnicy narad na najwyższych szczeblach administracji niemieckiej nie orientowali się w sytuacji? Byłoby to absolutnie niemożliwe. Według najskrupulatniejszych ocen ilość maku, zwolniona na siew w GG wystarczyłaby do obsiania całej powierzchni uprawnej... w Europie. A pewne namiastki smarów do motorów lotniczych wyrabiano tylko z oleju mako-

wego... Próbowano przeprowadzić szacunkowe obliczenie jaki procent nasion zwalnianych do siewu był rzeczywiście w GG wysiewany. Nie mieliśmy statystyk z całego terenu GG ale dla okręgu warszawskiego wypadło nam, że najwyżej... pół procent. Na siew sprzedawali tylko hurtownicy i spółdzielnie na prowincji. Ja sam w mojej firmie rozsprzedam co najmniej 300 wagonów, czyli 3.000 ton oleistych, z czego na siew poszło może... 50 kg.

Gdyby te manipulacje ograniczały się do GG można by przypuszczać, że sieć korupcji nie sięga poza Kraków. Ale skoro ogromna część nasion przesyłana była olejarniom warszawskim z dyspozycji samego ministra Darré'go w Berlinie, trudno w to uwierzyć... Raczej przyjąć należy, że w czasie narad na najwyż-

szych szczeblach reprezentowany też był warszawski szmugiel, ten największy, nie przez osoby, lecz przez sygnety na palcach niektórych uczestników, przez złote zegarki w kieszeniach ich kamizelek.

Jak wysoko sięgały macki przekupstwa wnosić można z następującego wydarzenia: gdy do Warszawy przybył jako przedstawiciel Ernährungsministerium brataneek znanego ambasadora Trzeciej Rzeszy, a więc człowiek, należący do najwyższych sfer towarzyskich Berlina, jeden tylko warszawski hurtownik wydał w związku z jego pobylem około 200.000 złotych, przy czym wchodziły w rachubę "okazyjne" kupna złotych zegarków, biżuterii itp.

IV. Mały przemysł i wielkie kombinacje

Przeróbka nasion oleistych (tj. rzepaku, siemienia lnianego, maku, gorczycy, słonecznika i konopi) na olej wymaga zasadniczo dość prymitywnych urządzeń technicznych. Chodzi o to, by nasiona ześrutować, podegrzać i następnie poddać w prasie dużemu ciśnieniu. Nowoczesne olejarnie mają urządzenia techniczne, które ułatwiają wyciśnięcie, a ostatnio chemiczne wypłukanie całej zawartości tłuszczu, później staranne przerafinowanie oleju. Jednakże proste zadanie wyciśnięcia z ziarn niemal całego tłuszczu może być z powodzeniem wykonane w warsztacie, jaki pomieścić się może w średniej wielkości pokoju. Urządzenia techniczne takich olejarni wykonywało w Warszawie co najmniej kilkunastu majstrów, zamawiających poszczególne części w fabrykach.

Niektórzy tajni olejarze prowadzili produkcję na własny rachunek, co zapewniało im większą poufność. Takie przedsiębiorstwo wymagało jednak własnej organizacji zakupu surowca i sprzedaży. By tych kłopotów uniknąć, wielu właścicieli "pras" — jak nazywano tajne olejarnie — pracowało systemem zarobkowym, który polegał na tym, że każdy, kto przyszedł do olejarni z rzepakiem dawał go do przeróbki, przy której zresztą sam pomagał, po czym uściwszy pewną opłatę zabierał swój olej i swoje makuchy.

Praca wędrownego olejarza polegała na tym, że nabywał on tyle nasion oleistych, ile mógł unieść, po czym udawał się do prasy, przerabiał nasioną za opłatą i znowu jechał sprzedąć olej i kuchy, zabierając w drodze powrotnej nową porcję nasion. Z niewiadomych mi bliżej powodów wielkim ośrodkiem przemysłu olejarskiego był Legionów pod Warszawą. W prasach pracowano tam dzień i noc tak, że przeważnie rano z pociągu przyjeżdżającego około godz. 10-tej, który powszechnie nazywano pociągiem olejowym, wysypywał się tłum olejarzy, których poznać można było na kilometr po poplamionej odzieży, charakterystycznym zapachu i bańkach, dźwiganych w plecakach.

Trudno po prostu uwierzyć, że przy ciągłych łapaniach, kontrolach itp. ludzie ci dzień w dzień odbywali tę samą drogę ca-

łymi tłumami. Wy tłumaczenie może być, jak zwykle, to samo: policja niemiecka urządzała obławy, ale nigdy tak radykalne, by całkowicie zniechęcić szmuglerów do pracy, gdyż to pociągnęło by za sobą ucięcie złotej żyły. Choć teoretycznie wprowadzenie na czarny rynek "artykułów zagospodarowanych", mogło być karane śmiercią, w praktyce nieprzekupni żandarmi ograniczali się przeważnie do konfiskaty towaru i skierowania ujętych szmuglerów na roboty przymusowe. Przekupni konfiskowali towar i brali od łebka przysługowe "górale" (500 zł) za wypuszczenie szmuglera do domu. Ponieważ zaś nieprzekupnych było stosunkowo niewiele była to po prostu kwestia kalkulacji handlowej. Obliczano dajmy na to, że co dziesiąta podróż skończy się wpadką, więc trzeba oczywiście policzyć sobie odpowiednio większy zarobek. Na ten zarobek ludzie ci rzeczywiście ciężko pracowali. Podróż z dużym obciążeniem w jedną i drugą stronę w dzień, w nocy nieraz wyczekiwali na swoją kolejkę do prasy z drzemką na jakiejś ławce — przy tym ciągłe ryzyko i ciągłe napięcie czujności przed niebezpieczeństwem, które czyhało w każdym etapie, nie było to życie łatwe, ale też dawało zarobki dość pokaźne.

Dorosły mężczyzna, biorący z sobą 40 kg nasion na jedną turę, zarabiał 200-300 zł. dziennie. Kobiety i dzieci odpowiednio mniej.

Tak jest — kobiety i dzieci. Uważano, że ryzyko jest mniejsze jeżeli wędrowki olejowe odbywają młodociani. Nieraz przybywały po rzepak całe rodziny, złożone z małżeństwa i kilkorga dzieci, po czym już głowa rodziny, umówiwszy się o zakup towaru, zostawała w "prasie", a kobiety i dzieci wozily towar.

Więksi kapitaliści pracowali sami dla siebie, kupując i przetwarzając oleiste na własny rachunek. Ci nabywali nieraz całymi tonami, chociaż niechętnie kierowali samochody ciężarowe pod swoim adresem. Znałem ich kilku. Jeden z nich miał olejarnię na Targówku i przyjeżdżał po rzepak dorożką. Ponieważ czekała go szczególnie ryzykowna droga przez most Kierbedzia, brał ze sobą zawsze rachunek na paręset kilogramów rzepy ścierniskowej, której żaden warszawski wywiadowca nie umiał odróżnić od rzepaku, wystawiony na "Spółdzielnię Ogródków Działkowych na Targówku", zaopatrzony w ogromnych rozmiarów pieczęć w języku niemieckim, stwierdzającą, że moja firma upoważniona jest, na mocy zarządzenia Generalnego Gubernatora, do sprzedaży nasion. Rachunek taki był "murowanym" dokumentem przewozowym. Raz tylko "jakiś granatowy policjant", wedle opowiadań "prezesa ogródków działkowych", obejrzał dokładnie rachunek, pieczętkę, pokiwał głową i zauważył:

— Głowę dam, że to lipa jak stąd do Krakowa, ale szlag Pa-na trafił.

W początkowym okresie zaopatrywałem w rzepak i inne oleiste właściciele budek na bazarze Różyckiego. Olejarze należeli jednak do kategorii ludzi przedsiębiorczych i spostrzegawczych,

bo tego wymagał ich zawód. Zaczęli mnie po prostu zaczepiać i pytać, czy bym nie mógł sprzedawać rzepaku bezpośrednio im. Inni zaczepiali mojego riksarza pytając o adres firmy, z której przywozi nasiona i w ten sposób docierali sami do małego sklepiku, schowanego w willi żoliborskiego Osiedla Dziennikarskiego.

Położenie sklepu sprawiło ich po prostu w zachwyt, co dało mi dużo do myślenia. Pociąg olejowy przybywał na Dworzec Gdański, skąd prowadziły dwie drogi szmuglu: na Bazar Różyckiego i na plac Żelaznej Bramy, oczywiście tramwajami, gdyż nikt nie był w stanie przez długi czas nieść ciężkiego ładunku, nie mówiąc już o tym, że zwracało by to zbyt dużo uwagi. O zdobyciu miejsca w tramwaju z ciężkimi tobołami trzeba było walczyć tak samo ciężko, jak o... wydobycie się z tramwaju. Przy tym oba te odcinki linii tramwajowych były policji przemysłowo-handlowej dobrze znane jako drogi przemytu i często kontrolowane.

Natomiast odcinek między Dworcem Gdańskim, a pl. Wilsona był zupełnie spokojny i stosunkowo bardzo bezpieczny, gdyż stanowiący na wiadukcie można było skontrolować wzrokiem całą trasę i stwierdzić, czy po drodze nie widać bud policyjnych lub zielonych mundurów żandarmów. Co więcej, od Dworca Gdańskiego w tramwajach było sporo miejsca. Dla całego Legionowa moja firma była więc położona wprost idealnie.

Zaczęły się różne kłopoty techniczne, polegające na tym, że trzeba było ogonek nabywców ustawiać wewnątrz willi na schodach i wynajmować na skład niewykończony dom, stojący po drugiej stronie ulicy.

Wkrótce pokazało się, że mój punkt rozdzielczy działa tak sprawnie, że nie ma mowy o pokryciu zapotrzebowania tymi ilościami, które nabywałem bezpośrednio w firmach hurtowych na rachunek. Zacząłem szukać nowych możliwości i naturalnie wkrótce je znalazłem. Istniało mianowicie sporo takich detalistów, którzy sami bali się tłumu olejarzy, odwiedzających ich sklepy. Tacy od razu po wykupieniu nasion na rachunek sprzedawali na miejscu u hurtowników swoje zlecenia magazynowe, co było bardzo wygodne.

Niebawem zorientowałem się, że niektórzy hurtownicy obok "towaru rachunkowego" mają nierachunkowy, który powstał w następujący sposób: hurtownik nie tylko miał prawo sprzedawać nasiona detaliście, ale również miał prawo kupować je u rolników lub u Spółdzielni Rolniczo-Handlowych na prowincji. Zezwolenia na taki skup, który oczywiście umniejszał dostawy rzepaku do olejarni urzędowych, wydawali ci sami urzędnicy, którzy sprowadzali do GG oleiste z całego terenu, okupowanego przez Trzecią Rzeszę. Uzyskanie takiego zezwolenia dawało legalne papiery na przewóz. Wiadomo zaś, że legalne papiery na przewóz stwarzały możliwości przetransportowania nielegalnie trzykrotnej ilości.

Nie trzeba było oczywiście naiwnie wozić nasion koleją. Od tego były samochody ciężarowe, które wysyłało się do ziemianina-dostawcy z niezbędnymi dokumentami na przewóz, które ważne były przez trzy dni. Przez te trzy dni samochód jeździł tam i z powrotem, wioząc za każdym razem nieco więcej nasion niż na to zezwalał urzędowy dokument.

Na podobnych zasadach oparte było dostawianie rzepaku na kontyngent do urzędowych olejarni przemysłowych, których w Warszawie było dwie. Dajmy na to ziemianin zgłaszał urzędowi rolnictwa i wyżywienia, że zebrał z dziesięciu morgów pola trzy tony rzepaku. Był to plon zdumiewająco mały — ale cóż robić, ziemia nie obrodziła, brak nawozów. Na podstawie zgłoszenia o odstawieniu towaru na kontyngent otrzymywał przepustkę. Z tą chwilą zaczynały się dziać cuda, których aranżowanie było moją specjalnością. Na dzień przed terminem, w którym rozpoczynała się ważność przepustki, jechał na bardzo odległe miejsce odbioru samochodów, a z nim konwojent z przepustką. Wieczorem towar był załadowany — ale niestety nocą nie wolno było jeździć. Zamiast trzech ton ładowało się cztery. Na drugi dzień rano wyjeżdżał już z Warszawy drugi samochód ciężarowy pusty — po co zobaczymy. Wieczorem tegoż samego dnia pierwszy samochód przybywał do Warszawy ale oczywiście nie do olejarni tylko do mnie i wyładowywał cztery tony. Konwojent zjadał kolację, wypijał butelkę wódki i jechał na dworzec, by nocnym pociągiem (to było wolno) dotrzeć na drugi dzień ważności przepustki do majątku, w którym tymczasem oczekiwał jego przybycia załadowany poprzedniego dnia samochód nr 2. Nazajutrz samochód nr 1 wracał już z powrotem... po trzeci ładunek. Ludzie naiwni mogą przypuszczać, że ten trzeci ładunek był już wreszcie skierowany do olejarni. Rzeczywiście niektórzy tak robili, ale doświadczeni kupcy postępowali inaczej. Przed przystąpieniem do całej manipulacji przygotowywali sobie dwie tony jakiegoś szczególnie marnego i stęchłego rzepaku, które wreszcie na czwarty dzień, gdy przepustka nie była już ważna, wieźli uroczyście do legalnej olejarni.

Dlaczego dwie a nie trzy? — zapyta czytelnik.

Bardzo proste: ziemianin nie obliczył dobrze ile ma rzepaku i na wszelki wypadek wziął dokument na trzy tony, ale okazało się, że były tylko dwie. Załatwienie tej drobnej sprawy z Kreislandwirtem było już rzeczą ziemianina. Jakaś gaska, parę kurczą czy coś podobnego.

W ostatecznym rezultacie miałem dla swojej klienteli 12 ton ślicznego rzepaku, dającego 30% oleju, zaś oficjalna olejarnia otrzymywała 2 tony stęchłego świństwa, z którego przy użyciu wszelkich nowoczesnych metod odgoryczania i odsmradzania wydobywano 15% smacznego Speiseöl dla głodującego narodu panów. A wszystko odbywało się za legalnymi, najautentyczniejszymi dokumentami z wroną i "w zgodzie z przepisami". Tylko, że ta zgoda była... niezupełna.

V. Pierwsze wpadki

W mojej firmie na Żoliborzu bywałem bardzo rzadko, gdyż z czasem dla wygody i bezpieczeństwa, wynająłem "biuro", złożone z jednego pokoju w mieście, z niezbędnym telefonem. Lokal ten był zupełnie nieoficjalny i służył do spotkań z dostawcami oraz do przechowywania prawdziwych notatek handlowych, tudzież dokonywania większych wypłat i przechowywania większych ilości gotówki. Adresu tej meliny, zresztą często zmienianego, nie wolno było zdradzać nikomu prócz wtajemniczonych.

Stąd o pierwszej wpadce dowiedziałem się od kierowniczkę sklepu przez telefon. Otrzymała ona wezwanie telefoniczne dla właściciela sklepu do stawienia się w "Gewerbepolizei-Praga". Użycie tej nazwy miało na celu wywołanie odpowiedniego wrażenia psychologicznego — wzywała policja polska. Gdy dziś przypominam sobie tę pierwszą wpadkę z uśmiechem myślę o zdenerwowaniu, jakie mnie wtedy ogarnęło. Człowiek myślał już o obozie, choć zasadniczo wiedziało się, że raczej skończy się to inaczej. Ale zawsze trzeba było rzecz załatwić...

Wkrótce po telefonie przybył wprost do mojej śródmiejskiej meliny Tadeusz (ten, który zjadał 20 ciastek na jedno posiedzenie) i opowiedział co się stało. Oto dostarczył paręset kilo rzepaku jednemu z właścicieli budek na bazarze Różyckiego. W chwili gdy obliczano pieniądze, wymieniając cenę, podszedł jakiś cywil, wylegitymował się jako wywiadowca policji przemysłowo-handlowej i zakwestionował towar, po czym spisał protokół, w którym figurowała moja firma. Skutkiem tego protokołu było właśnie wezwanie.

Na praskim komisariacie przyjęto mnie od razu, pomijając długi ogonek zatrzymanych handlarzy ulicznych — jako poważnego klienta. Wywiadowca, jak zwykle półinteligent o nieco przepitej twarzy, zaczął bardzo groźnie, powołując się na okólniki, nakazujące bezwzględne zwalczanie szmugłu, natychmiastowe meldowanie o poważniejszych wypadkach policji niemieckiej oraz grożące straszliwymi karami — także za niedbalstwo w służbie.

— Widzisz pan, jakbym nie przekazał protokołu do Niemców, sam bym odpowiadał i życie bym mógł stracić. To dlaczego ja mam za pana ryzykować?

Zacząłem mu tłumaczyć, że właściwie nie było nic takiego, bo mogę legalnie handlować nasionami. Wywiadowca niezupełnie się w tym orientował, ale wiedział co odpowiedzieć:

— Możliwe, w takim razie nic panu nie będzie szkodziło jak przekażemy sprawę Niemcom. Tylko jak to było z ceną? Rzepaczek się sprzedaje po złotówce, a nie po dwadzieścia pięć... I nie na olej...

— Po takiej cenie nikt nie dostanie. A co do oleju — to przecież pan wie, że ludzie coś muszą jeść, a tłuszczu na kartki nie było od czasu wojny... Życie ciężkie...

Ta wzmianka o ciężkim życiu jest pierwszą macką, wysuniętą w stronę człowieka, który trzyma w swym ręku losy szmuglera. Powinna ona wywołać nieznaczną, dyskretną półuśmiech na twarzy, która dotychczas wyrażała powagę i zimną obojętność stróża przepisów wobec przestępcy. Od zdolności zamaskowania tego uśmiechu zależy wysokość łapówki i muszę powiedzieć, że nabycie umiejętności obserwowania tej pierwszej reakcji w rozmowach z polskimi wywiadowcami pozwoliło mi później oszczędzić wiele, gdy dostałem się w ręce groźniejszych Niemców. Nie ma mianowicie przekupnego człowieka, którego zamknięte w twardym skurczu i groźne usta nie rozprężyłyby się leciutko przy tej pierwszej aluzji. Przeważnie jednak stróż przepisów czeka na dalszy ciąg, zachowując możliwe do osiągnięcia maksimum ponurej powagi. Tak też było i tym razem. Wywiadowca milczał, zaciągając się papierosem, musiałem ciągnąć dalej.

— Każdy musi przecież jakoś zdobyć trochę tłuszczu, bo bez tego nie może żyć. Panowie też chyba muszą drogo kupować. Rozumiem, że Panom też ciężko, i panowie też rozumieją, że my musimy żyć, a my musimy żyć, a my musimy żyć, a my musimy żyć...

Z radością skonstatowałem, że uśmiech wywiadowcy, w miarę wygłaszania tej oracji, która stała się później dla mnie stereotypową, staje się coraz wyraźniejszy. Można pójść dalej!

— Więc byłbym skłonny jakoś to wziąć w rachubę...

W tym miejscu niektórzy dalej czekają, inni, mniej rutynowani, stawiają wprost pytanie, które padło i tym razem:

— Więc jak pan to chce załatwić?

Tu już pękają wszelkie lody. Nastrój grozy mija i odpowiada się po prostu:

— Zwyczajnie — górala.

— To mało, bardzo mało...

— A ileż pan myśli?

— Dwa tysiące. Grozi panu obóz koncentracyjny.

To był znów ciężki pocisk, który jednak nie wywarł na mnie wielkiego wrażenia. Postanowiłem zaryzykować i odpowiedzieć niemniej niebezpiecznym:

— Ostatecznie mógłbym panu dać i dwa tysiące, ale żał by mi było, gdyby pan kiedyś miał z tego przykrości.

— Jak pan to rozumie?

— Bardzo prosto. Nikt nie może panom brać za złe, że uzupełniacie sobie pensje, z których wyżyć nie podobna. Ale gdyby kiedyś ktoś stwierdził, że wymuszaliście nadmierne — namyślałem się chwilę nad określeniem — d a t k i i groziłiście Niemcami to mogłyby z tego powstać nieprzyjemności. Zostanmy więc przy góralu.

Pocisk był dobrze wycelowany. Wywiadowca skurczył się pod wpływem moich słów i przybladł. Równowaga została przywrócona. Banknot pięćsetzłotowy, czyli "góral" powędrował z mojej kieszeni do kieszeni wywiadowcy — ale odbyło się to dopiero po wezwaniu dwu dalszych wywiadowców z sąsiedniego

pokoju, którzy przerwali w związku z tym przeprowadzane tam "przesłuchiwanie" innego klienta. Nie bardzo rozumiałem po co się to robi — ale zaraz wszystko się wyjaśniło. Kierownik placówki zaindagował mnie, czy stale prowadzę interesy na Pradze. Trudno było zaprzeczyć. Wobec tego zaproponował mi mniej ni więcej tylko stałą... opiekę, która polegać miała na regularnym przemykaniu oczu na mojego riksarza, tudzież na ostrzeżeniach o groźących interwencjach policji niemieckiej. W praktyce takie ostrzeżenie miało miejsce raz jeden. Ponieważ ostrzeżenie puściłem dalej na bazarze praskim wynikły stąd pewne podejrzenia i Niemcy zaczęli tać przed placówką praską policji przemysłowo-handlowej termin swych odwiedzin, które były zwyczajnym rabowaniem wszystkiego co było na bazarze, przeważnie na prywatny użytek policjantów i wywiadowców niemieckich.

Umowa nasza przewidywała stałą stawkę 500 zł miesięcznie dla "placówki", przy czym żaden z agentów nie mógł już działać na własną rękę.

Zaciszny sklepik na Żoliborzu, położony zresztą o 300 metrów zaledwie od komisariatu policji, znacznie dłużej uniknął wizyt wywiadowców. W końcu jednak — wiedziałem, że wcześniej czy później to przyjąć musi — także i tam nastąpiła wyspa. Pech chciał, że otrzymałem duży transport oleistych w okresie spodziewanej inspekcji naczelnika wydziału wyżywienia i rolnictwa przy szefie dystryktu warszawskiego. Wobec tego zarządziłem sprzedanie tego transportu w garażu położonym o 150 metrów od sklepiku i tak samo daleko od komisariatu. Sam sklepik wyczyszczony, uporządkowany i uwolniony od wszelkich towarów podejrzanych oczekiwał inspekcji.

W czasie gdy tłum nabywców stał w otwartej bramie garażu, przybył nowy klient, który stanął w ogonku jak inne, nie zwracając niczyjej uwagi, poczekał swojej kolei, zapytał ile kosztuje sprzedawane właśnie siemię lniane i jaka jest wydajność, po czym pokazał znaczek policyjny w klapie i oświadczył, że muszę natychmiast stawić się w komisariacie "Gewerbepolizei" na Żoliborzu. Dowiedziałem się o tym jak zwykle przez telefon i nie zwlekając przybyłem na miejsce. Rozmowa miała przebieg niemal dosłownie taki sam jak na Pradze i skończyła się zawarciem takiego samego "paktu o nieagresji".

Osobna klauzula tego paktu przewidywała, że klienci moi są objęci ochroną, dzięki czemu mogłem im pozwolić na przyznawanie się, w razie złapania na ulicy, że towar kupili u mnie. Wówczas puszczano ich wolno, naturalnie na terenie Żoliborza, gdyż inne komisariaty nie były objęte umową. Jak zwykle ustalenie wysokości stawki i warunków nastąpiło w obecności całej placówki, złożonej z kierownika i dwu wywiadowców. Odbiór pensji odbywał się tak, że pan O., wywiadowca, który mnie nakrył, zjawiał się na każdego pierwszego w sklepie, a znająca go dobrze kierowniczką wręczała mu "list" zawczasu przygotowany. W zaadresowanej kopercie leżał "góral". Klientela,

znająca pana O., z poprzednich spotkań ulicznych, z czasem przestała się niepokoić jego widokiem.

Jak widzimy w tej dziedzinie istniał pewien system, jak dobrze zorganizowany i jak — nie waham się użyć tego określenia — uczciwy, przekonałem się po roku. Najnie spodziewaniej w świecie znów otrzymałem niepokojący telefon z Żoliborza, że zatrzymano na ulicy młodocianą klientkę i na jej wyjaśnienie, że nasiona oleiste kupiła u mnie, dwu wywiadowców przybyło do mojego sklepu i stwierdziło wielkie zapasy "surowca". Był to fakt tym bardziej zdumiewający, że wywiadowcy pochodzili z komisariatu żoliborskiego, który był "załatwiony". Byli jednak nowi, nieznanymi.

Natychmiast po przybyciu do komisariatu stwierdziłem, że urzęduje nowy kierownik placówki, a cały jej skład został zmieniony. Kierownik rozsiadł się uroczyście za biurkiem i zaczął zwykłą orację:

— Nasze organy śledcze stwierdziły, że sprzedaje pan nasiona oleiste po cenach wygórowanych osobom przerabiającym je przemysłowo w nielegalnych warsztatach, co według dekretu generalnego gubernatora z dnia... jest zakazane pod karą (Organ śledcze przysłuchiwały się z uwagą)...

— Dobrze, dobrze — przerwałem niecierpliwie piosenkę znaną mi na pamięć — ale przecież to jest już dawno załatwione.

Słowa te wywołały natychmiastowy efekt. Kierownik placówki i dwaj wywiadowcy pochylił się ku mnie słuchając z napięciem sensacyjnych informacji. Kierownikowi ani się nie śniło przedłużać groźnej przemowy, natomiast dużo miększym głosem zapytał:

— Z kim i jak załatwione?

Namyślałem się nad odpowiedzią, ale kierownik dopomógł mi w powzięciu decyzji:

— Mów pan spokojnie. Nie potrzebuje pan oszczędzać łobuza, który powinien był nam zdać wszystkich klientów. Trzy miesiące temu wszyscy trzej z naszej placówki przeszli na Poznańską, a my przyszliliśmy tu z Woli.

Zrozumiałem o co chodzi. Pan O., nie przyznając się do przemieszczenia, nadal zgłaszał się po daninę dla placówki, którą chował "bezprawnie" do swojej kieszeni. Wyjaśniłem więc sytuację z podaniem nazwiska "łobuza".

— Czy na pewno zapłacił pan za ostatni miesiąc?

— Mogę sprawdzić.

Połączyłem się ze sklepem telefonicznie, po czym w obecności trzech łapaczy przeprowadziłem następującą rozmowę:

— Panno Stasiu, dzwonię z komisariatu, niech się pani nie denerwuje niepotrzebnie, bo w zasadzie wszystko się wyjaśniło. Chciałbym tylko się zapytać kiedy był ostatnio O. i czy odebrał list?

— Był przed kilkoma dniami i naturalnie odebrał list.

— Dziękuję. Został przeniesiony gdzieś indziej, razem z towarzyszami.

— Aha, teraz wszystko rozumiem. Jak będzie dalej?

— Po staremu. Dowidzenia pani, dziękuję.

Kierownik placówki domyślił się treści pytań mojej pracowniczki i skinął głową:

— Dobra jest. Będziemy z panem pracować jak poprzedni zespół.

— A co będzie za ten miesiąc? Płaciłem z góry, ale gotów bym panom tego górala...

— Tego górala — przerwał mi przedstawiciel władzy — my wziąć nie możemy, bo jesteśmy uczciwi. Prawda panowie? — zwrócił się do dwu podwładnych.

— Nie — potwierdził pierwszy.

— Możemy, możemy — energicznie zaprzeczył drugi — ale nie od pana tylko od tego łobuza, drania, s...syna O. I tego górala i trzy za poprzednie miesiące, odkąd go stąd przenieśli. Nie mam racji, panie kierowniku?

— Prawda. Z panem wszystko załatwione — odwrócił się do mnie — na następnego pierwszego przyjdzie do pana ten pan — wskazał na swego pomocnika — po list, a prócz tego wezwą pana do głównego komisariatu na Krakowskim. Niech się pan nie przestraszy. Pan komisarz X. zapyta pana jak było z O. i to będzie wszystko.

— A O. nie będzie mi robił świństw... u Niemców?

— Nie, to panu wyjaśni pan komisarz.

Rzeczywiście w kilka dni później otrzymałem wezwanie do głównego komisariatu policji przemysłowo-handlowej (polskiej) na Krakowskim Przemieściu. Przyjął mnie komisarz X. Poprosił o zajęcie miejsca zapytał:

— Słyszałem, że ma mi pan coś do powiedzenia. Wiem właściwie wszystko, chodzi mi tylko o potwierdzenie z pana strony.

Opowiedziałem całą historię z O. i placówką żoliborską. Komisarz słuchał z uwagą i obiecał, że "zrobi porządek". Jego z kolei zapytałem, czy nie grozi mi nic ze strony O., który zna całą moją działalność handlową.

— Niech pan będzie spokojny — wyjaśnił komisarz — nie tylko, że O. o niczym Niemcom nie doniesie, ale jeżeli jeszcze wierzy w Boga, będzie się gorąco modlił, by pana przypadkiem Niemcy nie nakryli, bo wtedy podejrzenie padłoby na niego i groziło by mu znacznie więcej niż panu.

— Od kogo?

— Od nas. Musi pan wiedzieć, że opodatkowanie firm handlowych, robiących trochę... tego, jest nam znane. Pan sam wie, że bez tego ludzie z głodu by ginęli. I moi ludzie i w ogóle.. Warszawa. Ale grandy nie tolerujemy i mamy swoje sposoby. O. powinien był pana przekazać następcom, a pobieranie przez niego opłaty po przeniesieniu na inną placówkę było kantem. Na to nie pozwalam.

Rozmowa z komisarzem X. przekonała mnie ostatecznie, że

polska policja przemysłowo-handlowa nie jest narzędziem wykonywania poleceń niemieckich, lecz organem naszym, służącym zabezpieczeniu "wielkiego szmuglu". W czym interesie? Czy tylko w swoim? Chyba nie. Mogła być ode mnie wycisnąć znacznie więcej niż drobne opłaty miesięczne.

VI. Nowe kombinacje i "prędkie towary"

Czasem odstawianie na kontyngent "zagospodarowanych" nasion, a więc pozornie transakcja najbardziej prawomyślna, łączyła się z najbezpieczniejszymi kantami, jakie sobie można wyobrazić.

Niemcy doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że za cenę urzędową rolnicy nie będą mieli ochoty dostarczać na kontyngent nasion szczególnie potrzebnych. Stąd za dostarczenie np. nasion koniczyny czy soi wydawano premie w cukrze, wódce czy papierosach. Produkcja nasion koniczyny była więc całkowicie rentowna dla rolnika przy legalnym odstawianiu na kontyngent. Trzeba było tylko legalnie otrzymane towary sprzedać nielegalnie. Premie nie były jednak wydawane bezpłatnie, lecz sprzedawane po urzędowych cenach. Na tym oparto kombinacje, które cały cel systemu premiowego przeinaczyły i i uczyniły z niego sposób wydostawania cukru bez żadnych korzyści dla "gospodarki niemieckiej". Po pierwsze można było odstawić na kontyngent koniczynę niedoczyszczoną — z braku odpowiednich maszyn u rolnika. W firmach hurtowych kupowało się poślady i inne zanieczyszczenia koniczyny i najzwyczajniej dodawało do odstawianej koniczyny, która już przedtem miała swój procent zanieczyszczeń. Hurtownik, partycypujący w interesie, wystawiał kwity premiowe na całą ilość, które się szybko realizowało. Po oczyszczeniu w magazynach okazywało się, że zanieczyszczeń było więcej niż prawdziwego nasienia. Hurtownik pisał "ostry" list do ziemianina dostawcy, potrącał mu większą część gotówkowej należności, ale wydanych kwitów premiowych nie mógł już odebrać, a o nie tylko chodziło. Nikt też nie mógł odebrać raz wydanego cukru, bo ten przecież był za gotówkę "kupiony".

Teraz trzeba jeszcze wziąć pod uwagę, że część nasion mogli hurtownicy sprzedawać detalistom — bo przecież rolnicy w GG też muszą coś siał. Wobec tego postępowano w następujący sposób: rolnik odstawiał koniczynę i otrzymywał premiiowy cukier. Następnie sprzedawano koniczynę detaliście, który płacił cenę urzędową. Detalista z kolei znajdował znajomego ziemianina, który zgodził się "odstawić na kontyngent" koniczynę, która już raz była na kontyngent odstawiona i drugi raz wziąć premię. Znowu na rynek wchodziło parę cetnarów czy czasem ton cukru... Trzeba było tylko w Saatsgutstelle wyjednać zwolnienie koniczyny od sprzedaży na rynku wewnętrznym, a to załatwiali ci sami urzędnicy, którzy sprowadzali do GG całe pociągi nasion olejnych...

Gdy poznałem te manipulacje przysłała mi do głowy rewelacyjna w swej prostocie idea: przecież żadna koniczyna do tego interesu w ogóle nie jest potrzebna. W pomysł mój wtajemniczyłem jednego ziemianina i jednego hurtownika, z którymi na próbę przeprowadziłem transakcję wzorową, to jest taką, przy której koniczyny w ogóle nie było. Ziemianin dostarczył tonę (nieistniejącej) koniczyny hurtownikowi. Hurtownik sprzedał tonę koniczyny (nieistniejącej) mnie. Ja rozsprzedałem tonę (nieistniejącej) koniczyny rolnikom. Jakim? Skądże mógłbym to wiedzieć? Przychodzili, brali po kilkadziesiąt kilo, po kilka kilo, aż rozkupili... jakby się kto pytał. W rzeczywistości jedną rzeczą, którą przy tym kupowano i sprzedawano był... cukier. A cichymi współnikami do interesu byli urzędnicy Saatsgutstelle i szefa dystryktu, powiatowy rolnik (Niemiec), policja polska, niemiecka (w razie wpadki) jak zwykle.

Zupełnie szczególny interes wymyślili Poznaniacy, siedzący w Landwirtschaftliche Zentralstelle Radom. Była to "wymiana nasion", pomysłana w sposób genialny. Były mianowicie niektóre nasiona stosunkowo tanie, których na rynku było dość, a były takie, których brakło. W pierwszym rządzie wchodziły tu w rachubę oleiste, ale obok nich koniczyna, groch, fasola, gryka, proso (Obok nielegalnych olejarni Warszawa miała nielegalne kaszarnie, przerabiające grykę i proso, a także nielegalne młyny zbożowe. Wiele z tych przedsiębiorstw zwiedzałem, gdyż cieszyłem się zaufaniem klientów).

Na czym wymiana nasion polegała, zrozumiemy najlepiej na podstawie typowej transakcji, przeprowadzonej przeze mnie z "Radomiem". Przedstawię ją w formie tabeli, podając najpierw ilość nasion oddanych przeze mnie, a potem ilości otrzymane:

A. Dałem Radomiowi:	Wartość urzędowa	Wartość rynkowa
100 kg marchwi nantejskiej	zł. 5.600	10.000
5 kg. kapusty Langendijker	" 1.000	2.000
Razem zł.	6.600	12.000
B. Otrzymałem z Radomia:	Wartość urzędowa	Wartość rynkowa
2.000 kg Rzepaku	zł. 2.000	50.000
2.000 kg grochu Victoria	" 1.800	24.000
4.000 kg prosa	" 2.400	24.000
Razem zł.	6.200	98.000

Jak czytelnik łatwo zauważy z oficjalnych rozrachunków wynikało jasno, że Radom musiał dopłacić 400 zł. Natomiast z rzeczywistego rozrachunku wynikało niemniej jasno, że zarabiałem 86.000 złotych. Kto by jednak przypuszczał, że po prostu chowałem ten zysk do kieszeni myliłby się grubo. Na mnie przypadało zaledwie 25% marży, drugie 25% zarabiali pośrednicy warszawscy, reszta szła do Radomia. Jaką część zabierali z te-

go niemieccy dyrektorzy, jaką ich nadzorcy z Krakowa i Berlina (za zezwalanie na takie interesy), nie wiem. W każdym razie niemieckie łapówki w tych transakcjach wynosiły rocznie wedle moich obliczeń 5 do 6 milionów złotych.

Landwirtschaftliche Zentralstelle w Warszawie była ostrożniejsza i handlowała na czarno tylko z dwoma zaufanymi firmami, od których inne musiały nasiona odkupywać. Szczególnie często odbierałem z jej składów nasiona zbóż, którymi nie wolno mi było handlować. Robiło się to przy pomocy umów o reprodukcję nasion.

Polska miała szereg doskonałych zbóż, ale Niemcy ogarnięci byli pasją ulepszenia wszystkiego i dlatego sprowadzali nasiona z "Reichu", by oddawać je do reprodukcji rolnikom w GG.

Trzeba tu niefachowcom wyjaśnić terminologię hodowli nasion. Odmiana wyhodowana przez hodowcę powstaje najpierw w minimalnej ilości paru kilogramów, drogą sztucznego zapylania poszczególnych kłosów, zawijanych w bibułkę, odgrywającą rolę... pasa cnoty. Wartość handlowa tych kilku kilogramów jest ogromna, jeżeli naturalnie nowa odmiana jest udana. W ciągu kilku lat firma hodowlana powiększa ilość nasienia do kilkunastu ton — jest to tzw. superelita, którą oddaje się do reprodukcji rolnikom na podstawie specjalnych umów. Stąd z jednego cetnara superelity powstaje w ciągu dwu lat wagon oryginalnego zboża siewnego, którego cena jest dwa razy wyższa niż zboża na przemiał.

Piszę to wszystko, by czytelnik zrozumiał, jakim skarbem jest superelita. Tymczasem superelity sprowadzane z Niemiec wędrowały wprost do warszawskich młynów, gdzie przerabiano je na mąkę do wypieku bułeczek, sprzedawanych w całej Warszawie zupełnie jawnie.

Landwirtschaftliche Zentralstelle w Lublinie robiła jakieś dziwne manipulacje z mąką pszenną za pośrednictwem wielkiej hurtowni nasiennej. Stąd jako klient tej hurtowni musiałem z konieczności handlować także mąką, co było już interesem ryzykowniejszym, gdyż nikt mi nigdy żadnego pozwolenia na handlowanie mąką nie dawał.

Do najmniejbezpieczniejszych transakcji należało kupno "prędkiego towaru". Co to był prędkie towar?

Siedział sobie człowiek przy telefonie w śródmiejskiej melinie i podnosił słuchawkę na odgłos dzwonka.

— Weźmie pan dwie tony słodkiego towaru (albo mąki, albo czegoś takiego)?

— Ile?

(Podawano cenę, zwykle raczej umiarkowaną.)

— Dobrze, kiedy przywieziecie?

— Za pół godziny. Jak z płacaniem?

— Pół gotówką, pół czekiem na jutro. (Czek bez pokrycia był normalną formą płatności w wielkim szmuglu — dlaczego, łatwo zrozumieć).

— Może być. Gdzie wieźć?

— Na Targową.

— Wolimy nie przez most (mosty były szczególnie kontrolowane). Może na Żolibórz?

— Dobrze. Gotówka będzie na miejscu, czek u mnie, gdy mi potwierdzą z Żoliborza, że towar przyszedł.

To był "prędkie towar". Trzeba go było brać natychmiast i natychmiast płacić. Pochodził przeważnie "z kolei", to znaczy z wagonów, rozbijanych po drodze na Ostfront, albo po drodze do Reichu. Proceder ten uprawiany był przeważnie na Pradze, gdzie wycinano z dna wagonów parę desek i wyciągano worki, bez naruszania plomb, tak że opróżnione wagony jechały dalej i dopiero na miejscu przeznaczenia przekonywano się, że były... puste. Gdzie dokonano opróżnienia, nikt nawet nie mógł sprawdzić.

Dlaczego właściwie nabywały "szybki towar" firmy nasienne? Po prostu dlatego, że mogły one uzasadnić i wykazać dokumentami posiadanie legalne wielu artykułów, obok nasion także i cukru ("Cukier premiowy, zdeponowany przez ziemianina X. z majątku Y". Potrzebne dokumenty zawsze przechowywano z poprzednich transakcji "odstawiania na kontyngent").

Ze względu na transakcje "prędkim towarem" i od czasu do czasu mąką, której obecności w składzie niczym nie mogłem usprawiedliwić, obok trzech oficjalnych sklepów (w tym jeden na Pradze) miałem jeszcze na Żoliborzu trzy ciche magazyny. Otóż trzeba było tak manipulować, by nigdy nie odkryto naraz wszystkich trzech, a wówczas przeważnie można się było ze wszystkiego wygrać, co leżało w magazynach odkrytych.

Najczęściej "prędkie towar" sprzedawał mi pewien spedytor... Wożenie jego nie było szczególnie bezpieczne, ale z chwilą przybycia do mnie można było już zakamuflować pochodzenie. Była w Warszawie pewna firma przewozowa, która gwarantowała bezpieczeństwo przewozu każdego towaru i brała podwójne stawki. Jakaś nieznaną mi drogą zdobywała ona zaświadczenia, iż towar dostarcza do koszar... SS-Polizei, właśnie na Żoliborzu. A czyż może być bardziej prawomyślna działalność niż dowożenie żywności dla dzielnych SS-manów? Szoferów tej firmy nieraz poznawałem na samochodach dowożących mi "prędkie towar". Nie znaczy to, by firma ta wiedziała skąd "prędkie towar" pochodzi. Po prostu przewoziła dla każdego.

VII. Czarny dzień

Przez długi czas udało mi się uniknąć kontaktu z władzami niemieckimi, ale wiedziałem, że kiedyś musi nastąpić zetknięcie z groźbą największą, jaką znał przemytnik warszawski, mianowicie z osławionymi szpicłami niemieckiej Gewerbpolizei z głównej komendy na Krakowskim Przedmieściu i z Wache Nord na ul. Leszno. Nastąpiło to w jednym dniu i w okolicznościach szczególnie trudnych i nieprzyjemnych.

Warszawa w owym czasie była punktem przelotowym dla wiel-

kich transportów ewakuacyjnych ze wschodu, obejmujących głównie produkty spożywcze — wśród nich soję. Z tą soją zawsze był kłopot — ziarno jej było teoretycznie bardzo wartościowe, gdyż zawierało duży odsetek tłuszczu i białka. Można było soję zarówno jeść (nawet robiono z niej, po zmieleniu, kiełbasy i kotlety), jak i przerabiać na olej. Ale olejarnie nie miały odpowiednich młynków do śrutowania soi, a mieszkańcy Warszawy po prostu nie chcieli soi jeść. Czasem jakiś szpital czy jakaś kuchnia społeczna brały po cetnarze na próbę, ale okazywało się, że nikomu nie smakuje. Podobno z soi można było robić kawę ale na ten cel była znowuż za droga.

Byłem więc w prawdziwym kłopotcie, gdy zaofiarowano mi 5 ton soi pod warunkiem natychmiastowego odbioru. "Ofertę" złożył furman z Marymontu, nie ulegało więc najmniejszej wątpliwości, że chodzi o "prędkie towary". Uważałem poniekąd za swój obowiązek obywatelski kupować wszystko, co było zrabowane Niemcom. Ale co u licha można z tą soją zrobić? Dostawca czekał w sklepie na Żoliborzu na telefoniczną odpowiedź.

Właśnie w tej chwili odwiedził mnie pewien ziemianin z Grójeckiego który, jak się często zdarzało, przyszedł bez określonego celu bo... potrzebował pieniędzy.

— Może by — mówił — dało się skądś wyrwać parę tysięcy. Mogę wziąć superelitę pszenicy do reprodukcji, mogę odstawić koniczynę i wziąć premię. Wprawdzie pszenicy nie mam gdzie siać, a koniczyny nie mam, ale Pan przecież to wszystko wie jak załatwić, żeby było dobrze i żebyśmy zarobili.

— Cała pszenica siewna już rozdzielona — odpowiedziałem — a z koniczyną także nic nie da się zrobić, bo chwilowo w Warszawie cukier premiowy wyczerpany.

Namyślałem się, co by tu jeszcze można wykombinować, aż wreszcie skojarzyłem trudną ofertę na soję z potrzebą gotówki mojego ziemianina:

— Wie pan co, mam pewien pomysł. Czy nie mógłby Pan odstawić na kontyngent soi i pobrać premiiowy cukier na nią w Grójcu?

— A skąd soja?

— Mam. Przywiózłbym Panu do Grójca i odstawiłibyśmy. Zysk po połowie.

— To się da zrobić. Na wiosnę podpisałem kontrakt na uprawę soi, dostałem kilka metrów i ma się rozumieć sprzedałem w Warszawie. Potem zgłosiłem Kreislandwirtowi, że nie zeszła. Przyjechał do mnie do majątku, wypił pół butelki wódki i potwierdził, że prawda. Teraz mu zgłoszę, że zaszła pomyłka, że soja zeszła, zebrałem ją i mogę odstawić.

Nie namyślałem się długo. Na drugi dzień mój riksarz i to-tumfacki jechał już kolejką grójecką, konwojując wagonik soi, zaopatrzony w piękne etykiety mojej firmy nasiennej. Przy sobie miał rachunek, stwierdzający, że dostarczam p. R. pięć ton soi nasiennej za zezwoleniem samego Generalnego Gubernatora.

Na dworcu w Grójcu soję wyladowano na wozy p. R., rachunek mojej firmy powędrował do tylnej kieszeni, a do portfelu wsadzono nowe zaświadczenie p. R., stwierdzające rzecz wprost odwrotną, mianowicie, że to p. R. odstawił do Spółdzielni Rolniczo-Handlowej soję, zebraną w swym majątku. Wszystko odbyło się planowo, tylko na cukier trzeba było czekać do drugiego dnia. I tu zdarzyło się pierwsze małe nieszczęście, będące jakby sygnałem ostrzegawczym. Konwojent nocował we dworze p. R., który w nocy odwiedził oddział... "Armii Ludowej". Mojego wysłannika kosztowało to tylko zegarek kupiony niedawno. Strata sama przez się była niewielka i mieściła się w kosztach handlowych.

Na drugi dzień znów wszystko szło przewidzianym trybem. W Grójcu podjęto 900 kg cukru premiowego, p. R. wystawił zaświadczenie, że ten legalnie (za zrabowaną soję) zdobyty cukier przesyła do mnie do Warszawy "na skład". I cały transport powędrował do mnie na Pragę. Na drugi dzień miał być rozsprzedawany i dziwnym zbiegiem okoliczności w tym samym dniu przyszło kilkanaście ton mąki z Lublina. Oba interesy były wyjątkowo niebezpieczne z uwagi na pochodzenie cukru i z uwagi na to, iż nic nie mogło usprawiedliwić posiadania przeze mnie mąki. W dodatku oba interesy pochłonęły zapas gotówki obrotowej i trzeba było szybko sprzedawać.

Ta szybka sprzedaż stała się przyczyną nieszczęścia. Młody chłopak pracujący na Pradze wyjechał z cukrem riksą na Bazar Różyckiego i tam złapała go obława niemieckich żandarmerów i szpicli z Krakowskiego. Sami Niemcy. Szczególnie nieprzyjemne było, że jedyny raz w historii mojej firmy chłopca zawieziono na Krakowskie i z lekka pobito, po czym wypuszczono z poleceniem, żeby właściciel firmy stawił się na drugi dzień o godz. 8-mej rano.

Zgodnie ze swoimi zasadami przybyłem oczywiście na to wezwanie i opasy, wyjątkowo bezczelny szwab wygłosił do mnie dłuższe przemówienie, z którego wynikało, że najdalej na drugi dzień będę sądzony za masowy szmugiel. Na tłumaczenie o całkowicie legalnym pochodzeniu cukru odpowiedział, że wobec tego jego władze przełożone będą musiały szczegółowo zbadać całą sprawę i przesłuchać mój personel. Sam nie wiedział, w jak czuły punkt trafił i do jakiego stopnia osłabił moją zdolność oporu przeciw żądaniom łapówkowym. Cały czas dręczyło mnie możliwie najfatalniejsze pochodzenie soi i bezczelny sposób jej wymiany na cukier. O tym na szczęście Niemiec nie wiedział.

Zacząłem zwykłą orację o ciężkim życiu, którą szpicel przerwał słowami:

— Fassen Sie sich kurz! In zehn Minuten muss ich die Sache weitergeben (Niech Pan się streszcza. W ciągu dziesięciu minut muszę przekazać sprawę dalej).

Najbardziej rutynowany szantażysta nie potrafi grać swej roli. Słowa te obok groźby otwierały zwyczajne perspektywy. Zgodnie z życzeniem ująłem sprawę krótko:

Also, ganz kurz... drei (A więc całkiem krótko... trzy, oczywiście tysiące).

— Oh, mój drogi Panie, za taką aferę tylko trzy!

— Więc ile?

— Dziesięć!

Skończyło się na ośmiu Jestem pewien, że gdyby nie moje poczucie słabości z powodu rzeczywiście groźnej sytuacji, której Niemiec nie znał, wytargowałbym więcej. W każdym razie ani kilogram cukru nie uległ konfiskacie i można było liczyć na rychły wpływ gotówki. Wróciłem do meliny śródmiejskiej zastanawiając się nad położeniem. Poprzedniego dnia wieczorem sprzedawałem pierwszą partię 2 ton mąki z transportu lubelskiego na warunkach nieprzyjemnych, bo z moją dostawą. Ta mąka jechała właśnie platformą do Spółdzielni Pracowników Banku Handlowego. Równocześnie na Pragę jechał transport rzepaku, na Pradze też ruszyła znowu sprzedaż cukru. Przez całe trzy lata mojej działalności szmuglerskiej w melinie trwał zawsze nerwowy niepokój oczekiwania na meldunki o wychodzeniu i przychodzeniu towarów, gdyż największe niebezpieczeństwa czyhały w drodze. Tym razem atmosfera była szczególnie zagrożona po przykryj rozmowie na Krakowskim. A teraz ten transport mąki bez żadnych papierów! Nie ma dotychczas wiadomości z Banku Handlowego, a już powinnyby nadejść.

Jest. Telefon dzwoni. Podnoszę słuchawkę. Zamiast głosu stałego woźnicy K. odzywa się ktoś nieznanymi:

— Czy Pan Dr Gamm?

— Tu mówi tłumacz przy Gewerbe-Polizei Wache Nord. Czy to prawda, że do Pana należały dwie tony mąki pszennej, wzięte z Żoliborza do Banku Handlowego?

— Tak jest.

— A to bardzo ciekawe. Ten transport jest u nas na podwórzu razem z woźnicą. Niech Pan natychmiast przyjedzie i... przygotuje się na złożenie zeznań.

Nie upłynęło jeszcze pół godziny od chwili gdy wróciłem z Krakowskiego. Jak na jeden dzień stanowczo za dużo. Jedyny pocieszający moment polegał na tym "przygotowaniu się do złożenia zeznań". Wobec zablokowania wszelkich wpływów dwoma wypadkami, miałem tylko siedem tysięcy i zastanawiałem się czy wystarczy to na tak grubą sprawę. Ale nie było ani chwili czasu do stracenia. Szmuglerzy, którzy szli do kacetu lub siedzieli w więzieniach i tracili wszystko, zawdzięczali swój los tylko bojaźliwemu usposobieniu, które nie pozwalało im zrozumieć prostej zasady: przy wpadce handlowej trzeba iść natychmiast na spotkanie niebezpieczeństwa, by nie dopuścić sprawy do wyższej instancji, zupełnie inaczej niż przy politycznej (Gestapowcy rzadko brali łapówki, bo zdobywali pełno klejnotów przy rewizjach).

Już wchodząc do Wache Nord zauważyłem platformę ze swoją mąką. Woźnica był bardzo zdenerwowany, do czego miał swoje powody, gdyż był podoficerem AK i nie ręczę, czy nie

obawiał się rewizji osobistej. Fakt, że mogłem zamienić z nim kilka słów dowodził, że zadanie nie będzie trudne. Dodałem mu więc otuchy i szybko udałem się na górne piętra, gdzie tłumacz zaprowadził mnie do pokoju, w którym siedział jeden wachmistrz i jeden "Gefreiter" żandarmerii mundurowej. Zawsze to lepsze od szpicli. Powitano mnie pytaniem:

— A, Herr Dr Gamm. Was ist los mit dem Mehl? (Co to za historia z mąką?).

— Was soll das sein — Schmuigel selbstverständlich. (Cóż to ma być? Szmugiel oczywiście).

To był zupełnie nowy sztych w fechtunku z policją, którego przebieg decyduje o losach przyłapanego na gorącym uczynku szmuglera. Podziałal znakomicie. Wszyscy trzej prześladowcy wybuchnęli śmiechem i powtarzali po kilka razy: "Kolossal, kolossal". Następnie zapewnili mnie, że tak uczciwego i prawdomównego szmuglera nie widzieli od czasu rozpoczęcia służby w Warszawie. Lody były niejako przełamane i po prostu niemożliwością stało się w tych warunkach wywołanie atmosfery grozy, tak nieprzyjemnej dla delikwentów. Na prośbę o bliższe sprecyzowanie mojego punktu widzenia wyjaśniłem, że mąka na pewno nie jest kradziona, że wiem doskonale, iż jej nielegalna sprzedaż jest zagrożona karą śmierci (so schlimm wird es nicht sein, czyli tak źle nie będzie — przerwał młodszy żandarm), ale ostatecznie gdybyśmy przestrzegali wszystkich przepisów, też byśmy dawno poumierali i to z głodu. Tymczasem chcemy żyć (tu rozpoczyna się już sztanca) i rozumiemy, że inni też chcą żyć...

Nastąpiła przerwa retoryczna. Zauważyłem skupioną uwagę, malującą się na twarzach obu żandarmów i tłumacza, którzy czuli, że zbliża się najciekawszy moment rozmowy. Młody żandarm nie wytrzymał nerwowo i ponaglił mnie:

— Sprechen Sie weiter! Weiter!

Trzy głowy nachyliły się ku mnie i wzmagając dramatyczne napięcie wyczekiwania pół szeptem powiedziałem:

— Also, fünf.

Było to też może za dużo, ale myślą byłem przy tych 10 tonach mąki, które jeszcze zostały na żoliborskim składzie. Po krótkiej dyskusji na temat wartości ładunku i cen rynkowych mąki, w których moi rozmówcy orientowali się znakomicie, zgodziliśmy się na siedem tysięcy. Ale co będzie z mąką?

— Zabierz Pan stąd, aber los, żeby długo nie stała.

— Pięknie — odpowiadam — ale teraz wyjedziemy stąd i znow ję ktoś zaczepi na ulicy.

— Ah, za kogoż Pan nas ma? Jesteśmy ludzie uczciwi. Żeby się Pan nie denerwował, sam pojedzie z mąką i wysiąde na miejscu przeznaczenia.

— A odbiorca nie będzie miał nieprzyjemności?

— Proszę Pana, Pan nas naprawdę obraża. Skądże takie przypuszczenia?

Zeszliśmy z żandarmem na dół, po czym wydałem dyspozycję sympatycznemu woźnicy:

— Pojedźcie Pan razem z tym Panem do Banku Handlowego, zda towar i zainkasuje gotówkę, którą przyniesie Pan na Mazowiecką. Ten Pan wysiadzie przed Bankiem.

Woźnica patrzył na mnie jak na wariata i nie chciał wierzyć. Musiałem drugi raz powtórzyć z miną tak beztroską, że wszelkie obawy zostały rozproszone. Po godzinie p. K. był już z paczką nowiutkich górali w melinie, gdzieśmy sobie wzajemnie opowiedzieli przebieg wydarzeń. Ten sam żandarm, który eskortował go później do Banku Handlowego, złapał go był na Starym Mieście.

A potem — poszliśmy razem na wódkę. Dalszym biegiem interesów w tym dniu kierowała już moja żona. Nie wydarzyło się już nic godnego uwagi. Strumień cukru i mąki rozpląwał się po podziemnych kanałach.

Bussines es usual. Albo... unusual.

VIII. Jeden sprawiedliwy i inni.

Najbardziej dramatyczny przebieg — jeżeli można mówić o dramatyczności przeżyć szmuglera w Warszawie 1943 roku — miała moja wpadka z nielegalną olejarnią. W czasie oblężenia w 1939 roku w porozumieniu z moim sąsiadem przebiliśmy przejście między piwnicami na wypadek zburzenia naszych domów. Nie wiem już w jaki sposób dwaj olejarze z Legionowa dowiedzieli się o tym, wynajęli piwnicę i ustawili w niej "prasę".

Korzyści z tego były oczywiste dla obu stron: olejarz unikał wszelkiego ryzyka transportu "nasion", które przez piwnicę wynosił po prostu z mojego sklepu; ja miałem praktycznie monopol zaopatrywania go w tłuste nasiona. Ryzyko było jednak nieco za duże: w żaden sposób nie można było się wyłgiwać nieświadomością, że oleiste przerabiane pod moim okiem nie są przeznaczone na siew. Wówczas jednak może nie tyle sprawa zysku, co żyłka sportowa zdecydowała, że na propozycję olejarczy wyraziłem zgodę.

Przez rok wszystko szło dobrze, a moi klienci nia tailed tego, że zarabiają dużo więcej niż inni. W marcu 1943 roku interes się urwał.

Jedna z niepełnoletnich klientek żoliborskiego sklepu, miała jakieś zadawnione zatargi z olejarzami z sąsiedniej piwnicy, wywodzące się z melin legionowskich, gdzie nieraz dochodziło do kłótni o kolejność przerobu. Jak się później dowiedziałem, zorientowała się ona "po zapachu", że — jak sądziła — w mojej piwnicy mieści się olejarnia i że pracują w niej nielubiani współzawodnicy. Zwierzała się na ten temat towarzyszkom i towarzyszkom codziennych wędrówek do Legionowa. Na domiar złego nasza miła panienka próbowała raz przy rozrachunku oszukać kierowniczkę sklepu na tysiąc złotych i została przez nią dość mocno zwymyślana przy świadkach.

Nie pochwalałem tego, choć meritum sprawy było dość jasne. Oszust, któremu spokojnie wykażemy, że nas nie nabierze, będzie miał do nas szacunek. Taki, którego przy tym zwymyślamy i to publicznie zniechęcimy nas, a to nie jest dobre w stosunkach między ludźmi w ogólności, a przy szmuglu w szczególności. Ponieważ wścibstwo oszutki było znane, a doszły mnie słuchy, że zapowiadała "porachowanie się za ten wstyd i za tę krzywdę" od razu wiedziałem, że grozi donos.

Zażądałem od sąsiadów-olejarzy przeniesienia się gdzie indziej w ich i w moim interesie, a gdy zwlekali poleciłem zamurować przejście, kładąc nacisk na konieczność pośpiechu. Ale olejarze byli uparci i doczorczy, który przyszedł murować wytłumaczyli, prawdopodobnie przy pomocy butelki oleju, żeby jeszcze parę dni poczekał.

Na drugi dzień po odprawieniu przez nierozsądnych olejarzy dozorczy, który przyszedł murować, odzywa się w mojej melinie śródmiejskiej telefon. Podnoszę słuchawkę i słyszę załamujący się głos panny Stasi:

— Panie doktorze — bardzo źle.

Od razu przeczuwam co się stało i pytam tylko:

— Byli w sąsiedztwie (to jest w olejarni)?

— Tak, u nas i tam.

— Nasi? (tj. Polacy).

— Nie.

— Mundurowi?

— Tacy i tacy. Dużo ich.

Ładna historia — myślę — trudno to będzie zlokalizować, im więcej ludzi tym trudniej. Ale nie ma rady, trzeba próbować. Odpowiadam więc po sekundzie namysłu:

— Zaraz przyjeżdżam.

— Ja nie wiem — odpowiada panna Stasia — może już wystarczy, że my... czy to się na coś przyda?

— Nie przesadzajmy. Ani wy, ani ja.

Znaczyło to, że nikomu włos z głowy nie spadnie.

Dojechałem riksą pod samo osiedle dziennikarskie. Ostatnie kilkadziesiąt kroków szedłem piechotą. Po drodze zatrzymała mnie jedna z sąsiadek, pani senatorowa X.:

— Na miłość boską niech pan nie idzie. U pana pełno żandarmów...

— Właśnie dlatego idę.

— Na pewną śmierć! — wykrzyknęła patetycznie senatorowa.

— Bardzo pani dziękuję za życzliwą troskę, ale to są inne sprawy, które się nie kończą śmiercią.

— Jak pan chce, ja swoje zrobiłam — rzuciła na pożegnanie.

Przyszedłszy na miejsce znalazłem sytuację niewesołą. Przed domem sąsiada stał samochód ciężarowy, na który robotnicy pod nadzorem żandarmów ładowali urządzenia olejarni. Udało mi się najpierw porozmawiać z panną Stasią i panią Wandą, wówczas kierowniczką sklepu, bez świadków i dowiedzieć się co i jak się stało.

Koło godziny dziesiątej rano przyszło do sklepu dwu wywiadowców Niemców z "Wache Nord". Jeden z nich był Volksdeutschem i mówił po polsku. Dopytywali się o "tajną piekarnię" — oczywiście dla zatarcia śladów donosu — i kazali się prowadzić do piwnicy, co ostrzegło sąsiadów, właśnie pracujących całą parą. Zupełnie stracili głowę i zrobili największe głupstwo jakie mogli, mianowicie rzucili się do okna by uciec przez ogródek. Dwu uciekło, ostatni, siedemnastoletni syn jednego z właścicieli firmy, został dosłownie złapany za nogi przez szpicli i ściągnięty na ziemię.

Sprowadzono go do mojego sklepu i zaczęło się przesłuchiwanie jego i moich pracowniczek, których było wtedy w sklepie trzy. Jedną z nich, panna Marita (właśnie pisząc te wspomnienia dostałem od niej list z Kanady), wyniosła pieniądze, kiedy szpicle oglądali olejarnię.

Wywiadowcy, rzecz jasna, oczekiwali propozycji, których nikt im niestety nie zrobił: olejjarze uciekli, właściciel sąsiedniego domu też się przestraszył i zeznał, że nie wiedział iż w jego piwnicy robi się olej — myślał, że kawę zbożową czy coś takiego. Kierowniczką sklepu za dużo myślała, no i zanadto się przestraszyła, doszła więc do niezbyt trafnej konkluzji, że najlepiej wyprzeć się łączności z olejarnią, a ofiarowanie łapówki byłoby przyznaniem się do tej łączności. Gdy wreszcie przyszło jej na myśl, że trzeba napomknąć o możliwości wezwania właściciela firmy, który złoży "zadawałające wyjaśnienia", szpicle z prawdziwym żalem oświadczyli:

— Teraz nam to pani mówi, kiedy już za późno, bo zaraportowaliśmy telefonicznie do komendy Wache Nord! Trzeba było przedtem.

Zawsze jednak lepiej późno niż wcale — próbowałem więc ratować co się dało. W rozmowie (czy jak kto woli podczas przesłuchania) oświadczyłem kierującemu akcją sierżantowi Gewerbehopolizei, że rzepak, który sprzedałem nie nadawał się na siew. Była to prawda. Jak się okazało Niemiec (mundurowy) był z zawodu ogrodnikiem i poznał się od razu na nieco podstarzałym nasieniu. Jeżeli jest ogrodnikiem to chyba zrozumie, że sprzedanie go na siew byłoby chyba gorszym przestępstwem niż przerobienie na olej.

Ten argument zdawał się robić pewne wrażenie na byłym ogrodniku, co doprowadziło mnie do fałszywej oceny sytuacji i nierozważnego kroku. Oświadczyłem zwięźle:

— Olejarnia jest zlikwidowana, więc jeżeli nawet w protokółach nie będzie wzmianki o mojej firmie, wszystko będzie w porządku. Byłbym za to gotów złożyć pewną sumę (gewissen Betrag).

Na to padła odpowiedź, której zupełnie nie oczekiwałem:

— Dieser Vorschlag kann Sie den Kopf kosten. (Ta propozycja może pana kosztować głowę) Ich binn nämlich ecklich (Jestem bowiem uczciwy).

Nie mogę powiedzieć, by mi się zrobiło szczególnie przyjem-

nie. Trzeba było szybko przestawić się z rozmowy korupcyjnej na rozmowę ludzką. Wydaje mi się, że trafiłem we właściwy ton, przeprosiwszy Niemca za niestosowną propozycję i wyrażwszy radość z tego, że jest uczciwy. Prawdziwa bowiem Ehrlichkeit pozwoli mu zrozumieć, że ludzie muszą jeść jakiś tłuszcz, a skoro go nie dostali na kartki od czterech lat, muszą dla utrzymania się przy życiu czasem przerobić na olej parę metrów rzepaku, nie nadającego się na siew.

Dalsza dyskusja w tym tonie toczyła się przez czas dłuższy. Sierżant skłonny był sprawy nie rozdymać, chodziło mu jednak o to, by znaleźć jakieś zabezpieczenie. Skąd mam nasiona, czy mi je w ogóle wolno mieć w tych ilościach? Dla wyjaśnienia tych wątpliwości doradziłem mu, by zadzwonił do szefa wydziału wyżywienia i rolnictwa przy naczelniku dystryktu, pana S.

Pan S. pochodził z Poznańskiego, miał żonę Polkę i nieugiętą wierność zasadom, które były następujące: pracować tylko z hurtownikami, zachowywać pozory, nie wymuszać małych łapówek, ale brać duże jak dają, zwłaszcza w złotych dolarach. O tych numizmatycznych zachciankach pana S. wiedziałem, wiedziałem też, że są zaspakajane przez moich dostawców.

Pomysł wezwania pana S. bardzo się podobał żandarmowi, gdyż wedle kompetencji władz była to osoba najbardziej powołana do wydania opinii i pokrycia swym autorytetem dalszych kroków, zmierzających do tuszowania sprawy. W jej zatuszowaniu był wprawdzie pośrednio, ale niemniej poważnie zainteresowany. Pan S. okazał niezwykłą gorliwość, która dla mnie nie była niespodzianką, jakkolwiek zdziwiła żandarma. Przyjechał natychmiast samochodem, bardzo urzędowy, surowy i rozkrzyczany. Udzieliłem mu wyjaśnień, po czym obaj Niemcy zamknęli się w pokoju i długo konferowali.

Tymczasem wydawszy konieczne zarządzenia spokojnie czekałem na ostateczne orzeczenie. Po godzinie wezwano mnie, a Herr Abteilungsleiter od razu zaczął bardzo ostro: jaki to skandal, że handluję nawozami sztucznymi, czego mi nie wolno. Po to bym się nauczył nie przekraczać udzielonego mi zezwolenia postanowił zastosować surowe represje, polegające na tym, że nawozy sztuczne będą beschlagnahmt, a ich skład zaraz opieczętuje. Co do nasion to nieprawdopodobne nadużycie, że bym sprzedawał je na olej. Są jednak okoliczności łagodzące: oto rzeczywiście hurtownicy postępują niewłaściwie sprzedając źle kiełkujący rzepak nam, detalistom, na siew, zamiast go odesłać do olejarni i zameldować to panu Abteilungsleiterowi. Poza tym, hurtownicy przydzielają mi za dużo rzepaku, a ja z braku doświadczenia nie umiem odróżnić rolnika od olejjarza (tu S. nieco się zagalopował, powtarzając widocznie swą starą piosenkę, bo przecież trudno byłoby przyjąć moją nieświadomość w tym wypadku). Powinienby zamknąć sklep, ale z uwagi na mój brak doświadczenia i zasługi położone dla zaopatrzenia w nasiona uprawiających działki, ograniczy się do tego, że odpowiednio rozdysponuje pozostałym u mnie zapasem rzepaku. Ale

ci hurtownicy! Ci się będą mieli z pyszna, gdy on, Herr S., do nich się zabierze. Zaraz jutro podda ich przesłuchaniu nadzwyczajnemu (Sonderverhör) i ewentualnie zastosuje Strafmassnahmen.

Brzmiało to bardzo groźnie, a ja sobie myślałem, robiąc minę skruszonego grzesznika: filut z ciebie, rozumiejący się na warszawskich kantach. Bo przecież wiesz i wiesz że ja wiem, że Sonderverhör, z nazwy niemal tak groźny jak Sondergericht, odbędzie się "Pod Bukietem" na Złotej, albo we "Fregacie" na Mazowieckiej, a Strafmassnahmen będą jak zwykle polegać na zapłaceniu rachunku przez poddanych przesłuchaniu.

Poza tym Herr S. doskonale wiedział, że handel nawozami sztucznymi nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia a konfiskata nawozów nie dotknie mnie zbyt boleśnie.

W końcu Herr S. zapytał ile rzepaku mam na składzie. Twierdziłem, że dwieście kilogramów wszystkiego, bo po co tu wymieniać te głupie dwie tony na Pradze i te trzy, które wobec zablokowania sklepu w osiedlu dziennikarskim zostały skierowane do nieskalanego płamą szmuglu, reprezentacyjnego sklepu na ul. Słowackiego? Przedrygowanie tego transportu odbyło się już w czasie narady pana S. z żandarmem. Firma nie przestawała działać sprawnie, jak nie przestaje pracować organizm mimo choroby jednego z członów... Praga sprzedawała spokojnie, sklep na Słowackiego też.

W końcu Niemcy odjechali. Nie upłynęło pięć minut jak zjawił się chłopczyzna znany mi z widzenia, jako że należał do olejowej branży. Wszedł do sklepu, rozglądnął się i zobaczywszy, że nie ma obcych, zapytał:

— Czy już można przychodzić po towar? Bo my tu wszyscy z Legionowa czekamy niedaleko i nie możemy się doczekać, kiedy pan doktor znów zacznie handlować.

Potwierdziłem, że wszystko w porządku i po chwili kilkadziesiąt biednych postaci w poplamionych ubraniach zważyło się do sklepu. Czym prędzej ściągałem zapasy ze Słowackiego.

— My tam wiedzieli, że pan doktor sobie poradzi — zauważał stary i doświadczony olejarz. — Trochę smykałki i po krzyku. A pani Krukowska mówiła już, że pewnie pana zabiorą. Trzeba mi było się założyć.

— Coś pan, panie Sobczak — obruszyła się kobiecina, niezbyt stara, ale z twarzą zmiętą i zmęczoną przez bezsenne noce w prasach legionowskich. — Ja tylko mówiła żeby się modlić za pana doktora, bo szkoda byłoby takiej dobrej firmy... przeważnie dobry towar, tylko jakby przydrogo... (sic!)

Wśród swoich czułem się dobrze, jak człowiek, który wychodzi od dentysty po wyrwaniu zębów. Jeszcze trochę poboli, ale już najgorsze przeszło.

Pozostały jednak do załatwienia przykre sprawy. Niefortunni właściciele sąsiedzkiej olejarni oprzytomnieli po swoim strachu i przez posłańców ofiarowywali większe sumy na zakupienie Niemców. Niestety, było już na to za późno, można

było tylko zabiegać o uwolnienie zatrzymanego syna. Nie udało się to całkowicie: Niemcy nie sądzili go, dali spokój rodzicom, ale chłopaka wywieźli na roboty. Zbierał żywicę w lasach francuskich, pisywał do domu, twierdząc, że pracę ma lekką i otrzymywał paczki żywnościowe od rodziców, zawierające między innymi olej, wyrabiany w nowym warsztacie ojca położonym... o kilka domów od mojego sklepu.

Z nawozami sztucznymi był jeden kłopot. W jednym z worków papierowych między kilku warstwami papieru, mieściło się podręczne archiwum, dotyczące spraw niehandlowych. Znalazło się ono pod kluczem, zabranym przez pana S., opieczętowane w niedokończonym domu naprzeciwko. Po zbadaniu sytuacji stwierdziliśmy, że można od tyłu przez pierwsze piętro i dziurę w suficie dostać się do zamkniętego składu. Przez to karkołomne wejście bez schodów usunęło się nie tylko podejrzana torba, ale większość pozostałych, zastępując kosztowniejsze nawozy sztuczne najtańszymi. Lubiłem zawsze tzw. czystą robotę.

Miejscowa placówka polskiej policji przemysłowej zgłosiła się niezwłocznie po odjeździe Niemców w osobie znanego nam pana O., który gęsto się tłumaczył, że nie uprzedził, ale Niemcy mu nie powiedzieli o donosie — rzecz jasna sami chcieli zarobić. Ubolewał nad niefortunnym w początku przebiegiem sprawy. Gdy mu powiedziałem, że wobec wielkich strat pewno zrezygnuję z handlu zapałał oburzeniem:

— Sumienia pan doktor nie ma, czy co? Ilu ludzi żyje z pana firmy, gdzie będą brali rzepak? I co będą jedli na Żoliborzu bez pana?

Chodziło mu oczywiście o comiesięczny "list".

Młoda denuncjatorka musiała się wycofać z pracy wobec jedynomyślnego oburzenia całego Legionowa. Nikt nie miał wątpliwości co do jej winy — ja też ich nie miałem.

Na drugi dzień po wpadce zgłosił się do firmy przyzwyczajony pan w towarzystwie pani. Przyszli z polecenia pana S. To oświadczenie wywołało trudny do zamaskowania niepokój, na który przybyłszy zareagowali żywo:

— Ależ proszę pani, my jesteśmy Polacy. Nam tylko pan S. dał zlecenie na odbiór 200 kg rzepaku. Przychodzimy w imieniu urzędników Izby Rolniczej po ten towar.

— Ależ wszystko w porządku — zorientowała się panna Stasia — rzepak jest do odebrania.

— Tak, ale właśnie — zaczęła nieśmiało pani — myśmy, wie pani, teraz na święta chcieli trochę oleju i Pan S. powiedział, że to już nasza rzecz. Więc może nam pani poradzi jak to zrobić...

Z instynktem rozpoznawania ludzi, jaki handel wyrabia w stopniu o wiele większym niż nauka psychologii, panna Stasia stwierdziła, że można udzielić potrzebnych informacji:

— Niech państwo przez chwilę spoczną, zaraz tu ktoś przyjdzie.

Zaraz przyjdzie, naturalnie, bo przecież Legionów wie, że mam "towar". Po chwili zjawił się pan Sobczak, którego można było spokojnie polecić. Rzepak został wymieniony na olej bez dłuższych targów, a zatem zgodnie z zapowiedzią pana S., użył go w sposób właściwy.

W dwa tygodnie po tych wydarzeniach posłałem z moim biletem panu S. do mieszkania srebrną bombonierę wypełnioną czekoladkami Wedla. Najsiodszy cukierek, zawinięty przez ostrożność w bibułę, spoczywał na dnie. Wyprodukował go nie Wedel, lecz mennica Stanów Zjednoczonych A. P.

Z panem S. rozumieliśmy się bez słowa. Wstyd mi było tylko tej komedii, odegranej przez nas wspólnie przed jedynym uczciwym Niemcem, jakiego spotkałem w mojej działalności handlowej. Ten jeden był i nie byłoby Ehrlich o nim nie wspomnieć.

IX. Luftwaffe

Demoralizacja wcale nie ograniczała się do policji przemysłowej i aparatu urzędniczego. Objęła ona również co najmniej znaczną część formacji tyłowych wojska, o czym świadczyć może historia saletry dla bieleńskiego lotniska.

W lecie 1942 roku mieliśmy w Warszawie straszną suszę. Na działkach grzędy kapusty i innych warzyw potrzebowały na gwałt saletry, ale skąd tu jej wziąć. O przydziałach mowy nie ma. Żeby to jeszcze były papierosy, albo inny cenniejszy towar, to jakoś przedostałby się z wojskowych składów na rynek, ale tania saletra? Kto to "zrobi"? Komu by się chciało?

A jednak...

Spotkałem pewnego kupca handlującego oficjalnie nawozami sztucznymi. Pytam o saletrę.

— Saletra? Może być. Wagon. Ale trochę delikatna sprawa.

— Wszystko dziś delikatne. Musi mi Pan powiedzieć szczegółowo, żebym znał ryzyko.

— Widzi Pan jest tak: na niedawno zbudowanym lotnisku bieleńskim trawa wysycha. Przez to ziemia jest zanadto luźna, niezwiązana. Komenda lotniska zażądała dwu wagonów saletry na posypanie terenu, bez tego w ogóle wiatr wywieje całe lotnisko, albo będą katastrofy przy lądowaniu z powodu piaszczystego terenu.

— Rozumiem, jeden z tych wagonów jest teraz do sprzedania.

— Właśnie. Przecież oni potrzebują żyć...

— Będą dokumenty na przewóz?

— Naturalnie. Park samochodowy nie wystarcza, uważa Pan, na przewiezienie całej saletry, więc dlatego oddaje się część przewoźnikowi. Pan bierze towar na Żoliborz, to właśnie po drodze. Kiedy już towar będzie u Pana, nic mnie nie obchodzi. Stary zapas, czy coś takiego.

— Dobrze, ale Pan rozumie, że przy takim ryzyku cena musi być umiarkowana...

— Porozumiemy się.

Porozumieliśmy się. Publiczność narzuciła się z zapalem na saletrę i rozchwiała ją w dwa dni. Działkowcy potrafili przyjeżdżać do mnie aż z Mokotowa. Wielu dowodziło się za późno i miało poważne pretensje, że się dla nich nie zostawiło. Wywiadowca z "Gewerbe-Polizei" zwracał nawet życzliwie uwagę, że za duży ruch w sklepie i łatwo o nieszczęście. Wyjaśniłem mu, że towar jest w porządku, na co uśmiechnął się niedowierzająco:

— Panie, w to, to już nie wierzę, żeby u Pana coś było w porządku. Ale co mi do tego, przecież od tego jestem, żeby nie było nieszczęścia.

Na drugi dzień, kiedy zmartwiony wyczerpaniem tak pożądanego towaru zamykałem sklep, zjawił się jakiś nieznajomy robotnik w ubraniu zaplamionym smarami. Wyglądał na szofera lub coś w tym rodzaju.

— Pan handluje nawozami? — zapytał.

— Czasami. A o co chodzi?

— Nie potrzebuje Pan saletry?

— Mógłbym wziąć. Ale po ile?

— Tania oddam. — Wymienił cenę świadczącą o tym, że musi towar sprzedać szybko i tania. Poprosiłem go o szczegóły odbioru.

— Sami przywieziemy. Jutro rano. Pięć ton. Ale musi Pan przygotować ludzi do rozładunku, żeby poszło raz-raz. W tym miejscu nie dobrze składać.

— Mam składzik na bocznej ulicy, pokażę Panu gdzie.

— To dobrze. Ale jest jeszcze taka sprawa: przy tym gościu, co z nami będzie, zapłaci Pan tylko połowę, a połowę da mi Pan teraz.

— Rozumiem o co Panu chodzi, ale zrobimy to inaczej. Jutro zapłacę rano połowę, a wieczorem zajdzie Pan do mnie do sklepu po resztę.

— Dobra jest.

Byłem prawie pewien, skąd pochodzi saletra, którą miałem na drugi dzień otrzymać.

Nazajutrz o umówionej godzinie zajechał pykający ciągnik z dwoma olbrzymimi przyczepami, wyładowanymi pó brzegi. Z przodu ciągnika figurowała tabliczka z literami WL przed numerem. Wehrmacht Luftwaffe — lotnictwo. Z szoferki wysiadł mój znajomy, a za nim, oczywiście, młody podoficer w szarobłękitnym mundurze, z kilkoma orłami na kołnierzyku, no i z... napisem "Gott mit uns" na klamrze pasa. Wyładunek poszedł sprawnie, zapłata również. Niemiec przyglądał się z nieufnym zainteresowaniem liczeniu banknotów, zdradzając pewne objawy zdenerwowania. Początkujący.

Ciągnik znów zaszczekał, jęknięty wiązania przyczep — za chwilę cały pociąg wyjechał ze zmniejszonym o połowę ładunkiem na właściwą drogę do miejsca przeznaczenia, to znaczy na lotnisko bieleńskie. Odetchnąłem z ulgą. Najbardziej drażliwy moment mamy za sobą.

Przeliczyłem w pamięci, jaka ilość saletry została zawleczona

na Bielany. Z dwu wagonów jeden przeszedł do mnie przed trzema dniami, a z drugiego połowa dzisiaj. Zostało zatem pięć ton.

Znów minęło parę dni. O saletrze już zapomniałem. Tymczasem zjawił się niespodziewanie stary klient, chłop z Wawrzyszewa, wsi przytykającej do lotniska. Bez długich wstępów zapytał:

— Kupi pan salitrę?

— Czemu nie. Dużo Pan ma?

— Tu na wozie będzie ze styry metry, ale jeszcze mam w domu...

Łatwo uzgodniliśmy cenę i zaczęło się ważenie, saletra bowiem nie była opakowana w oryginalne, smołowane torby fabryczne, lecz zsypana do zwykłych worków, co zwróciło moją uwagę.

— To z lotniska? — zapytałem z nienacka.

— A skąd pan wi?

— Tak się człowiek trochę domyśla. Jak pan do zdobył?

— Jok już pon tyle wi, to opowim jak do tej salitry doszedłem. Chłopy mają je rozsypywać rękami, żeby im trowa nie zeszło. Z jednej strony lotniska jest magazyn i tam robotnicy nabierają salitre do worków i mają ją siać, jak zboże. Połowę mają wysiać idąc do brzegu, a połowę z powrotem. To przy brzegu jest moje obejście. Stoję se psed chałupą i widze ze siejom, więc się pytom: co tam chłopcy zyto siejecie na lotnisku? A oni mówi: nie zyto, a salitre. To jo na to: salitre?? A usypcie mi trochę, psyda się na buroki. Ale chodził za nimi taki aufzejer, żołnierz. No to ma sie rozumieć z niem pogodolem, masła mu dałem, pewnikiem do jakich krewniaków musioł wysiać do Rajchu. I tak se otdąd te chłopaki chodziły po lotnisku, rękami machali na pusto, a do mnie salitre nosili, jednemu dałem mlika, drugiemu chlib, tseciemu syra. Co chcieli. Tylko psy samym magazynie trochę tam musieli posypać, żeby się inni nie poznali, co to za robota idzie. Tak se zebrołem trochę salitry dla siebie, sąsiadom tyz spsedełem parę metrów, ale jesce zostało, to se myśle do pana zawieze, pewno pon kupi.

Jeszcze parę razy przywoził mi Błaszczyk saletrę, za każdym razem po parę metrów. Niestety, nie mogłem dokładnie obliczyć ile właściwie saletry wysiali robotnicy na lotnisku, nie wiedząc, ile Błaszczyk sprzedał sąsiadom i ile zatrzymał dla siebie. W każdym razie — niewiele. Warzywa na działkach warszawiaków ożywiły się ciemną soczystą zielenią, a trawa na lotnisku wysychała dalej.

X. Szmugiel i podziemie

Tyle faktów.

Ocena?

Gdyby szmuglerzy nie robili nic innego poza handlem to i tak działalność ich byłaby koniecznością życiową, taką samą, jak uprawianie ziemi przez rolnika.

Ale transakcja czarnorynkowa była po prostu odebraniem dóbr gospodarce niemieckiej i przekazaniem ich ludności polskiej. Jeżeli rozbijanie wagonów idących na front było aktem sabotażu przeciw okupantowi, to było nim także rozprawienie skonfiskowanej wrogowi własności, które ten sabotaż finansowało.

Rzecz jasna nie było przy tym bezpośredniego niebezpieczeństwa, nie było walki — ale wskutek częstotliwości "przestępstw" ryzyko się kumulowało. Mało było w obozach koncentracyjnych takich, którzy zamknięci byli za tzw. spekulację. Ale z tego nie można robić paskarzom zarzutów, bo przecież jak najlepsze zabezpieczenie siebie i innych przed ogniem nieprzyjaciela jest cnotą a nie usterką żołnierza (i dowódcy!).

Trudno byłoby zaprzeczyć, że jednostki, troszczące się tylko o zyski, istniały w czarnym handlu — i w mojej branży. Podatków, jak wiadomo, Niemcom się nie płaciło. Najwyżej jakieś pro mille tego co by naprawdę według ustaw trzeba było płacić. Zamiast tego dawano ofiary na koło opieki nad rodzinami niezamożnych urzędników skarbowych przy Radzie Głównej Opiekuńczej. Tam rozdzielono je między wszystkich urzędników, co zapewniało sprawiedliwą pomoc dla wszystkich.

Za to znakomita większość ludzi z branży dawała na "robotę" czasem bardzo dużo. Oczywiście były jednostki egoistyczne, ale też nie wiem, czy władze Polski Podziemnej rozwinęły dostateczną energię w ściąganiu podatków polskich. Nie było ich. Dawał kto chciał na swoją organizację.

Zagadnienia, dyskutowane często na emigracji — skarbu narodowego, własnych środków i pewnego minimum niezależności były aktualnie i w Kraju. Były organizacje działające szeroko bez pomocy ze "zrzutów" złotego deszczu. Dużo by na te tematy można napisać!

Poza tym jednak, jak całe życie pod okupacją, szmugiel związany był ściśle z życiem podziemia. Z personelu mojej firmy, przez którą przewinęło się 17 osób, tylko dwie nie były, o ile mi wiadomo, organizacyjnie związane. Pozostałych 15 osób było czynnych i to w wysokim stopniu, nie "na odczepnego".

Z działalności znanych mi hurtowników, tych których śniadania z niemieckimi urzędnikami zapewne w toku mojego opowiadania gorszyły czytelnika, wyliczę kilka przykładów:

1) Firma A: jeden wspólnik — dyrektor departamentu w delegaturze rządu, a drugiemu (Poznaniakowi) Niemcy zastrzelili syna AK-owca, w czasie masowych egzekucji.

2) Firma B: syn właściciela zastrzelony w akcji zbrojnej.

3) Firma C: jeden z wspólników rozstrzelany, prokurent, brat drugiego wspólnika, major ZWZ, po 2 latach przeszedł na wyłączną akcję w AK.

4) Firma D: prokurent AK-owiec, właściciel płacą grube podatki jednej z organizacji podziemia.

5) Firma E: właściciel — starosta "podziemny" powiatu podwarszawskiego, rozstrzelany przez Niemców.

Podobnie było nie tylko z detalistami, ale nawet z właścicielami budek na Targowej. O dwóch wiem, że byli czynni, inni prosili mnie o coś do czytania i... dostawali. Tak samo i niektórzy "olejarze".

To są rzeczy, które znam przypadkowo, a o iluż sprawach nie nie słyszałem...

Jak łatwo się tu było pomylić, świadczy o tym wydarzenie, którego opisem zamknę pamiętnik szmuglerski.

Wśród hurtowników wojennych istniała firma założona przez przybysza z Poznania o obcym brzmieniu nazwiska. W branży chodziły nawet plotki, że jest tam coś "niejasnego". I rzeczywiście było, ale w innym znaczeniu.

Pewnego dnia, gdy wybierałem się już do domu, to jest do Leśnej Podkowy, prokurent wspomnianej firmy wezwał mnie telefonicznie, zapowiadając, że ma coś do sprzedania.

Pojechałem riksą, tak jak byłem przygotowany do drogi, to znaczy z całą porcją prasy podziemnej, przyniesionej mi przez łączniczkę w teczce. Była mi potrzebna, gdyż właśnie w tym czasie pisywałem artykułiki do codziennej powielaczówki. Na szczęście miałem prócz tego w tece plik oficjalnych rachunków firm hurtowych.

Gdy w pokoju dyrekcji omawiałem z prokurentem kupno wagonu gryki (na kaszę!) drzwi się niespodziewanie otworzyły. Trzech cywilów wtargnęło do pokoju, krzyżąc "Hände hoch". Dwu nawet wyciągnęło rewolwery. Od razu zorientowałem się, że to nie "Gewerbe Polizei". Ci tak bronią, by się nie afiszowali.

Zapytali kim jestem (prokurent był im widać znany z obserwacji). Nie wiedzieć skąd wybrałem najlepszy sposób "odwrotu ofensywnego". Moja teczka stała na ziemi oparta o biurko. W niej były rachunki hurtownika. Ponieważ już mnie obmacano dla stwierdzenia, czy nie mam broni, mogłem spokojnie sięgnąć po nią, otworzyć wprost pod nosem gestapowca (tym razem byli najbardziej autentyczni gestapowcy), wyciągnąć rachunki firmy i zacząć wyjaśniać, że jestem kupcem. Zostawienie teczki przy biurku byłoby po prostu samobójstwem. Nie chcę twierdzić, bym to wyrozumował już wówczas, działałem zupełnie odruchowo.

Stos poważnych rachunków wzbudził pewne zaufanie, ale gestapowiec zapytał jeszcze po co tu przyszedłem i o czym rozmawialiśmy. Gdy nabrałem tchu, by odpowiedzieć, wysoki, nieco rozczochrany blondyn, kierujący akcją, zatrzymał mnie:

— Halt, do drugiego pokoju.

Wyszędłem z teczką, którą powoli i starannie zamknąłem. W przyległym pokoju zastałem jeszcze sześciu szpiclów. Trzech rewidowało biurka. Dwie maszynistki, buchalter i jeszcze jakiś przygodny klient stali pod ścianą. Kazano mi przyłączyć się do nich i odpowiedzieć na postawione pytanie. Na szczęście już zaczęliśmy handlową rozmowę z prokurentem i potrafiłem dać konkretne wyjaśnienia: towar, ilość, dostawa. Po kupiecku.

Blondyn obejrzał jeszcze moją Kennkartę, po czym na chwilę wrócił do prokurenta. Sprawdzał — rzecz jasna — czy temat

rozmowy "zgadza się". Musiał się zgodzić. Za chwilę drzwi otworzyły się znowu:

— Also Sie — wskazał na nieznanego klienta i po namyśle — und Sie — wskazał na mnie — sind frei.

Wyjść ale wolno, bez pośpiechu, naturalnym krokiem człowieka, który nie ma czego się bać, ustąpić pierwszeństwa drugiemu szczęśliwcowi. Zamknąć drzwi i nareszcie — odetchnąć!

Prokurenta puszczono wolno, ale tylko po to, by dwaj szpicle, którzy nie należeli do ekipy przeprowadzającej nalot, lecz czekali przed domem, stwierdzili, gdzie pójdzie. a zanotowawszy treść rozmowy telefonicznej, prowadzonej z przyległej restauracji i nakręcony numer, dokonać aresztowania.

Prokurent wyszedł z obozu żywy. Nie wiem dotychczas co się stało z właścicielem firmy. Dowiedziałem się za to, co robił i co było powodem aresztowania go w noc poprzedzającą opisywane zdarzenie: przewoził broń i był jedną z najczynniejszych postaci podziemia wojskowego pierwszych lat okupacji.

Gdy dziś patrzę na film mojej działalności szmuglerskiej i sumuję bilans, nie widzę powodów, dla których miałbym się jej wypierać.

Wprost przeciwnie — gdy na jednej szali wagi, mierzącej nasze uczynki, kładą się potężnym ciężarem ci, których posyłałem na śmierć niepotrzebną, ci których śmierci niepotrzebnej nie umiałem przeszkodzić, na drugiej stronie położyć mogę tych nieznanych, o których życiu i zdrowiu decydował ten dodatkowy litr oleju, kilogram mąki, cukru czy kaszy, wyrwany okupantom, bez którego na racjach urzędowych konaliby z głodu.

A zarobki? Mój Boże, rozchodziły się i każdy mający trochę oleju, choćby najbardziej nieprerafinowanego, w głowie wiedział, że wojny nie przetrwają. Za to coś zostało:

Odrobina ocalonego życia, którą można położyć na drugą stronę wagi, by drgnęła szala straszliwej współwiny za śmierć bez pożytku dla przyszłych pokoleń żyjących Polaków.

Dr A. GAMM

Archiwum polityczne

Salto mortale

«narodowych interesów»

(Od londyńskiego korespondenta KULTURY)

Chiny i Rosja Sowiecka sprawują dyktatorską władzę nad jedną trzecią ludności świata. Nie znaleźlibyśmy w historii przykładu zjednoczenia na tak gigantyczną skalę.

Frank Robertson, świetny znawca stosunków daleko-wschodnich, w korespondencjach publikowanych na łamach periodyków brytyjskich odmalowuje rozczarowanie i gorycz dyrektorów wielkich firm, którzy cierpliwie czekali powtarzając z uporem, że Chiny wrócą na drogę tradycyjnego kupieckiego rozsądku. Stało się inaczej. Wielkie firmy zagraniczne znikają jedna po drugiej. Komunistyczny rząd chiński systematycznie eliminuje wpływy Zachodu z fanatyzmem niezrozumiałym dla Europejczyków, którzy życie strawili na handlowej współpracy z Chińczykami.

Sądzę, że można przyjąć za pewnik, że wśród dwóch trzecich ludności wolnego świata jest więcej przekonanych anty-komunistów, niż istnieje przekonanych komunistów po tamtej stronie "żelaznej kurtyny". Lecz cóż stąd? Komunizm jednocy — anty-komunizm częściej dzieli niż jednoczy. Komunizm w odniesieniu do jednej trzeciej mieszkańców globu ma cechy uniwersalizmu — anty-komunizm w wolnym świecie, choć bywa powszechny jak np. w St. Zjednoczonych — nigdzie nie wykazuje cech uniwersalistycznych. Anty-komunistami są Churchill i Bevan — Attlee i de Gaulle — Adenauer i Anders. Czy anty-komunizm łączy tych ludzi?

Rozrost świata sowieckiego, który obejmuje już 1/3 ludność globu — wytwarza stan stałego zagrożenia. Demokracje Zachodu obumierają w tym klimacie i z każdym dniem staje się rze-

czą coraz bardziej oczywistą, że gdyby klimat ten trwać miał dziesiątkami lat, Zachodowi grozi upadek i bez wojny.

Demokracja jest jeszcze ciągle formą ustrojową świeżą i nową. Choć dzieje jej niemowlęstwa obejmują stulecia, to jednak o demokracji w nowoczesnym tych słów znaczeniu można mówić od lat 60. Prawo głosowania robotnikom nadał dopiero Disraeli w r. 1877. To wszystko są reformy bardzo świeżej daty.

Z natury rzeczy demokracja jest pacyfistyczną formą ustrojową. Nic więc dziwnego, że problem pokoju dominuje na Zachodzie. Można śmiało zaryzykować twierdzenie, że w demokracjach zachodnich wszystkie zagadnienia społeczne stały się funkcją problemu kardynalnego tj. pokoju. Subsydowanie artykułów żywnościowych, służby zdrowia i opieki społecznej, organizacja pracy — jednym słowem cały program socjalny jest dziś funkcją ceny płaconej za pokój. Jeżeli cena pokoju rośnie, program społeczny o który walczone pokoleniami — kurczy się, gdyż brak pieniędzy na jego realizację.

W konsekwencji takiego stanu rzeczy, partie polityczne w państwach demokratycznych włączyły zagadnienie pokoju i kalkulację jego ceny do swoich programów partyjnych. Sprawa pokoju lub wojny jest zagadnieniem polityki zagranicznej. I tak oto koncepcja polityki zagranicznej stała się przedmiotem walki międzypartyjnej.

Przywódcy partyjni zdają sobie sprawę, że jeżeli demokracje Zachodu miałyby latami płacić haracz wynikający ze stałego zagrożenia wolnego świata przez Sowiety — musiało by się to w końcu odbić na demokratycznej strukturze tych państw, na ich ustroju. Trzeba by w dalszym ciągu redukować służby społeczne i obniżać stopę życiową obywateli by wydobyć pieniądze konieczne na zbrojenia. Byłby to proces stanowiący odwrotność rozwoju demokracji — której celem jest równość w dobrobycie a nie równość w nędzy.

Z jakich założeń wychodzą politycy Zachodu w dążeniach do rozwiązania tych zagadnień?

Obowiązującą bazą wyjściową polityk Zachodu jest tzw. "interes narodowy". Nasza oficjalna polska polityka wychodzi również z analizy "interesów narodowych".

George Kennan w swej świeżo wydanej książce pt. "American Diplomacy — 1900-1950" definiuje amerykański punkt widzenia w następujących słowach: "powinniśmy skromnie przyznać, że nasz interes narodowy to jest wszystko, co potrafimy rozeznaczyć i zrozumieć". Równocześnie Kennan potępia "prawno-moralizatorskie" podejście do problemów międzynarodowych.

Osobiście zapytuję jeszcze skromniej niż p. Kennan: co dziś jest, a co nie jest "interese narodowym"? Historia pierwszej połowy bieżącego stulecia nie jest niczym innym jak makabryczną tragedią pomyłek "interesów narodowych".

Czy Niemcy rozumieli swój "interes narodowy" w momencie, gdy rozpoczynali drugą wojnę światową?

Czy Francuzi rozumieli swój "interes narodowy" odrzucając

inicjatywę wojny prewencyjnej przeciwko Niemcom proponowanej przez Piłsudskiego?

Czy Amerykanie rozeznawali i rozumieli swój "interes narodowy" w Jałcie?

Koncepcja partykularnego "interesu narodowego" należy do minionej epoki suwerennych, niezależnych państw, które prowadziły międzynarodową grę opartą na zasadach "równowagi sił". Wówczas pojęcie "interesu narodowego" było łatwiejsze do rozeznania. Było bowiem wiadomo co jest zyskiem a co stratą. Lecz dziś "interes narodowy" stał się pojęciem bardzo złożonym i związanym z zagadnieniami ponad-państwowej i ponad-narodowej natury.

W tym samym kraju różni politycy różnie interpretują tzw. "interes narodowy". Np. grupa Bevana reprezentuje pogląd, że zbrojenia na obecną skalę są niepotrzebne i niemożliwe do urzeczywistnienia. Bevanieści uważają, że haracz zbrojeniowy zniszczy strukturę i zdobycze "Welfare-State". Politycy tej szkoły wierzą, że najskuteczniejszą metodą walki z komunizmem jest podniesienie ogólnego dobrobytu i rozbudowa służb społecznych a nie zbrojenia, które niosą za sobą drożyznę i zubożenie.

Bevan jest bardzo niebanalną postacią — pełną dynamiki i uporu. W jego otoczeniu nie brak utalentowanych polityków. Jeżeli Bevanowi powiodło by się w przyszłości "zbevanizować" Labour Party, wygrać wybory i w konsekwencji sięgnąć po premierostwo — Wielka Brytania prawdopodobnie wystąpiłaby z Paktu Atlantyckiego.

W "The Listener" ukazał się artykuł pisał R. H. S. Crossmana o stosunkach brytyjsko-amerykańskich. Artykuł ten formułuje pewne kardynalne punkty polityki bevanistów. Crossman zaczyna od stwierdzenia, że "Pakt Atlantycki jest spółką bardzo sztuczną, narzuconą przez okoliczności — co odczuwają wszyscy biorący w tej spółce udział". Polityka Anglii w żadnym wypadku nie powinna dążyć do tego by Paktowi Atlantyckiemu nadać trwalszy charakter. Nie może być mowy o żadnej "konstytucji atlantyckiej", unii czy federacji. Anglia musi zachować całkowitą niezależność i suwerenność. A w zakończeniu Crossman stwierdza, że Anglia musi odzyskać swą gospodarczą niezależność za wszelką cenę — czy to kosztem stopy życiowej, czy to kosztem zobowiązań zbrojeniowych.

Anglia niezależna od Ameryki nawet za cenę redukcji zbrojeń. Trudno o bardziej klasycznie sformułowane nacjonalistyczne, suwerenne interesy narodowe. Niezależność, niepodległość, suwerenność. Wydaje mi się jednak, że Sowiety niczego bardziej nie pragną, jak tego, by Anglia rozluźniła swe więzy łączące ją z Ameryką, a jeżeli uczyni to kosztem swej obronności i zbrojeń — to oczywiście lepiej.

"Interesy narodowe" zachodniego świata dokonywały w ostatnich kilkunastu latach fantastycznych "salto mortale". I tak w okresie poprzedzającym Teheran, Amerykanie uważali, że nie Sowiety lecz Anglia jest tą imperialistyczną potęgą, której trze-

ba ustawicznie patrzeć na ręce. Książka Chester Wilmota rzuca na ówczesną postawę Amerykanów wiele interesującego światła. Dziś — jakby w rewanżu — bevanieści uważają, że największe ryzyko dla Anglii to ewentualność zacieśnienia sojuszu ze St. Zjednoczonymi. Widmo zależności od Ameryki przesłania bevanistom realne sowieckie niebezpieczeństwo.

Czytelnik przyzna, że tzw. "interesy narodowe" są bardzo zmiennym i zwodniczym pojęciem. Patrząc na to widowisko trudno pozbyć się wrażenia, że żyjemy w dziwnym świecie w którym jedna epoka leży martwa a druga nie może się urodzić.



W czasie ostatniej wojny, do londyńskiej centrali brytyjskiej Partii Komunistycznej napływały raporty szpiegowskie z całej Anglii, które przekazywano ambasadzie sowieckiej. Douglas Hyde podkreśla w swych pamiętnikach, że nigdy nie przychodziło im nawet na myśl, że przekazując wiadomości Sowiетom popełniają zdradę. Po pierwsze, wyszkolony marksista wie, że "robotnicy nie mają ojczyzny". Po drugie, celem komunistów angielskich jest sowiecka Anglia. Nadzieja: skomunizowania Anglii związana jest z potęgą i zwyczajem Związku Sowieckiego, gdyż upadek "ojczyzny robotników" oddaliłby wizję skomunizowania świata na dziesiątki lat. W ten sposób szpiegowanie na rzecz Sowiетów jest najszczytniejszą pracą dla dobra Anglii — przyszłej, sowieckiej Anglii oczywiście.

Hyde opisuje swą rozmowę z członkiem partii (tajnym), który zajmował ważne stanowisko państwowe i przekazywał cenne informacje — pisze dosłownie: "Przypomniałem mu o czym wiedzieliśmy obaj, że tak jest naprawdę — że tysiące członków partii oddało by wszystko co posiadają by móc wyświadczyć komunistom taką usługę".

Dla komunistów istnieje jeden front walki. Komunizm jest jeden — anty-komunizmów są setki. Komunizm jest uniwersalistyczny mimo, że jest narzędziem jednego mocarstwa. Ale i imperializm sowiecki ma cechy uniwersalne, dąży bowiem do podboju i skomunizowania całego świata. Natomiast anty-komunizm jest podporządkowany dziesiątkom "interesów narodowych" i nie istnieje jako jednolita siła.

Bevanieści są anty-komunistami pod warunkiem, że zbrojenia nie zlikwidują "Welfare-State" i anty-komunizm nie będzie wymagał zbyt daleko posuniętego podporządkowania W. Brytanii Stanom Zjednoczonym.

"Bevanieści" polscy są anty-komunistami pod warunkiem, że rząd londyński zostanie uznany, że zawrzą korzystne układy i otrzyma wszelkie gwarancje.

"Bevanieści" francuscy są anty-komunistami pod warunkiem, że Amerykanie nie dopuszczą do odbudowy nacjonalistycznych Niemiec i wzmogą swą pomoc finansową dla Francji.

Ten przegląd "bevanizmu" czyli anty-komunizmu warunkowego można by oczywiście rozszerzyć i uzupełnić.

Pragnę podkreślić, że postulaty "bevanistów" są przeważnie słuszne. Jestem za utrzymaniem "Welfare-State", za realizacją postulatów wysuwanych przez polski obóz niepodległościowy, za niedopuszczeniem do odbudowy militarystycznych Niemiec, za jak największą pomocą amerykańską dla Francji. Twierdzę natomiast, że te, skądinąd, słuszne żądania sprawiają, że antykomunizm nie jest ruchem uniwersalnym, nie jest siłą.

Twierdę również, że owe postulaty, czyli "interesy narodowe", formułowane nie w ramach uniwersalnie pojmowanego antykomunizmu, są wyłącznie grą słów, frazesów i pobożnych życzeń. Albowiem dopóki komuniści władają jedną trzecią ludności globu, pierwszym i kardynalnym "interese narodowym" pozostałych dwóch trzecich ludności świata — jest solidarna walka przeciw komunizmowi. Zwycięstwo w tej sprawie jest bowiem warunkiem "sine qua non" realizacji wszystkich innych partykularnych "interesów narodowych".

Tymczasem "bevanistom" Zachodu — nie wyłączając polskich "bevanistów" — wydaje się, że ich postulaty muszą być spełnione najpierw a zwycięstwo osiągnięte dopiero w drugiej kolejności.

Bevanizm u swych podstaw jest nacjonalistyczny, a-universalny i opiera się na dziwnej wierze, że z tej walki o świat między Waszyngtonem a Moskwą można się wykreślić, względnie udział swój ograniczyć i uwarunkować.

Obiektywnie trzeba jednak stwierdzić, że jeżeli dziś antykomunizm nie jest uniwersalną koncepcją, to winę za ten stan rzeczy ponosi w pierwszym rzędzie polityka amerykańska. Nie można bowiem samemu mówić o własnych "interesach narodowych" — jak robi to p. Kennan — a od innych domagać się walki w imię powszechnej idei.

Jeżeli polityka amerykańska pragnie oprzeć się na antykomunizmie 2/3 ludności świata, to antykomunizm musi się stać koncepcją — koncepcją sprawiedliwszego i bardziej ludzkiego świata niż ten w którym żyjemy obecnie i niż ten, który oferują nam komuniści.

Zasady komunizmu brzmią wszędzie jednakowo i wyznawane są przez komunistów bez względu na kolor skóry i położenie geograficzne. Zasady zachodniej wolności muszą być głoszone w ten sam sposób. Niestety tak nie jest. Interpretacja zasad zachodniej wolności zależy od koniunkturalnych "interesów narodowych". Ci sami politycy, którzy sądzą, że murzyni na Żółtym Wybrzeżu winni posiadać statut dominialny a więc niepodległe państwo — uważają, że Polacy, Czechosłowacy, Węrzy, Rumuni i Ukraińcy mogą być wyzyskiwani dziesiątkami lat w sowieckim imperium kolonialnym i jedyną rozsądną rzeczą jest pogodzić się z tymi smutnymi faktami, bo przecież wojny o to nikt prowadzić nie będzie.

Tymczasem nie chodzi ani o wojnę, ani o krucjatę. Chodzi o zasadę. Chodzi o stwierdzenie, że polityka amerykańska jest

wierna kilku niewzruszonym zasadom i że jej ostatecznym celem jest realizacja tych zasad na całym świecie.

Rosja mówi o pokoju — o dążenie do wojny oskarża Amerykę. A mimo to, każdy komunista na świecie jest przekonany, że Rosja nie spocznie dopóki świat nie zostanie skomunizowany i wie, że Rosja nie odstąpi nigdy od zasad komunizmu.

Jeżeli antykomunizm ma być powszechną koncepcją, jeżeli wolność zachodnia ma mieć jakiś sens — wolni ludzie muszą identycznie ufać polityce amerykańskiej i wierzyć, że Stany Zjednoczone nie pogodzą się nigdy z upadkiem wolności i kolonialnym wyzyskiem w Europie środkowo-wschodniej, czy gdziekolwiek indziej na świecie.

Doktryna "narodowego interesu" Kennana nie jest do pogodzenia z ideą amerykańskiego przywództwa. Ameryka Kennana byłaby tylko potężnym państwem ale i niczym więcej. Z takim państwem trzeba się targować i rachować i tego typu państwo odstępnie od zasad, ilekroć jego politykom wydaje się, że "interes narodowy" tego wymaga. To są mocarstwa starego typu, które Sowietka Rosja operująca uniwersalną ideą — czyniła anachronistycznym zabytkiem.

Narody ujarzmione patrzą i dziś ku Ameryce z nadzieją i ufnością. Znakomita większość Węgrów, Rumunów, Polaków czy Czechosłowaków sądzi bowiem, że rozwój sytuacji — wcześniej czy później narzuci Ameryce rolę przywódcy w wyzwoleniu świata.

Mimo to nie brak Polaków, Czechów czy Węgrów, którzy odnoszą się do St. Zjednoczonych z taką samą nieufnością jak Bevan. Sądzą oni bowiem, że Ameryka prowadzi w gruncie rzeczy wielkomocarstwową grę mając na oku wyłącznie egoistyczne cele polityczne. Książka Kennana umocni w nich te podejrzenia.

Amerykanie muszą sobie zdać sprawę, że wszelka potęga budzi nieufność a cóż dopiero potęga na skalę nieznaną dotąd historii. Z wyjątkiem jednej chyba Rosji nikt nie może być w stosunku do Ameryki równym partnerem. "Bevanizm" w gruncie rzeczy powstał z przeświadczenia — nie zawsze w pełni sformułowanego — że bliska współpraca z taką potęgą jak St. Zjednoczone skończyć się musi podporządkowaniem woli wielokrotnie potężniejszego partnera.

Jeżeli ciężar potęgi amerykańskiej budzi tego rodzaju reakcje w Anglii, która sama jest mocarstwem — cóż mówić o mniejszych narodach, które nie mogą w stosunku do Ameryki uprawiać żadnej politycznej gry i których statut, siłą rzeczy, jest statutem klienta a nie partnera. Nikt nie chce być ani klientem, ani satelitą i temu Amerykanie nie powinni się dziwić.

Istnieją dwa źródła nieufności do polityki amerykańskiej:

1) "Bevaniści" zachodnio europejscy podejrzewają, że za Paktem Atlantyckim, a nawet za pomocą i programami zbrojeniowymi nie stoi w gruncie rzeczy nic — tylko "interes" amerykański. W konsekwencji politycy ci uważają, że Ameryka wykorzy-

stuje niebezpieczeństwo sowieckie dla własnych politycznych celów, które nie zawsze pokrywają się z "narodowymi interesami" państw Zachodu.

2) "Bevaniści" środkowo-wschodnio europejscy przebywający na zachodzie podejrzewają, że St. Zjednoczone są jeszcze ciągle potencjalnie gotowe do pogodzenia się z faktem ujarznienia 100 milionów Europejczyków, w wypadku, gdyby Rosja wykazała chęć pokojowej współpracy z Zachodem i wyraziła zgodę na amerykańskie projekty międzynarodowej kontroli broni atomowych. W konsekwencji, politycy hołdujący temu pogładowi uważają, że "Voice of America" i całość amerykańskiej akcji propagandowej, obliczonej na kraje za "żelazną kurtyną" — służy wyłącznie koniunkturalnemu "interesowi" St. Zjednoczonych z którego Amerykanie mogą wycofać się każdej chwili, skoro uznają, że akcje te nie są im już dłużej potrzebne. Akcje te — jeżeli by budzić miały jedynie fałszywe nadzieje, przyniosłyby ujarzmiionym narodom tylko szkody.

Dlatego powtarzam: nie chodzi o jeszcze jedną rozgłośnię "Voice of America", ani o jeszcze jeden komitet "Free Europe", czy o takie czy inne kredyty. Chodzi o *zasadę*.

Cóż nas w końcu odróżnia od komunistów? Jeżeli odrzucić frazesy, różnice, które kopią przepaść między nimi a nami — sprowadzić można do kilku zasad. Jeżeli 2/3 ludności świata mają stawić czoło komunizmowi, wolni ludzie muszą wierzyć niezachwianie, że najpotężniejsze państwo Zachodu stoi bezkompromisowo na gruncie tych kardynalnych praw. Że nigdy nie pogodzi się z upadkiem wolności w Europie ani poza Europą.

Tylko w oparciu o uniwersalnie pojęte zasady, a nie w oparciu o staroświecki "narodowy interes" — może Ameryka prowadzić naprawdę światową politykę i dopiero wówczas antykomuniści wszystkich ras i narodów spojrzą na Waszyngton w pewnej mierze tak, jak dziś komuniści świata patrzą na Moskwę.

Walka idzie o glob ziemski. Wolność świata jest tym prawdziwym i rzeczywistym "interesem narodowym" Stanów Zjednoczonych. Wszelkie inne sformułowania polityki amerykańskiej są próbami ucieczki przed rzeczywistością.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Na otwarciu polskiej stacji Free Europe

*Już tam niejedyn z naszych polskich braci
Uchem przy ziemi każdy tętent ima,
Tysiąc go razy schwyta i straci,
.....
A nas jak nie ma — tak nie ma.*

(Piosenka powstańcza)

Nowa, polska stacja «Radia Wolnej Europy» zaczyna przemawiać do Kraju. Będzie wyposażona w najnowocześniejsze urządzenia, będzie rozporządzać całym sztabem współpracowników — nie zabraknie jej niczego, co współczesna technika radiowa może wymyślić, aby wypełnić powietrze głosami.

I zapewne już dzisiaj przyjaciele nasi, którym to potężne narzędzie zostało powierzone, szukają trafnej i wyczerpującej odpowiedzi na pytanie, które sobie postawili: «O czymże to mówić będziemy?».

Odpowiedzi cisną im się na usta, jedne po drugiej: «Napiętnujemy okrucieństwo i przewrotność rządów, które wyniszczają siły fizyczne i zatrują duszę naszego narodu. Będziemy prostowali kłamstwa, od których się roją nauki fałszywych, komunistycznych proroków. Będziemy odstawiali nadużycia, popełniane przez kacyków, panoszących się w Polsce ze stalinowskiej łaski. Opowiemy młodzieży prawdziwe, niesfałszowane dzieje Polski; opowiemy jej o tych najświetniejszych dziełach ducha i literatury naszej, których dziś w Polsce drukować nie wolno. I o tym co naprawdę się dzieje w wolnym świecie, jak żyją ludzie, tam gdzie są wolni od strachu, od nacisku, od nieustającej kontroli i szpiegostwa...».

To wiele. Nawet bardzo wiele. W każdym razie dość, aby ułożyć setki i tysiące doskonałych programów. Będzie w nich wszystko oprócz odpowiedzi na to jedno, na to najważniejsze pytanie: «I cóż dalej?». Nie będzie odpowiedzi, na którą nasi bracia czekają od lat, nocą i dniem, pytając: «Co będzie z nami?».

Czy możecie dać braciom waszym w Polsce odpowiedź na to pytanie, przyjaciele z «Radia Wolnej Europy»? Nie — *nie możecie*.

◆
Ta część waszej pracy, która polegać będzie na prostowaniu fałszów, na informowaniu waszych słuchaczy o rzeczywistym przebiegu wydarzeń, na uzupełnianiu coraz to większych luk w dziedzinie nauki i piękna — nie jest, ściśle rzecz biorąc, propagandą, lecz tylko i po prostu pracą w służbie prawdy. Propaganda zaczyna się wtedy, gdy w zdaniach, jakie wygłaszamy, jest już określony cel polityczny. Kiedy wzywamy ludzi do dzia-

łania lub do zaniechania jakiejś działalności. Gdy, przewidując nadchodzące wydarzenia, zachęcamy ich do zajęcia takiej czy innej postawy. Nie ma powodu, aby sądzić, że w obecnym trudnym położeniu nie zachowacie koniecznej ostrożności.

Propagandą jest również, tworzenie nastrojów. A więc, na przykład taki dobór wiadomości, że razem wzięte — przyczyniają się one pośrednio do wzbudzenia mniej lub więcej uzasadnionych nadziei. I tutaj wasze zadanie, koledzy z «Radia Wolnej Europy», będzie zapewne najtrudniejsze.

Gdyż propaganda, w swej istocie, to tylko wyraz czegoś innego co już propagandą nie jest, to jedno z narzędzi do osiągnięcia określonego, politycznego zamiaru. A więc znowu powstanie przed wami to samo pytanie, choć w nieco zmienionej już formie: jak się przedstawia polski wycinek tych wielkich spraw, które się teraz dzieją na Zachodzie? Jak wygląda «polityka polska» potęg, które kształtują jego oblicze?

Na to pytanie, dotychczas, jest tylko jedna odpowiedź: polityki takiej dotychczas nie ma wcale.

Nie mają jej, przede wszystkim, Stany Zjednoczone Ameryki. Sporadycznych, choć czasem efektownych wystąpień, za politykę uważać nie można. Tym bardziej, że wydarzają się one najczęściej, i to z przedziwną regularnością, w okresach wyborczych, gdy kandydatom idzie o zjednanie sobie kilku milionów polsko-amerykańskich głosów. Postawa amerykańska w stosunku do całości obszarów, położonych na wschód od Niemiec, ogranicza się do kilku hasel, wzajemnie z sobą sprzecznych, co jest dość przekonującym dowodem braku jakiegokolwiek polityki.

I tak, wahają się Amerykanie między dwoma biegunami, z których jednym jest ich prawdziwe i szczerze przywiązanie do ideałów wolnościowych, a drugim ich zamilowanie do «hurtowych», do «wielkoprzestrzennych» rozwiązań. Przechylają się to w jedną, to znów w drugą stronę. A gdy powstanie sprzeczność między tymi dwoma skłonnościami, wówczas tracą głowę. Nie pojmują, że choć dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, wolność i «wielkoprzestrzennosc» połączyły się harmonijnie w ich kraju, nie wszędzie i nie zawsze tak być może i nie zawsze od razu.

Dla tego też dziś na przykład, gdy już zrozumieli okrucieństwo sowieckiego systemu, jeszcze zwracają się z apelami «do wszystkich ludów Rosji», zapominając, że w ten sposób jakby nawracają do carskich tradycji i w nieświadomości swojej niosą ujarzmionym ludom manifest niewoli. A skutki nie dają na siebie czekać długo. Już w Niemczech coraz częściej słychać, w różnego rodzaju wystąpieniach, o «przyszłej Rosji nie-sowieckiej, naszym odwiecznym sąsiedzie». I patrzcie. Dla niejednego (a takich jeszcze jest w Niemczech wielu), między Niemcami a Rosją nie ma już nic, nie ma już nikogo, tylko jakieś «ludy rosyjskie». A któż potrafi — marzy ten i ów — oprzeć się potędze, sięgającej od Renu do Oceanu Spokojnego?

Wahają się jeszcze Amerykanie między przecuciem, że wolność jest niepodzielna, a chęcią powrotu do «klasycznej» tj. handlowej dyplomacji. Nie wiedzą co począć, gdy przychodzi im odpowiedzieć na pytania, których bez odpowiedzi pozostawić nie można. Np. w sprawie granicy wschodniej pozostawiają niemieckim rewizjonistom jakieś nieokreślone nadzieje, jednocześnie usiłując nie urazić zbyt wiele Polaków i Czechów. Czyż nie przypomina to trochę tańca na drewnianej sali? «Raz na lewo, raz na prawo, trochę naprzód, trochę w tył».

Na pewno więc, koledzy z «Radia Wolnej Europy», nie będziecie mogli wyjaśniać waszym słuchaczom zasad polityki Zachodu w stosunku do środkowej i wschodniej Europy. Nie sposób wyjaśniać tego, co jeszcze nie istnieje.

Możecie im natomiast powiedzieć z całym spokojem, że wiele zależy od nas samych i od naszych najbliższych sąsiadów. Bo nawet ci politycy na Zachodzie, którzy są pozbawieni wyobraźni, mają zrozumienie dla faktów i liczą się z faktami. Nieraz denerwuje ich i niecierpliwi skomplikowana mapa sporów, istniejących na tamtym obszarze Europy. Gdyby jednak one ustały, gdyby sąsiedzkie narody potrafiły wytworzyć wspólny, zwarty front, wówczas możemy być pewni, że nadzieje na wspólną naszą przyszłość będą wyglądały bez porównania jaśniej niż dziś.

Dla tego celu możecie uczynić wiele. Możecie zachęcać ludzi w Polsce, aby czynili to przynajmniej, co jest w ich mocy, dla przyszłości. Aby wykorzystywali wszelkie, choć ograniczone spotkania z sąsiadami Polski do szerzenia tej prawdy. Niech głoszą ideały braterskiej współpracy «równych z równymi, wolnych z wolnymi». Niech się nie zrażają, jeżeli wysiłki ich nie od razu dawać będą wyniki. Nie pójdą one na marne. I powiedzcie, że alternatywą jest, prędzej czy później, zagłada — dla wszystkich. Niech narody te wywrą zgodną presję na swych przedstawicieli na emigracji, aby przestali wreszcie biegać w pojedynkę po zachodnich kancelariach dyplomatycznych, gdzie — oddzielnie — wywołują tylko bardzo ułamkowe zainteresowania; aby — odłożywszy na bok drobne niechęci i urazy — nauczyli się zajmować wspólne stanowiska. Jest to najważniejsza, kapitalny warunek powodzenia. Bez spełnienia tego warunku — perspektywy są złe.

Tak więc, koledzy z «Radia Wolnej Europy», będziecie mieli przed sobą ciężkie i odpowiedzialne zadania. Wierzę, że uczynicie wszystko co będzie w waszej mocy, aby im sprostać w zakresie waszej pracy. Będziecie musieli nieraz walczyć sami z sobą, nawet w własnymi waszymi talentami, aby po pierwszej jaskółce nie ogłaszać już nadejścia wiosny. Bo wiecie, że wtedy drzewa w Polsce zaczną puszczać pąki i rychło potem wschodni mróz je pościna.

Jerzy PRĄDZYŃSKI.

List z Berlina

Wiosna przyszła do Berlina: nagle i od razu w pełnym rozkwicie upalnych prawie dni. Szybciej niż zazieleniły się drzewa, upstrzyły się ulice od kolorowych sukien i jasnych marynarek. Tłumy wyległy nad brzegi Schlachtensee. Ludzie jakby poweseleli. Ale... Czyż już do stałych moich obowiązków będzie należało wykazywanie złej koordynacji niebieskiej pogody z polityczną? Przecież nie po to tylko, aby "peindre le contraste — qui se marque parfois — pour d'intimes raisons — entre le coeur et les saisons". Bo powody wcale nie są tak znowu "intymne". Podczas gdy cały świat zachodni, włącznie z zachodnimi Niemcami (zresztą nie włączonymi jeszcze do Zachodu ostatecznie) wypełnia gwarem rozpraw przerwy między kolejnymi sowieckimi notami, Berlin zachodni wpatruje się z wyteżoną uwagą w to, co się dzieje za progiem, liczy, mierzy temperaturę, nadślučuje.

Berlin na coś czeka i czeka z niepokojem. Mimo, że nacisk w sektorze wschodnim i w "Niemieckiej Republice Demokratycznej" tj. w strefie sowieckiej jakby nieco zelżał i np. łatwiej teraz uzyskać pozwolenie na wyjazd z komunistycznego rajdu do Berlina zachodniego i do Republiki Związkowej na zachód (Oczywiście, nie brak amatorów na wyjazd, z pozwoleniem lub bez. Przeciętnie 300 uciekinierów dziennie zgłasza się do zachodnioberlińskich placówek). Niby więc jakieś chwilowe odprężenie, ale Berlińczycy, i to nie byle jacy bo senatorowie, mówią przyzyciszonym głosem, że liczą się z czymś co jest już jakby w powietrzu. Zobaczymy.

No i nie ulega wątpliwości, że coś nowego się dzieje w szeregach wschodnio-niemieckiej "policji ludowej", sławnej Vopo. Wprawdzie od końca ubiegłego roku jej stan liczebny (około 65.000) niewiele się powiększył. Ale reorganizacja jest w pełnym toku, a jej celem ma być utworzenie 20 regularnych dywizji wojskowych. Oficerowie sowieccy, występujący dotychczas w charakterze doradców, są już od końca stycznia instruktorami. W końcu lutego wprowadzono wszędzie ostre strzelanie. Nie brak również oświadczeń, z których wynika, że "Vopo" ma osiągnąć wyższy stopień gotowości wojskowej i politycznej.

Plamy na wiosennym słońcu...

Bismarck jest modny w Bonn, mieście Beethovena. Byłem kiedyś na wykładzie profesora Hallsteina, sekretarza stanu dla spraw zagranicznych, wygłoszonym wobec studentów tamtejszego Uniwersytetu. Profesor-dyplomata, określając obecne cele polityki zagranicznej swego rządu (pokój, wolność, jedność, zaufanie), przypomniał słowa Bismarcka o "polityce, sztuce rzeczy możliwych", dodał, iż jego "wielce szanowny kolega" prof. Carlo Schmid (jeden z głównych przywódców opozycji socjalistycznej),

próbuje lansować inną definicję: "Coś w tym rodzaju: polityka jest to sztuka, przy pomocy której rzeczy niemożliwe zamienia się w możliwe do urzeczywistnienia". Teraz role jakby się zmieniły. Prof. Hallstein miał ostatnio trochę kłopotów po swym, w Stanach Zjednoczonych złożonym oświadczeniu, w którym podobno zapowiedział zjednoczenie Europy aż po Ural. Tymczasem Bismarck, jeśli wierzyć temu co pisze "Deutsche Zeitung", stał się patronem SPD. Komentując ostatnią debatę w Bundestagu w sprawie polityki zagranicznej, pismo sztućgarckie domyśla się, że mówcy socjaldemokratyczni pamiętają o bismarckowskiej radzie, aby "nie zrywać drutu do Petersburga". Ale od czasu Bismarcka warunki zmieniły się gruntownie, stwierdza "Deutsche Zeitung" i pisze: "Za to, żeśmy przeceniali znaczenie naszego centralnego położenia, musieliśmy płacić ciężko, krwawić się straszliwie i jeszcze o mało nie utraciliśmy bytu państwowego... Wydaje się nam również, że w Bundestagu mówcy socjalistyczni, którzy pragną, aby traktatowe ustalenie orientacji zachodniej... zostało odsunięte na czas nieokreślony, zalecają, w gruncie rzeczy, prowadzenie polityki wilhelmińskiej, której koniec był tak znamienity: propozycje zawarcia umowy, wysuwane przez Anglię, spotkały się na przełomie stulecia z taktyką odwiekania i w niewiele lat potem stanęliśmy wobec Ententy trzech. Wreszcie, w 1914 r., ujrzelśmy kanclerza Bethmanna-Hollwega we łzach. Dalibóg, pocziwiec ten nie miał złych zamiarów". Trzeba stać obu nogami na ziemi i pamiętać o tym, że w rzeczywistości granice manewru polityki niemieckiej są dosyć szczupłe, tak mówi "Deutsche Zeitung".

Mimo to są ludzie, którzy wiele oczekują właśnie po owej "swobodzie manewru". Do nich należy p. Paul Bourdin, który pisał w "Die Zeit": "Od czasu propozycji sowieckich, szybko wzrosło zrozumienie aliantów dla niemieckich żądań co do równouprawnienia w europejskiej wspólnocie obronnej. Szczupłe możliwości, jakie nota moskiewska zaofiarowuje niemieckiej polityce zagranicznej, wystarczyły, aby alianci okazali większą gotowość do ustępstw".

Te dwa głosy warto było przytoczyć choćby po to, aby zilustrować znane przysłowie: "Plus ça change, plus c'est la même chose". Byłoby źle, gdyby dążenia do obudzenia nowego, europejskiego sumienia czy też wyczucia zmian w światowej skali, przesłaniało nam obraz rzeczywistych warunków, w jakich dążenia te mogą się spełniać i owe zmiany się odbywają. Trudno jest przeskoczyć samego siebie. Nie tylko chodzi o to, że podzieli światła, ustalony w Teheranie szkielet, a potem uzupełniany dalszymi umowami, nadal trwa, wbrew protestom i wbrew rozczarowaniom. Idzie i o to również, że konsekwencje, wypływające z zajętego wówczas stanowiska, rozwijają się z nieubłaganą logiką i rozwijać się będą dalej — zapewne dopóty, dopóki przynajmniej jedna ze stron nie zaprzestanie brać udziału w cwej

skomplikowanej grze równowagi. Bo tak wyglądają i tak zresztą są niemal oficjalnie określane obecne zadania światowych dyplomacji: jako "gra równowagi", jako "odbudowywanie równowagi", "przywrócenie równowagi" itd. itd.

Założenia, z których się wyszło, były typu "mocarstwowego", a nie międzyrodowego, a tylko zwiększyła się waga i zredukowała ilość rzeczywiście czynnych partnerów. Stąd też i technika "gier" pozostała w dużej mierze ta sama, choć "udoskonalamo" ją w międzyczasie. Toteż i dzisiejsze europejskie projekty są w większym stopniu przymierzami w stylu starej Europy aniżeli budowaniem zrębów nowego wspaniałego świata. Trudno więc dziwić się Niemcom, że usiłują wykorzystać rentę położenia, skoro w takim położeniu postawiono je od początku. Walka o niemiecką duszę stała się jedną z głównych reguł "gry" od chwili, gdy Europę potraktowano jako szachownicę. Bartkom zagrano "Jeszcze Polska nie zginęła" jak pod Gravelotte i ostatecznie Bismarck pozostał na placu jako zwycięzca.

Aby nie być posądzonym o przykrawanie ocen jakby "na polską miarę", przytoczę wyjątkowo niedwuznaczne zdanie londyńskiego "Times'a": "Ponowne uzbrajanie Niemiec, europejska wspólnota obronna, cała idea jedności zachodnio-europejskiej, są specyficzną odpowiedzią na specyficzne zagrożenie — na obecność armii czerwonej na Łabie — jednak same w sobie nie stanowią żadnej koncepcji dla przyszłości Europy".

Nota bene, między jedną a drugą notą sowiecką, w Bonn robiono sobie wielkie nadzieje, że Moskwa, w tanecznych zalotach o rękę Germanii, przyniesie wiano w postaci zaodrzańskich ziem. Nic z tego nie wyszło i rozczarowanie było całkowite. A przecież mrugano całkiem niedwuznacznie i nie brakowało depesz z domysłami, a wszystkie one, jakby przypadkiem, pochodziły z Bonn. Triumfował berliński "Kurier", który potem ironizował na temat owych "politycznych jasnowidzów": "...czyż można było, już choćby ze względu na samą technikę rokowań, poważnie oczekiwać, że Kreml zmieni w decydującym punkcie swój projekt "traktatu pokojowego" dla Niemiec, zanim jeszcze rozpoczęły się jakiegokolwiek rozmowy na ten temat? Czyż można, jeżeli ma się jaką taką zdolność myślenia politycznego przypuszczać, że Kreml zaproponuje od siebie takie rozwiązania, które we wszystkich państwach satelickich musiałyby zaalarmować nacjonalistów i wepchnąć ich do obozu titowskiego?" — Przypuszczać, najwidoczniej, można.

Ale można przypuszczać i wiele innych rzeczy. I tak np. p. Dominique Auclair opowiadała niedawno, w paryskim "Figaro", ciekawe historie o działalności prosowieckiej, austriackiej "Ligi Narodowej" (przeważają w niej byli członkowie SS). Otóż w Niemczech zachodnich odbyło się podobno zebranie, w którym wzięło udział kilku członków Ligi, kilku neonazistów niemieckich, dwóch członków "partii demokratycznej" z Niemiec

wschodnich oraz dwóch komunistów ze wschodnio-niemieckiej SED. W toku zebrania zażądano od obecnych, aby uznali bez zastrzeżeń, że granica na Odrze i Nysie jest ostateczna. Austriacy chcieli powstrzymać się od głosu tłumacząc się tym, że ta sprawa ich bezpośrednio nie dotyczy. Ale komunista niemiecki wyjaśnił im, że są w błędzie, bo wzamian za wyraźne zrzeczenie się swych pretensji do ziem zaodrzańskich, Niemcy mogą otrzymać od Rosjan pozwolenie na przyłączenie Austrii...

Przytoczony wyżej p. Paul Bourdin, który nie bez pobłażliwości przypatruje się współzawodnictwu zalotników ze wschodu i zachodu o względy Germanii, nie robi sobie zresztą złudzeń co do sentymentów: "Nieufność Francji i Anglii jest rzeczywistością, zaufanie Związku Sowieckiego jest pozorem" (W tym spisie brakuje, jak widać, Stanów Zjednoczonych Ameryki). Jest to ocena sceptyczna i ten sceptycyzm, jak mi się wydaje, jest dziś w Niemczech dość powszechny. Czy naród niemiecki odczuwa entuzjazm dla armii europejskiej i czy ma dziś ochotę do wojaczki? Na pewno nie. Ale jeden z niemieckich moich znajomych mówił mi niedawno: "Wie Pan, że my jesteśmy narodem zdyscyplinowanym i jak przyjdzie rozkaz, będziemy maszerować". We wschodnich zaś Niemczech już maszerują... Pewna starsza pani, dumna z tego, że w najgorszych czasach nie opuściła Berlina, jak to uczynili inni, a jednocześnie pełna jak najgorszych wspomnień ze spotkania, przed siedmiu laty, z armią Związku Sowieckiego, ma ustalony pogląd na przyczynę obecnych trudności w Europie. Rolę Hitlera raczej lekceważy, Stalina zbywa pogardą. Istotna przyczyna? "To wszystko wina Eisenhowera". Kiepska wróżba na wybory.

J. Pr.

Kronika angielska

Epizod hiszpański

Na posiedzeniu Rady Narodowej w dn. 15. III. br. min. M. Sokołowski wygłosił przemówienie na temat polityki zagranicznej. Mówca dłuższy ustęp swego exposé poświęcił Hiszpanii.

Przed wszystkim pragniemy podkreślić z naciskiem, że w naszej polityce w stosunku do obecnego reżimu hiszpańskiego musimy mieć zawsze na uwadze dwie różne sprawy. Gen. Franco uznaje rząd polski w Londynie. To jest pierwszy aspekt hiszpańskiego zagadnienia. Fakt ten jednak nie może w niczym zmieniać naszego negatywnego stosunku do dyktatury gen. Franco. I to jest drugi aspekt hiszpańskiego problemu.

Jest rzeczą dyplomacji umieć wypośredkować odpowiedni kurs mając na uwadze powyższe dwa aspekty. Nie wydaje się nam, by kurs obrany przez min. Sokołowskiego był właściwy.

Sprawa nie jest bynajmniej biała. Aby ją dojrzeć we właściwej perspektywie, trzeba sobie uzmysłowić, że min. Sokołowski przemawia imieniem rządu nie uznawanego przez demokrację zachodnią, imieniem rządu, który nie ma poparcia własnych, głównych demokratycznych partii politycznych, imieniem rządu, który przez swoich i obcych posiadany jest ustawicznie o anty-demokratyczne nastawienie. Wydawało by się, że w takiej sytuacji winno się unikać nawet cienia jakiegokolwiek ukłonu w stronę reżimu anty-demokratycznego.

Tymczasem, wystąpienie p. min. Sokołowskiego nosi nie tylko cechy przyznej manifestacji, ale w pewnej mierze również i cechę aprobaty oficjalnej polityki rządu gen. Franco. Min. Sokołowski odczytał bowiem fragment artykułu hiszpańskiego ministra spraw zagranicznych, jaki ukazał się w dzienniku "Ya" — dodając od siebie, że za wyrażone w tym artykule stanowisko poseł polski w Madrycie złożył słowa uznania i to nie tylko imieniem Polaków na emigracji, lecz również i w imieniu Polaków w Kraju.

Artykuł p. Martína Artajo jest w swej treści istotnie piękny, szlachetny i słuszny. Tylko p. Artajo mówiąc o wolności dla narodów za "żelazną kurtyną" zapomina o tym, że jego własny naród nie korzysta do tej pory z pełni wolności i swobód demokratycznych. Zapomina o tym, że wybitni Hiszpanie, jak Salvador de Madariaga, z racji swych demokratycznych przekonań, przebywać muszą na wygnaniu w Londynie, podobnie jak Polacy, a wśród nich i p. min. Sokołowski.

Jaki jest cel polityczny tego rodzaju przemówień?

Przecież naszej polityki nie będziemy prowadzili w oparciu o Hiszpanię gen. Franco, tylko w oparciu o Anglosasów.

Całość naszego życia politycznego jest uważnie obserwowana i komentowana. Tekst przemówienia min. Sokołowskiego z całą pewnością znalazł się na biurku odpowiedniego specjalisty w sekcjach wschodnio-europejskich brytyjskiego i amerykańskiego ministerstwa spraw zagranicznych. Jakie wrażenie na bezstronnym i "niezangażowanym" obserwatorze anglosaskim mogła wywrzeć lektura tego exposé?

Jeżeli ów polityk nie podzielał do tej pory opinii, że rząd nasz "in exilie" wykazuje pewne autorytatywne skłonności, to przeczytawszy przemówienie min. Sokołowskiego, być może, zmienił swe dotychczasowe zdanie. Jeżeli natomiast był niechętnie do nas ustosunkowany i podejrzewał rząd polski na wygnaniu o anty-demokratyczne tendencje, w takim wypadku lektura exposé min. Sokołowskiego utwierdziła go w tym przekonaniu.

W przemówieniach naszych dygnitarzy spotyka się stale tendencje klasyfikowania mocarstw na te "sprawiedliwe", które uznają nasz rząd i na te "inne", które uznanie cofnęły. Otóż w stosunku do reżimu gen. Franco jest to szczególnie niewłaściwa taktyka. Albowiem gen. Franco mimo, że uznaje nasz rząd tym "sprawiedliwym" nie jest.

Nie jest również prawdą, co stara się zasugerować oficjalny "Orzeł Biały" w dziwnym artykule pt. "Demokracja i Dyktatura", że odpowiedzialnymi za niechęć do gen. Franco (na Zachodzie) są przede wszystkim socjaliści. Totalizm, czy to komunistyczny czy faszystowski, jest sprzeczny z ideą wolności i dlatego jest potępiany nie tylko przez socjalistów, ale przez wszystkich, którzy są za demokracją a nie przeciwko niej.

Fakt, że gen. Franco ustosunkowuje się przychylnie do naszego rządu, że nie cofnął mu uznania, że nasza ekipa radiowa korzysta w Madrycie z dużej autonomii — to wszystko są cenne aktywa w naszej obecnej sytuacji politycznej i byłoby nonsensem lekkomyślnie z nich rezygnować. Ale byłoby jeszcze większym nonsensem dla tych korzyści pogarszać naszą sytuację na Zachodzie. Wszelka polityka, która zmierza do wzmocnienia naszej pozycji w Madrycie kosztem dalszego erzebania naszej pozycji w Londynie i Waszyngtonie jest złą polityką. Dlatego musimy się trzymać kursu pośredniego tzn. pielęgnować nasze poprawne stosunki z Madrytem i równocześnie

nie pogarszać naszych stosunków z Anglosasami. Reżyserowanie jakiegokolwiek pro-francuskich manifestacji na najwyższym szczeblu naszej polityki zagranicznej nie przysparza nam z całą pewnością sympatii w politycznych kręgach Zachodu. Co do tego nie może nikt mieć żadnych wątpliwości.

Poza epizodem hiszpańskim exposé min. Sokołowskiego zawiera jeszcze ogólną ocenę sytuacji międzynarodowej ujętą w perspektywie popularnej i powszechnie znanej. W całym przemówieniu nie ma natomiast ani jednego słowa o planach i zamierzeniach rządu w dziedzinie polityki zagranicznej. Ale to należy już do tradycji obecnego rządu, który opiera się na zasadzie, że nie należy z nikim rozmawiać tylko trwać...

Jak słusznie zauważył w czasie dyskusji w Radzie Narodowej p. Józef Poniatowski — Niemcy dowiedli, że można stać się partnerem mocarstw nie mając ani jednej dywizji, ani pełnej samodzielności.

Istotnie można — ale trzeba mieć koncepcję i taktyków politycznych, którzy by koncepcję wprowadzili w czyn.

Budżet i Skarb Narodowy

Rada Narodowa uchwaliła budżet na okres 1.4.1952 do 31.3.1953. P. S. Dołęga-Modrzewski przedstawił również sprawozdanie Główn. Komisji Skarbu Narodowego. Według tych danych wpływ Skarbu Narodowego wyniósł w r. 1951 £ 22.851.

Ponieważ Skarb Nar. nie jest kontrolowany przez władze pochodzące z wyborów (u nas nikogo się nie wybiera, tylko wszystkich się mianuje) — jest rzeczą konieczną by sprawozdania finansowe, ogłaszane w prasie, były dokładne i jasne.

I tak np. "Syrena" z dn. 5.4. br. ogłosiła sprawozdanie Rady Skarbu Narodowego we Francji w którym m. in. spotykamy następującą pozycję: "Prasowa akcja niepodległościowa — 230.000 fr." — Co to znaczy? Płatnicy na Skarb Nar. mają prawo wiedzieć, które pisma we Francji są subwencjonowane, a które nie — i kto o tych subwencjach decyduje? Nie ma powodu do tajemniczości w sprawach prasowych — skoro wymienia się (i słusznie) subwencje wypłacane innym instytucjom jak np. Szkole Nauk Pol. w Paryżu, Stow. Młodych Muzyków Polskich we Francji, Związki Malarzy itd.

W sprawozdaniu kasowym Komisji Skarbu Nar. na Niemcy za luty br. ("Polak") — z dn. 4. IV. br.) w rozrachodach figuruje właśnie tylko jedna poważna pozycja, a mianowicie: "Sumy wypłacone na zlecenie Głównego Kom. Skarbu Narodowego do dyspozycji Delegata Rządu R. P. — DM. 3.670".

Co robi delegat Rządu w Niemczech? — Dopiero gdyby się znało odpowiedź na to pytanie — można by ustalić na jakie cele idą pieniądze ze Skarbu Nar. w Niemczech.

Faktem jest, że tego rodzaju sprawozdanie niczego nie wyjaśnia i nie daje nawet najogólniejszych danych, dotyczących celowości dokonanych wydatków.

Budżet — w formie uchwalonej przez Radę Nar. wynosić będzie we wszystkich swoich częściach — £ 3.941 miesięcznie. Równocześnie wydatki z sum Skarbu Narodowego komisja zmniejszyła z £ 1565 miesięcznie na równo £ 1500 miesięcznie.

Z powyższego należało by wnieść, że kwota £ 2441, która stanowi różnicę między miesięczną sumą budżetu (£ 3941) a miesięcznym pokryciem ze Skarbu Nar. (£ 1500) — pokryta zostanie z innych źródeł finansowych. Z jakich?

W zestawieniu rocznym budżet wynosi £ 47.292. Jest to z górą dwukrotnie wyższa kwota niż roczny wpływ Skarbu Nar., który łącznie z darami wyniósł £ 22.857.

Idea Skarbu Nar. jest realizowana tylko częściowo. Nie ulega wątpliwości, że osiągalny byłby roczny wpływ w wysokości nie 20 tysięcy, lecz pół miliona funtów szterlingów. Wystarczyło by, by co szósty Polak w wolnym świecie (łącznie z Polonią amerykańską) wpłacał 1 szylinga miesięcznie, by zebrać pół miliona funtów rocznie.

Żydzi amerykańscy uchwalili wykupić do końca bieżącego roku politykę państwowej Izraela na 200 milionów dolarów.

Co szósty Polak amerykański mógłby bez trudności płacić 1 szylinga miesięcznie na Skarb Nar. I płaciłby — ale apel musiałby być przekonujący a jego moralny nakaz bezsporny. Dostatecznie potężnie do Polaków amerykańskich mógłby zaapelować tylko Rząd Jedności Narodowej — rząd nie tylko legalny ale i demokratyczny tzn. oparty o wole większości. W naszej sytuacji — rząd oparty o większość niepodległościowych ugrupowań politycznych.

Historia niedopowiedzeń

P. Stanisław Mackiewicz ogłosił równocześnie w londyńskich "Wiadomościach" i detroickim "Dzienniku Polskim" swoje uwagi na temat korespondencji — Sikorski—Benesz. Z listów, autor wybrał serię fragmentów, które podmurować mają tezę, że Sikorski był mało inteligentnym i całkowicie nieodpowiedzialnym analfabetą politycznym, a jego partner p. Benesz czymś pośrednim między przebiegłym Stalinem a cynicznym Hitlerem.

Na łamach polskiej prasy emigracyjnej toczą się dyskusje na temat wydarzeń państwowej wagi sprzed pięciu czy siedmiu laty. Wszystko jest niejasne i niedopowiedziane i w gruncie rzeczy oparte na prywatnych informacjach.

Mamy doskonałą Białą Księgę wydaną już na emigracji (w N. Jorku) która zawiera zbiór dokumentów państwowych z zakresu polskiej polityki zagranicznej w latach 1933-1939. Opinia publiczna na emigracji winna wyrzucić nacisk na rząd, by przystąpił do wydania Białej Księgi, która zawierałaby zbiór dokumentów za okres 1939 do 1945. Wszystkie dotychczasowe analogiczne wydawnictwa nie spełniają tego zadania. Selekcji dokumentów winna dokonać Komisja w której reprezentowani byłiby również politycy opozycji. Komisja opracowałaby także konieczne komentarze.

Nie ulega wątpliwości, że ponieważ rząd nasz jest nieuznawany, nie wszystko można by i należało by podać do publicznej wiadomości. Ale uwaga ta dotyczy raczej okresu po r. 1945. Do tej daty byliśmy uznawani, nie stoi więc nic na przeszkodzie by opublikować wszystkie dokumenty polityczne i dyplomatyczne, odmalowujące w pełni działalność naszych rządów "in exile".

Ponieważ nie istnieje taka Biała Księga wydarzenia sprzed 5 czy 7 laty mają po kilka wersji a w każdym wypadku co najmniej dwie: rządową i opozycyjną. Biała Księga winna również objąć dokumenty polityczne Rady Jedności Narodowej w Kraju.

"Operacja absorbowania"

Tajemniczy p. St. Wielopolski w liście do redakcji londyńskiego "Dziennika Polskiego" (Nr 85) zaatakował Kongres Wolności Kultury oraz wydawnictwa tej instytucji. Głos p. Wielopolskiego wart jest chwili uwagi, symbolizuje bowiem mentalność pewnego odłamu polskiej emigracji.

Jak wiadomo Kongres Wolności Kultury przygotowuje festiwal sztuki w Paryżu. Wydawało by się, że Kongres jest instytucją jak najbardziej powołaną do organizowania imprez tego rodzaju. Chwila jest po temu bardzo odpowiednia, gdyż kultura zachodnia dawiona jest w Europie po tamtej stronie "żelaznej kurtyny". A i po tej stronie barykady nie brak ludzi, którzy głoszą, że Zachód znajduje się w stanie upadku i rozkładu. Festiwal ma właśnie na celu zamanifestować przed światem, że pra-źródło europejskiej kultury jest wiecznie żywe i twórcze i że zachodnia cywilizacja ma czym żyć i ma czego bronić.

P. Wielopolski jest jednak innego zdania i na łamach londyńskiego "Dziennika Polskiego" dał wyraz obawie i podejrzeniu czy przypadkiem "...nie mamy tu do czynienia z tym "absorbowaniem" środków i funduszy amerykańskich na cele dziesiątorzędne...".

Owo "absorbowanie" — jak wynika z powołanej się autora na pewien

cykl artykułów — miało by oznaczać, że w Kongresie Wolności Kultury znajdują się "sympatycy" lub "krypto-sympatycy" (a może nawet agenci sowieccy), którzy organizują festiwal paryski tylko w tym celu, by wyrzucić na głupstwa dobre amerykańskie dolary, rujnować Stany Zjednoczone, osłabić obronność państw Paktu Atlantyckiego, a tym samym wzmocnić Związek Sowiecki. I tak znakomici, a Bogu ducha winni malarze, kompozytorzy i muzycy ani się nie spostrzegą, że czarując Paryż geniuszem zachodniej sztuki, w gruncie rzeczy wykonywać będą brudną... pro-sowiecką robotę. Będą bowiem jedynie pionkami w wielkiej operacji "absorbowania" środków i funduszy amerykańskich".

Z wszystkich możliwych operacji "absorbowania", najgroźniejsza niewątpliwie jest operacja zmierzająca do "wyabsorbowania z ludzkich głów resztek zdrowego rozsądku. Taki pan z całą pewnością nie zauważy prawdziwego sowieckiego szpiega, który — być może — pracuje obok niego i w tej samej fabryce, lub w tym samym biurze przy sąsiednim biurku. To nie dla niego! Dla tych panów istnieją tylko wielkie "problemy", bo każdy z nich jest zapoznanym "asem" wywiadu.

Osobiście ośmielam się zapytać skromnie — czy jeżeli ktoś — nie mając po temu żadnych absolutnie dowodów rzeczowych czy jakichkolwiek innych — publicznie rzuca cień podejrzenia na aktywnie antysowiecką instytucję — czy aby to właśnie nie jest klasyczna operacja "absorbowania"? Bo jak inaczej nazwać publiczne podcinanie zaufania do antysowieckiej działalności instytucji finansowanej przez Amerykanów?

P. Wielopolskiemu nie podobają się biuletyny "Les Amis de la Liberté". Zapoznałem się z treścią tych biuletynów i twierdzą, że insynuowanie — jak robi to p. Wielopolski powołując się na nieznanego robotnika — że biuletyny te "robią pro-sowiecką agitację" — jest złą wolą. Biuletyny te dosłownie ociekają anty-sowiecką propagandą. Lecz sedno sprawy leży w czym innym. P. Wielopolski nie może przebaczyć cytowanym biuletynom ich krytycznego stosunku do gen. Franco. Lecz świat nie dzieli się — jak by sobie tego życzyli pewni panowie — na dobrych faszystów i na złych komunistów. Jeżeli już mielibyśmy dzielić to bliższy prawdy byłby podział: komuniści, faszyci po jednej stronie — demokratyczny świat wolnych ludzi po drugiej stronie.

Londyńczyk

POLSKIE KSIĄŻKI I PISMA Z EUROPY
WSZYSTKIE WYDAWNICTWA INSTYTUTU
LITERACKIEGO W PARYŻU

posiada na składzie

JÓZEF F. BIAŁASIEWICZ

Przedstawicielstwa "Kultury", "Orla Białego",
"Wiadomości".

1165 Milwaukee Ave. Chicago 22, Ill. U.S.A.

Sprawy i troski

Rok doświadczeń

Hostel jest rezerwatem

Z hostelu na stację idzie się dobrych dziesięć minut. Zniszczona asfaltowa jezdnia wije się przez zagajnik, w którym nie ma ani jednego europejskiego drzewa czy krzaka. Ale są mimosy — właśnie zaczynają kwitnąć. Są anemiczne, codziennie podskubywane przez mieszkańców hostelu. W pewnym miejscu oddalonym o jakieś dwieście jardów od drogi jest jedna — wspaniała i ogromna. Przypomina lipę. Jest obsypana od stóp do głów kwieciami, w którym nikną drobne pierzaste liście. Odkryliśmy ją podczas niedzielnego spaceru. Rośnie na uboczu i jest niemal dziewicza — nikomu nie przyszło do głowy zapuszczać się w zagajnik "aż tak daleko".

Wzdłuż drogi wije się ścieżka dla pieszych, po której nikt nie chodzi. W przedświtowych ciemnościach co dziesięć, piętnaście minut przewala się tędy lawina ludzka spiesząca na pociąg wiozący ją do pracy. Ciemność i częste deszcze przyzwyczyły ich do trzymania się środka jezdni, gdzie kałuże błyszczą nawet w ciemności i są łatwe do omijania. Wracają po zachodzie słońca, kiedy również jest ciemno.

Kończy się zagajnik. Przed nami o sto kroków migoce jedyne światółko — stacja. Brzask — wpada w hukiem pociąg — ścisk przy wejściach do wagonów — ścisk wewnątrz — tak jak na całym świecie...

Wkraczamy do Australii.

Słyszało się jedynie o dwóch państwach, które wymyśliły hostele: Wielkiej Brytanii i Australii. Nie będą chyba wysilały się na walkę o palmę pierwszeństwa, bo Australia nie ma wygórowanych ambicji w dziedzinie rywalizacji z Wielką Brytanią. Australia ma wszystko "made in England": maszyny i papier listowy, samoloty, filizanki i kalendarzyki kieszonkowe. Wszystko prócz żywności. Najprawdopodobniej Australia przejęła

również wynalazek hosteli (o ile nie zostały one wynalezione przez wybitnych uczonych sowieckich) od W. Brytanii. Hostele angielskie znam jedynie z prasy emigracyjnej. Na tyle, co o nich wiem, śmiem przypuszczać, że Australia przyjęła jedynie nazwę i beczki śmiechu, bo to co czytałem o hostelach na Wyspie brzmiało na ogół jeśli nie optymistycznie, to przynajmniej znośnie.

Australijskie hostele są nieznośne. Znam tylko jeden — Villawood — leżący na peryferiach Sydney — ale z opowiadań wiem, że z mało znaczącymi wariantami wszędzie jest to samo. Warunków tych nie można nawet porównać z obozami DP lub z obozami dla nowoprzybyłych "nowych Australijczyków", ponieważ w jednym i drugim mieszkali ludzie niepracujący, podczas gdy w hostelach mieszkają ludzie pracy, zarabiający pieniądze. A w ślad za tym idą pewne wymagania, pewne prawa i aspiracje: prawa do odpowiednich warunków i aspiracje do pewnego stylu życia.

Chociaż... zjawisko to nie jest nagminne. Są tak liczne wyjątki, że wcale nie ma się pewności, czy wyjątki są naprawdę wyjątkami. Są ludzie mieszkający w hostelach rok lub dwa nawet bez konkretnych myśli o wprowadzeniu jakiejś zmiany spowodowanej nakładem własnej inicjatywy. Tu działają dwa czynniki. Pierwszy — to długoletni pobyt w obozach DP, więc przyzwyczajenie. Może brakowałoby im gwaru obozowego, znajomości i przyjaźni zadzierganych przez ściany baraków, przy myciu się we wspólnych umywalniach, podczas wspólnych posiłków przy wspólnych stołach we wspólnych jadalniach; może potrzebna im jest ta koszarowa atmosfera współżycia z ludźmi o takich samych lub podobnych przeżyciach wojennych i powojennych — może, najczęściej podświadomie, obawiają się samotności, obawiają się wejścia samopas, bez żadnej opieki między ludzi najzupełniej im obcych, z którymi ani dosłownie, ani w przenośni nie będą mieli wspólnego języka. Spośród przypadkowych znajomych, którzy dość szybko wynieśli się z hostelu, jedni mieszkali ostatnio w Paryżu, drudzy w Brukseli, trzeci prywatnie we Włoszech, pozostałych dwoje na "prywatkach" w Niemczech. To potwierdzałoby wniosek o obozowych więzach.

Drugi czynnik — służący często za przykrywkę dla wyżej omówionych obaw — jest innej natury. Jest nim dążność do jak najszybszego usamodzielnienia się. Jest spora garść ludzi, którzy wydają pieniądze jedynie na opłacenie hostelu, na przejazd do pracy i czasem na palenie. W tak ograniczonym budżecie pracujące małżeństwo bezdzietne może zaoszczędzić około 10 funtów tygodniowo a przy pracy w nadgodzinach nawet sporo więcej. Po roku mogą myśleć o zbudowaniu własnego domu, bo zaoszczędzone pieniądze wystarczą na kupno ziemi i rozpoczęcie budowy, a potem pomaga długoterminowa pożyczka z banku. Budowa domu nie jest tak poważnym problemem jak w Europie. Nie trzeba inżynierów, ani fachowców — wystarczy kontrola kolejnych stadiów budowy dokonywana periodycznie

przez delegata banku udzielającego pożyczkę. Gdy ktoś nie chce sam parać się budowaniem, kapitał zaoszczędzony w ciągu dwóch lat wystarcza na wpłacenie depozytu za gotowy dom, a późniejsze raty kupujący z łatwością spłaci z własnych zarobków i z komornego za odnajęcie części domu. Okres jednego lub dwóch lat ulega naturalnym wahaniom: in plus — ponieważ śruba oszczędnościowa nie zawsze może być jednakowo mocno dokręcona, in minus — bo wbrew przypuszczeniom nadspodziewanie często irowscy imigranci przyjeżdżają z zapasem gotówki.

Nie warto szczegółowo rozwodzić się nad wszystkimi niedogodnościami życia hostelowego dla tych, którzy w ostatnich sześciu latach otarli się jedynie o życie obozowe, którzy w rytm życia dipisowskiego wskoczyli na parę miesięcy przed wejściem na okręt wiozący ich do Australii. Trudno nawet rozstrzygnąć, jakie niedogodności odgrywają główną rolę przy powzięciu decyzji: musimy za wszelką cenę opuścić hostel! Czy oddalone o dziesiątki metrów i na wpół odkryte (a rano i wieczorem zawsze albo deszcz, albo zimno!) umywalnie i prysznice, w których dostatecznie ciepła woda jest tylko w dzień, kiedy wszyscy są w pracy? Czy sześć aparatów radiowych w każdym baraku otwartych jednocześnie na cały regulator? Czy weekendowe przeciągające się do późna w noc awantury pijaków połączone z wybijaniem szyb? Czy oddalenie od miejsca pracy, a więc kosztta przejazdów, stanie całe kwadrans w przepelnionych wagonach i codzienna strata trzech lub więcej godzin kosztem odpoczynku lub bardziej atrakcyjnych zajęć? Czy przeraźliwe — mimo czterech, pięciu czy nawet sześciu koców — zimno w nocy w pełnej szpar becze śmiechu? Czy wreszcie cały problem wspólnego kotła, ciągle tego samego niejadalnego menu, którego podstawą jest na różne sposoby przyrządzana jakaś barania mieszanina? — Niewątpliwie to wszystko razem w połączeniu z dziesiątkiem innych niewygód i ze wspomnieniem mniej lub więcej wygodnego mieszkania pozostawionego w Europie, które w perspektywie czasu i w zestawieniu ze smutną rzeczywistością wydaje się czymś najdoskonalszym i... lekkomyślnie utracanym.

Pomyślana w oparciu o najlogiczniejsze założenia instytucja hostelowa nie zdała egzaminu. Powstały rezerваты, jakieś eksterytorialne osiedla — Australia zaczyna się poza granicami hostelu. Kontakt ze światem zewnętrznym istnieje jedynie na terenie pracy.

Jeśli ktoś złośliwie chciałby wynaleźć jakiś radykalny sposób na uniemożliwienie imigrantom nauczenia się po angielsku, wymyśliłby hostel. W hostelu doskonaliłem się we francuskim, poduczyłem się rosyjskiego, dukałem po niemiecku, ale nie miałem okazji do poczynienia postępów w angielskim. Hostel zamyka drogę do kontaktu z Australijczykami, opóźnia wejście nowych Australijczyków w życie australijskie. Australijczycy patrzą na hostele trochę jak na ogrody zoologiczne, trochę jak na panoptica; w ich dość prymitywnych umysłach zamiast właściwego obrazu kształtuje się jakiś bohomasz, mający być

symbolem pojęcia: "new Australian". Spotykają ich w pociągach i tramwajach ("zabierają nam miejsca — nam, starym Australijczykom"), w sklepach ("wykupują wszystko, dlatego jest brak towarów i zwyżkują ceny"). Te formy zapoznania się wraz z sensacyjnymi reportażami w prasie codziennej na temat prowadzenia się nowych przybyszów, rozdmuchiwaniami i uogólnianiami popełnianych przez nich przestępstw (tytuły tych reportaży są zawsze jednobrzmiące: "New Australian... zrobił to i to") — to wszystko stwarza złowrogą dystans pomiędzy obiema grupami, utrudnia asymilację w dodatnim tego słowa znaczeniu i powoduje tak u jednych, jak i u drugich urazy i kompleksy. Narasta wał wrogości, który trudno będzie przekroczyć — trzeba go będzie stopniowo burzyć, na co zużyje się nie mniej czasu niż na jego niepotrzebne budowanie. Wał ten, to ogłoszenia o wolnych pokojach czy mieszkaniach z dodatkiem "nie dla nowych Australijczyków"; to odmawianie przyjmowania w niektórych hotelach ("only for British born"); to listy do gazet, w których oskarża się imigrantów o niestworzone rzeczy; to pretencje, że nowoprzybyli ośmielają się szukać lepszej pracy; to głosy, że należałoby przedłużyć im kontrakty co najmniej o jeden rok; to kwestionowanie prawa — wypadki raczej rzadkie — do overtime'ów i bonusów; to oskarżanie o czarnogiel-dziarstwo i przemytnictwo; to wreszcie wypadki napadów na nowych Australijczyków, zabójstw i gwałtów.

Za bramą hostelu jest Australia

Z mrocznego kąta, zza stosu belek wynurzył się człowiek. Na mój widok przymrużył oczy — prawie nieco szczelniej — wykrzywił usta w grymas jaki stroi siedmioletni chłopak przez okno do kolegi wiedząc, że szyba chroni go od guza czy szturchańca, jakiego by za taką minę oberwał, — wierzgnął głową obracając ją w płaszczyźnie pionowej o 90 stopni i z powrotem — i poszedł dalej.

To Australijczyk, mój towarzysz pracy. Przywitał mnie, jak potrafił najserdeczniej i najzyczliwiej. Co dziesiąty z nich wita się inaczej, ale dziewięciu na dziesięciu czyni to w identyczny sposób. Próbowałem tego kiedyś przed lustrem, ale nie wychodził. Witam ich uśmiechem, nie mają o to do mnie pretensji i wszystko jest all right.

Ten sposób witania się to jeden z licznych przykładów tutejszego konformizmu. Tubylcy różnią się rysami twarzy, kolorem włosów, wzrostem, ale każdy z nich, gdy chce zapalić papierosa, wyciąga z kapciucha bibułkę, wkłada ją między wargi, wyjmując szczyptę tytoniu, rozwałkowuje ją dłońmi, kładzie bibułkę na tytoń leżący na lewej dłoni, nakrywa prawą, odwraca tak, że prawa dłoń znajduje się pod spodem a tytoń na bibułce — wreszcie skręca papierosa. Rano w pociągu czytają "Daily Telegraph": najpierw olbrzymi zajmujący połowę pierwszej strony tytuł sensacji dnia (sensacją tą może być równie dobrze konfe-

rencia w San Francisco, jak że "mąż zabił żonę"), potem ostatnią stroną z ostatnimi wiadomościami sportowymi, następnie znowu od początku pobieżnie przerzucając strony i zatrzymując się wreszcie na "komiksach", których popularne gazety — a takich jest 75% — dają całą stronę. W ten sposób czytają "Telegraph" wszyscy, nawet kobiety i starcy, które to kategorie czytelników w Europie nie wykazują żadnego zainteresowania np. wiadomościami sportowymi.

Skąd w pociągu starszowie o tak wczesnej godzinie? Ależ tak! W tartaku, w którym pracuję, jest co najmniej trzech siedemdziesięciokilkolatków. Mimo że zewnętrznie Australijczycy starzeją się wcześniej w porównaniu z Europejczykami, siły fizyczne zachowują niewspółmiernie dłużej. Stary Dick pracujący tutaj ponad 40 lat zachował figurę i ruchy czterdziolatka. Boją się przejścia na państwową emeryturę, bo "pensja" jest stosunkowo skromna. A zresztą nie wyobrażają sobie życia bez pracy! Harry, 64 lata, jest właścicielem sporego kawałka bushu i lasu w Queensland i dużego domu w Sydney, w którym mieszka sam — stary kawaler bez rodziny — pracuje jako "general worker" otrzymując najniższą stawkę wynagrodzenia. Ubiiera się w jakieś łachmany — europejski żebrak patrzyłby na niego z odcieniem wyższości...

Chcąc zrozumieć i poznać Australijczyków, nie można ani na chwilę zapominać, że w kraju tym żyją dziobaki, kangury i kolabery — okazy fauny niespotykanej w żadnej innej krainie naszego globu. Australia, to najodleglejsze peryferie świata cywilizowanego zarówno w sensie geograficznym jak historycznym. To peryferyjne położenie sprawia, że z reguły nie opuszczają swego kraju. Nie mają żyłki awanturniczej i nie lubią zmieniać miejsca pobytu. W rozmowach z towarzyszami pracy przeprowadziłem ankietę. Na ośmiu dwóch było w sąsiednim Queensland, jeden był trzy razy w Melbourne (ostatni raz przed trzydziestu laty), pozostali opuszczali od czasu do czasu Sydney z okazji jakichś dłuższych holiday'ów, ale nigdy nie byli poza granicami Nowej Południowej Walli. Żyją własnym codziennym życiem i odnoszą się wrogo do wszystkich czynników, które w jakimkolwiek stopniu ten ich poczytywa żywot zakłócają. To sprawia, że ich horyzont myślowy i wymogi życiowe są niezmiernie skromne. W pierwszych miesiącach pobytu poznałem George Redcliffa, właściciela farmy i hodowcę baranów. Mieszka w na wpół zrujnowanym cottage'u zbudowanym z kamienia, blachy falistej i tzw. fibry. Jest samotny, ma sześćdziesiąt lat i tyleż tysięcy w banku. Wraz z dwoma "nowymi Australijczkami" wykonuje wszystkie roboty z gotowaniem posiłków włącznie. Podobnie jak Harry ubiera się w jakieś stare łachy. Raz w tygodniu w sobotę jadą przedpotopowym samochodem do odległego o kilkanaście mil miasteczka na piwo i dla poczynienia niezbędnych cotygodniowych zakupów. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że użytkując posiadany kapitał, którego nie ma komu na wypadek śmierci zapisać, mógłby ostatnie lata spędzić o wiele przyjem-

niej. Ale właśnie peryferyjność Australii sprawia, że w ogóle subiektywne pojęcie "przyjemniej" różni się zasadniczo od zrozumiałych a co najmniej bliższych naszym sformułowaniom definicji. Na przykładzie Harry'ego, George'a i jeżdżących o świecie do pracy siedemdziesięciolatków można wnosić, że dla Australijczyków życie bez zarabiania pieniędzy i bez pęcznienia konta w banku straciłoby swój istotny urok.

No, i bez baru naturalnie! Ta jedna z najbrzydlivszych tradycji brytyjskich — otwarcie barów w pewnych tylko godzinach — jest przyczyną odbywających się publicznie orgij, zwłaszcza w piątki od 5 do 6 i w soboty w południe. W myśl przepisów wszystkie szyby w barach są matowe i nieprzezroczyste — mają spokojnych obywateli i małoletnich izolować od gorszącego barowego widowiska. Ale w dniu upalne klientela barowa wylega na ulicę. Gwar, pijackie śpiewy i pokrzyki słychać już z daleka. Mężczyźni ze szklanicami w ręku okupują cały chodnik. Nadzwyczaj przykre wrażenie sprawia widok pijanych, przeważnie starszych kobiet. Byłem raz świadkiem odbywającej się przed barem sceny, gdy kompletnie pijana kobieta rozgrywała mecz bokserski z urojonym przeciwnikiem, wywracając się co kilkanaście sekund, wywołując salwy śmiechu i okrzyków zachęty do dalszych wyczynów. Widzów około dwustu, z tego połowa pijących, reszta złożona z przypadkowych przechodniów, wyrostków i dzieci. Wszyscy bawili się doskonale, na nielicznych jedynie twarzach malował się wyraz zażenowania i wstydu.

Konto bankowe Australijczyka pęcznieje jednak w innym tempie niż np. w warunkach amerykańskich. Wspomniałem wyżej, że Australijczyk nie ma żyłki awanturniczej, przywiązuje się do miejsca pracy i niechętnie zmienia towarzyszące mu od lat warunki życiowe. Majątki ich są uciulane, są wynikiem wieloletniego oszczędzania a nie jakichś kalkulacji, spekulacji czy ryzyka. Są przyzwyczajeni do pracy i życia z pracą, ale jednocześnie dalecy są od przepracowywania się. Lubią pracować w lepszej płatnych nadgodzinach, ale, Boże broń, nie zrobić więcej w ciągu jednej godziny. Praca akordowa nie zyskała popularności w przeciwieństwie do takiej np. Belgii, gdzie robotnik czy rzemieślnik pracujący wolno byłby praktycznie skazany jeżeli nie na śmierć głodową to w każdym razie na wegetację. W Australii nawet klepski niewykwalifikowany robotnik bez trudności zarabia na przyzwoite utrzymanie a nawet — przy szeroko rozpowszechnionym systemie ratalnym — na różnego rodzaju dyktowane potrzebą czy upodobaniami inwestycje.

Stale wypełniona po brzegi sala koncertowa sydneyjskiego Town Hall'u nie jest właściwym sprawdzianem kulturalnych zainteresowań tego półtoramilionowego miasta. Koncerty, nieliczne teatry — to rozrywka dla górnych 20.000. Reszcie wystarczy bar, cricket, wyścigi i radio. I to jedynie w większych miastach — stolicach poszczególnych stanów — bo na prowincji jest tylko reszta. Sydney posiada kilka kinoteatrów zeroekranowych

i chyba około setki lub więcej kin podmiejskich. Te ostatnie dają z reguły po dwa filmy, z których co najmniej jeden jest kowbojski lub kryminalny. W piątek wieczorem i w sobotę przed wszystkimi kinami kilkudziesięciometrowe nieraz ogonki. W kinoteatrach city idą zupełnie dobre filmy — 90% amerykańskich, trochę angielskich, od czasu do czasu francuski, b. rzadko włoski. Publiczność sal podmiejskich przypomina zresztą do zdziwienia widzów z brukselskich cinémas de quartier: wybuchy śmiechu w najbardziej dramatycznych momentach akcji, gadatliwa dzieciarnia w pierwszych rzędach, staruszki, matki z dziećmi, lody, ciągnęły szelest cynfolii i celofanowych torebek z cukierkami, podłoga zasłana śmieciami.

Choć kilka słów o radio i programach radiowych. Australijska sieć radiowa jest bardzo rozgałęziona: około 170 stacji, z tego trzy czwarte regionalnych, transmitujących programy innych rozgłośni. Dla przykładu: w Nowej Południowej Walli na 57 stacji dwa węzły (ogółem 11 stacji) są własnością rządu stanowego, a sześć (46 stacji) jest własnością koncernów prywatnych, których programy — poza językiem — niczym nie różnią się od programów Luksemburga lub Monte Carlo.

Ograniczony zasięg stacji australijskich nie daje słuchaczowi takiego wyboru, jak to ma miejsce w Europie. Posiadacz średniej jakości odbiornika mógł bez trudności w Brukseli odbierać programy francuskie, angielskie, holenderskie lub niemieckie, podczas gdy właściciel dobrego aparatu w Sydney skazany jest na odbiór ośmiu programów Nowej Południowej Walli i na tym właściwie koniec. Dla kogoś, kto nie chce słuchać jazz'u, reklam oraz popularnych i ulubionych przez słuchaczy australijskich "shows" (mieszanka jazz'u, lekkich piosenek i gadania, gadania, gadania...) i tasiecowych "serials" sprawa przedstawia się kiepsko, ale nie beznadziejnie. Trzeba przestudiować, przesłuchać, wynotować cechy charakterystyczne poszczególnych programów, przyzwyczać się do najróżnorodniejszych niespodzianek, ustalić kiedy i jakich stacji słuchać. W niedzielę — w tę beznadziejną australijską "angielską" niedzielę — jeżeli pozostaje się w domu, z tych ośmiu sydneyjskich programów wybrać można około 15 godzin muzyki "klasycznej". W tutejszym języku "classic music" obejmuje wszystko to, co nie jest jazz'em i lekką piosenką, a więc muzykę symfoniczną i kameralną, operę i operetkę. Niespodzianki są — i to różnego rodzaju. Często wydaje się, że programy drukowane robione są "na wynos", bo zbyt często nie pokrywają się z rzeczywistością. Czasami bezskutecznie oczekując jakiegoś "world-famous tenor" słucha się reklamy lodówek przeplatanej oklepanymi i modnymi piosenkami w rodzaju "My heart cries for you", od których uszy puchną. Bywają niespodzianki bardziej oryginalne, zabawne raczej niż przykre. Np. zgodnie z programem nadawano siołdą Beethovena, którą speaker uporczywie i wielokrotnie nazywał "Pastoralną"... Każdą część symfonii zapowiadano oddzielnie na tle jakiejś muzyki ani z Beethovenem, ani z symfoniczną nie ma-

jącej nic wspólnego. Omyłki speakerów zapowiadających inny od nadawanego utwór są dość częste i z zasady nigdy nie prostowane.

Prostowanie omyłek czy przyznawanie się do popełnionych błędów nie jest zresztą w modzie w tym kraju. W pierwszych tygodniach mego pobytu w Sydney zdarzyło mi się parokrotnie prosić konduktora tramwaju czy autobusu o poinformowanie, kiedy mam wysiąść. Przypominam sobie, że w analogicznych wypadkach w Warszawie pół tramwaju a w Brukseli kilka co najmniej najbliższych osób czuwało wraz z konduktorem, aby nieznający dzielnicę pasażer nie przegapił właściwego przystanku. W Sydney kondyktor kiwa głową, czasem powie "all right" — i na tym koniec. Na ponowne zapytanie z niewinną miną objaśnienia — czasem nawet uprzejmie — że właśnie należało wysiąść o tyle i tyle przystanków wcześniej.

"I am Australian born!"

Przedsiębiorca wszystkie należne środki ostrożności chciałbym pokusić się o naszkicowanie wewnętrznej sylwetki przeciętnego mieszkańca kraju kangurów. Daleko posunięta ostrożność jest konieczna, bo ani roczny pobyt w tym kraju nie upoważnia do wyciągania wniosków o charakterze generalnym, ani też przybyły na kontrakt b. "dipista" (tak się mówiło w Niemczech) a świeżo upieczony nowy Australijczyk nie ma dostatecznie szerokiego pola obserwacji, ani wreszcie nie potrafił samodzielnie stwierdzić, czy przy wydawaniu sądów jest dostatecznie obiektywny.

Że Australijczycy są bardzo dumni z samych siebie, że uważają się za coś w rodzaju "Herrenvolku", miałem okazję przekonać się w nader przykrych okolicznościach. Właśnie w prasie wybuchła nowa nagonka nie tylko przeciwko nowym przybyszom, ile przeciw instytucjom australijskim przeprowadzającym w Europie selekcję wśród emigrantów do Australii. Rozgorzała dyskusja na tle ogłoszonych statystyk dotyczących przestępczości wśród imigrantów. Niemordowany obrońca nowoprzybyłych, minister imigracji Holt, argumentował, że procent przestępczości wśród imigrantów jest niższy niż u "starych Australijczyków". Najwyższy prokurator w Nowej Południowej Walli oświadczył, że jest to nieprawda ilustrując swe twierdzenie faktem, iż na przestrzeni jednego roku zanotowano w tym stanie około 370 różnych przestępstw popełnionych przez imigrantów. Jak deus ex machina ukazały się właśnie w prasie sprawozdania z procesów "bandy kieszonkowców" (1 Grek, 2 Rumunów) oraz o skazaniu na karę śmierci Polaka, Kazimierza Piekutowskiego, za zabójstwo innego Polaka. Psychoza wrogości zrobiła swoje: wśród skądinąd sympatycznych towarzyszy pracy czy w pociągu z polską gazetą lub książką w ręku czułem się bardzo nieswojo. Zdawało mi się, że towarzysze pracy unikają rozmowy ze mną, a najbliżsi paseżerowie spoglądają na mnie wrogo lub co najmniej podejrzliwie.

Okazało się, że moja nieswojość była uzasadniona. W tym właśnie okresie wracałem późnym wieczorem z żoną z kina. W wagonie kolejki pustawo. Na chwilę przed odejściem pociągu wszedł jakiś człowiek wyglądający na robotnika, najprawdopodobniej pod gazem i gromkim głosem rzucił pod adresem nielicznych pasażerów pytanie, czy pociąg ten zatrzymuje się na takiej i takiej stacji. Ponieważ wstawiony pasażer zatrzymał się najbliżej nas i właśnie we mnie utkwili pytający wzrok, więc uznałem za stosowne udzielić mu odpowiedzi: że nie wiem: Akcent czy konstrukcja odpowiedzi zdradziła, że jestem nowym Australijczykiem. Twarz pytającego zmieniła się jak portret Doriany Graya, usiadł niedaleko nas i wybuchnął:

— News Australians!!! Ach, to wy przekleci mordercy! Przyjechaliście tu, żeby nas zniszczyć i wymordować?! I am Australian born. Nie ma dla was miejsca w moim kraju Wynoście się tam, skądżeście przyjechali, wy przekleci faszyci i złodzieje! I am Australian born!!!!...

Tyrada w podobnym stylu i formie trwała chyba około minuty. Sytuacja wybitnie nieprzyjemna i nie wiadomo, jaki przybierze obrót, zważywszy że "Australian born" zapalał się coraz bardziej, krzychał coraz niewyraźniej i głośniej, zrywał się, znowu siadał. Żona półgłosem doradzała mi, żeby przejść do innego wagonu, ale uznałem to za niewłaściwe posunięcie. Przygotowując się na najgorsze oceniałem moje z lekka napęczniałe od ciężkiej fizycznej pracy bicepsy i siły przeciwnika. Ale taki awanturniczy typ może mieć np. nóż!...

W niespodziewany sukurs przyszedł mi jeden z pasażerów siedzących trochę dalej w towarzystwie trzech młodych kobiet. Wdał się w utarczkę słowną z awanturnikiem, który całe żądło swej złości skierował przeciwko nowemu przeciwnikowi. Towarzyski zmusił mego sprzymierzeńca do przejścia do innego wagonu, my uczyniliśmy to samo. Na tym awantura się skończyła.

Nie mam zamiaru rozpisywać się nad naszym samopoczuciem po tym wypadku — to inny temat. Po paru tygodniach w pamięci pozostał mi nie tyle niepoczytalny wybrak awanturnika, ile tło wydarzenia i "I am Australian born!". Uważanie wszystkiego co australijskie za najlepsze jest u tych ludzi powszechne, podobnie jak rzeczywista czy urojona nienawiść do obcych. Uczucie to nie omija i Brytyjczyków: Anglicy są powszechnie nie lubiani. Gdy pytałem dlaczego, słyszałem jednobrzmiącą odpowiedź, że Anglia ich wyzyskuje i Australię traktuje jak swoją kolonię. To zresztą też oddzielny temat.

Na australijskiej peryferii zetknęły się wpływy dwóch kultur, dwóch cywilizacji, dwóch stylów życia anglosaskich: angielskiego i amerykańskiego. Wpływy angielskie są wprawdzie bardziej bezpośrednio, pozornie bardziej zakorzenione, ale jednocześnie bardziej początkowe. Przejawiają się w angielskiej niedzielni, w bożonarodzeniowych puddingach, w ksenofobii, w zasadzie "my home is my castle", w criccecie. Młode pokolenie amerykanizuje się jednak w szybkim tempie. Gdyby nie brak

rozmachu w życiu gospodarczym, gdyby nie ospałość i niechęć do nadmiernego wysiłku, można by porównać Australię do Stanów Zjednoczonych sprzed pół wieku. Ale energię, przedsiębiorczość, wszelkiego rodzaju ruchliwość gospodarczą reprezentują raczej nowi ludzie, przybyli tutaj w ciągu ostatnich kilku dziesiątków lat, a przede wszystkim Włosi, którzy z reguły zaczynają od milk-barów i sklepów owocowo-jarzynowych a kończą na przemyśle, robiąc niejednokrotnie kariery zakrojone na skalę amerykańską.

Amerykańskość młodzieży — to kompleks swinga i płytkość intelektualna spowodowana brakiem bazy humanistycznej w tujejszym systemie szkolnictwa. Wąskość zainteresowań jest nagminna. Np. Europa jest czymś tak dalekim, że z trudem mieści się w granicach wyobraźni tubylców. Dziewczyna ze średnim wykształceniem, marząca o wyjeździe na "big holiday" do Europy, żeby zobaczyć Paryż (o którym czytała w jednym z kilkunastu ilustrowanych tygodników i miesięczników stanowiących obok "komiksów" główną lekturę dorastającej młodzieży i dorosłych) z uporem plasuje Wiedeń we Francji. Inteligentna Szkotka ("dopiero" 30 lat w Australii, ciągle czuje się obco, uwielbia teatr i podróże) zapytała kiedyś żonę, czy to prawda, że Niemcy pakowali ludzi do komór gazowych. Fragmentaryczność i przypadkowość wiedzy ogólnej ilustruje przykład mego przyjaciela Joe, którego zaliczyć należy do tutejszej średniej inteligencji. W "Boxing Day" leżeliśmy na piasku jednej z kilkunastu pięknych plaży sydneyjskich i — jak się to często zdarza w rozmowie z Polakiem — zgadało się o Polsce. Więc czy mamy morze? Naturalnie, przecież Polska leży nad Bałtykiem. Joe zdziwił się niepomiernie, bo zdawało mu się, że... nad Bałtykiem leży Finlandia. Myśląc kategoriami przestrzeni australijskich trudno jest zapewne pomieścić nad małym Bałtykiem aż kilku państw. Gaffy popełniane w dziedzinie muzycznej przez speakerów rozgłośni australijskich dopełniają ten bardzo niekompletny obraz.

O powierczowości w podejściu do wszelkiego rodzaju "wiedzy" świadczą przeliczne instytuty korespondencyjne, za pośrednictwem których nauczyć się można nie tylko "artystycznej" gry na gitarze i akordeonie, hypnotyzmu i jiu-jitsu, ale i gry na fortepianie, rysunku technicznego i artystycznego a nawet pisania "short stories", słuchowisk radiowych i dziennikarstwa!

Ale te wszystkie dziwy i dziwactwa zaskakują jedynie Europejczyka. Australijczyk jest dumny ze swej ojczyzny i nie dysponując żadną skalą porównawczą tego wszystkiego nie dostrzega. To, co australijskie, jest najlepsze. Typowym przykładem jest wiedza medyczna. Każdy lekarz australijski nawet dwudziestokilkoletni uważa się za asa w swej dziedzinie. Każdy środek, każda kuracja przepisana przez innego lekarza jest przez niego potępiona a wiadomość, że pacjent był poprzednio u lekarza europejskiego, doprowadza go niejednokrotnie do ata-

ku szafu. Europejski profesor, sława światowa, którego podręczniki używane są na uniwersytecie melbournieńskim, nie ma prawa praktyki w Australii. Liczni lekarze europejscy wykonują nielegalnie swój zawód robiąc niejednokrotnie fortuny — ale nie mają prawa wystawiania recepty i podpisywania zaświadczeń o chorobie. Lekarze zaś australijscy nie mają u Europejczyków zaufania. Nie wdają się w rozmowę, nie udzielają żadnych informacji. Pacjent wychodząc z gabinetu lekarskiego nie wie co mu jest, otrzymuje w aptece lekarstwo bez nazwy, kiwa głową, wysupłuje z kieszeni gwinę i idzie do lekarza europejskiego, który go przyzwolicie zbada i zaspokoi usprawiedliwioną i najzupełniej zrozumiałą ciekawość.

Ale wobec Australijczyka ani nie wypada, ani nie warto ryzykować niepoehlebnych opinii o jego kraju. Każdy Australijczyk, z którym się obcuje, wcześniej czy później postawi sakramentalne pytanie: "How do you like Australia?". Porządnie napociłem się przy pierwszych odpowiedziach, ale teraz mam już gotową i — co ważniejsze — nawet szczerą. Że Australia przeżywa ciężki okres spowodowany kryzysem gospodarczym; że jednak w Europie trudno było w ogóle znaleźć pracę a jeszcze trudniej utrzymać się o otrzymywanego za nią wynagrodzenia, podczas gdy tutaj mam pracę, która mi zapewnia utrzymanie. Odpowiedź ta zadawała wszystkich moich rozmówców.

Jimmy, młody, inteligentny i dowcipny Anglik, który jest tutaj dopiero pół roku, gdy tubylcy pytają go, jak mu się podoba Australia, niezmiennie odpowiada:

— Sydney Harbour Bridge is the most beautiful thing which I ever saw in my life!...*

Australijczyk najpierw nie wie o co chodzi, potem kiwa głową i zmienia temat rozmowy.

Niebezpieczeństwo pochopnych sądów

Mając przed oczami poprzednio naszkicowany obraz hostelu zrozumiałe jest, że poważny odsetek jego mieszkańców już po paru tygodniach szuka "accomodation" poza hostelem. Najpierw bezskutecznie, bo w granicach swych możliwości budżetowych, potem dochodzi do wniosku, że hostel trzeba opuścić "za wszelką cenę". Słabo rozgałęzione stosunki osobiste zmuszają do korzystania z pomocy agencji mieszkaniowych, których w takim Sydney jest bez liku.

W myśl zasady "swój do swego po swoje" udaliśmy się do agencji "DP", gdzie — w myśl tego samego założenia — skierowano nas do rodziny Łotewskiej, która po dwuletnim oszczędzaniu (na cztery osoby, trzy pracujące), kupiła sobie wcale ładny dom. Pokoik nasz bardzo skromny, niewiele większy od hostelowego, wydał nam się przedśionkiem nieba. Komorne wcale nie wygórowane — dwa i pół funta tygodniowo — używalność kuch-

* Most w Sydney jest najwspanialszą rzeczą jaką widziałem w życiu...

ni, łazienki itp. To "itp" było najgorsze i nastęrczało wiele kłopotów, bo posesja nie była jeszcze włączona do sieci kanalizacyjnej.

Było i ciasno, i niewygodnie — ale byliśmy szczęśliwi, bo to już nie hostel (własna kuchnia! — po raz pierwszy od opuszczenia Europy!) i nie u Australijczyków. Baliśmy się jak ognia zamieszkania u tych ostatnich, bo naopowiadano nam o nich jako o gospodarzach strasznych historii: to nie można głośno rozmawiać, bo szyby obluźwiają się w oknach, a to tylko tyle i tyle razy mogą nas odwiedzać znajomi, a to, a tamto. Znaleźć mieszkanie u Europejczyka, to duża szansa. Pan Z. wspaniałomyślnie ofiarował nam dwie grządki w swoim ogródku, abyśmy posadzili sobie trochę jarzyn, bo to w Australii bardzo drogie. Nasz pokój był wyłączony z całego mieszkania, miał osobne niekrepujące wejście, dom i okolica cicha i spokojna. W ogóle wszystko O. K.

Właściwie nie wiem, jakim cudem wytrzymał tam aż trzy miesiące! Sielanka skończyła się bardzo prędko. Okazało się, że zużywamy za dużo wody, za dużo gazu i za długo palimy światło. W ogóle, co to za zwyczaj, żeby codziennie brać prysznic i kąpać się parę razy w tygodniu! On, pan Z., kąpie się jak jest brudny i tak robią wszyscy prócz nas. Kiedyś przepaliły się korki w innej części mieszkania, ale to dlatego, że u nas lampa i radio włączone są do jednego kontaktu. Że nie zamykamy furtki, która z reguły przez cały dzień była otwarta. Że jadamy za obfite posiłki. Że za wcześnie wstajemy, za późno chodzimy spać. Że za dużo gości (dwa razy na miesiąc). Pan Z. gruntownie dwa razy dziennie polewał cały ogród, ale wysokie rachunki za wodę były z naszej winy (mimo, że z tych dwóch grządek w porę zrezygnowaliśmy). Można wyliczać w nieskończoność.

Omiijając z dala agencję "DP" rozpoczęliśmy na nowo poszukiwania. Ale określana przez nas wysokość możliwego do płacenia komornego wywoływała salwy śmiechu. W sprawie wynajmu mieszkań obowiązuje w Australii ustawa godząca — przypadkiem zapewne — w nowych Australijczyków. Oficjalne stawki komornego są tak niskie, że odnajmowanie pokoju lub części mieszkania w ogóle właścicielowi się nie opłaca. Znam wypadek, że właściciel wynajął przed laty 6-pokojowy dom samotnej parze australijskiej; obecnie ani nie ma prawa ich usunąć, ani podwyższyć komornego (ta sama stawka komornego obowiązuje od wielu lat mimo poważnego spadku siły nabywczej funta australijskiego), ani też oni nie zgadzają się, aby poza nimi zamieszkał w tym domu ktoś inny. Podobnych przykładów znam wiele. Skutek jest taki, że mimo katastrofalnego braku mieszkań podaż ich jest stacsunkowo znikoma. A jednocześnie wynaleziono sposoby, że poszukujący mieszkania — w 95% imigrant — musi jednak płacić paskarskie ceny: albo za "klucz" (odstepne) od 50 do paruset funtów, albo wynajmując tzw. "B. a. B." (bed and breakfast) tj. pokój ze śniadaniem i dostarczaną

przez właściciela bielizną pościelową. Taki pokój kosztuje około 5-6 funtów tygodniowo (około połowy zarobku dorosłego mężczyzny), choćby prześcieradła były zmieniane raz na miesiąc a na "śniadanie" podawano filiżankę herbaty z biskwitem. Ten proceder jest b. rozpowszechniony i znalezienie takiego pokoju nie nastęrcza trudności. Nie tylko jednak ze względu na wygodne komorne nie znajduje on wielu amatorów. Przy wynajmowaniu pokoju "B. a. B." obowiązuje jednotygodniowe wypowiedzenie i wskutek jakiejś niespodziewanej drobnej nawet scysji można nagle znaleźć się na bruku. Najszczęśliwszym rozwiązaniem jest znalezienie pokoju z używalnością kuchni za wyższą od oficjalnej (ale płaconą nieoficjalnie) cenę, lecz bez śniadań i prześcieradeł dostarczanych przez gospodarza.

Takie właśnie mieszkanie znaleźliśmy — tym razem u "Australian born"! Stało się to punktem zwrotnym w naszym życiu, wprowadziło nowe kryteria do sądów o Australijczykach, a nawet przyczyniło się do zmiany naszego stosunku do naszej "nowej ojczyzny" w ogóle.

Opinia ogółu imigrantów o Australii i Australijczykach nie jest pochlebna. Towarzysze hostelowi byli najzupełniej zgodni, że Australijczycy to "dzikusy", "wredny" naród samolubów itd. itp. Już to do pochopnych uogólnień i skrajnych sądów dipisi i ex-dipisi posiadają wyjątkowe skłonności i talent! Na podstawie skromnych wyników obserwacji około stu Australijczyków, których zdążyłem poznać przede wszystkim na terenie pracy a poza tym w stosunkach towarzyskich, wyrobiłem sobie opinię, że są to w przygniatającej większości ludzie prostolinijni, słabo orientujący się w zagadnieniach wykraczających poza sferę problemów życia codziennego, nieufni w stosunku do cudzoziemców, łatwo idący na lep wszelkiej propagandy. Ale w wielu wypadkach okazało się, że wystarczy zdobyć ich zaufanie, by przekonać się, że są to ludzie dobrzy i uczynni. Zdobyć tego zaufania, jak tego na podstawie wyżej wymienionych cech należało się spodziewać, nie należy do rzeczy łatwych, zwłaszcza, że mimo dość dokładnej selekcji przeprowadzanej w Niemczech przez IRO i czynniki australijskie przedostało się tutaj sporo elementów awanturniczych i przestępczych urabiających — jak to zwykle bywa — opinię ogółowi imigrantów. Trzeba obalać mur wrodzonych i zasugerowanych przesądów, zaufanie zdobywać zaufaniem, podejrzliwość usuwać bezpośredniością i szczerością. Na terenie pracy uśmiechem zdobędzie się kilku przyjaciół w ciągu tygodnia, a patrzeniem spode łba wykopie się mur nie do przebycia. Sprawa pozornie prosta a przecież w wielu wypadkach trudna do przeprowadzenia, bo kompleksom Australijczyków wychodzą naprzeciw urazy dipisów. Ale rzecz warta zachodu. Przykładów uczynności mnóstwo — przytoczę tylko kilka osobiście mi znanych i stwierdzonych. Panu W. przyjaciel Australijczyk, kolega pracy, bezinteresownie i na dogodnych warunkach pożycza 1.000 funtów potrzebnych na depozyt przy zakupie domu. Panu K. przyjaciel-Australijczyk sprzedaje plac

pod budowę za 60% jego istotnej wartości; proponuje mu poza tym odsprzedaż domu na tych samych warunkach i na spłaty. Panu S. jego boss wyjeżdżając na dwutygodniowy holiday odstępkuje na ten okres bezpłatnie cały swój dom z ogrodem wiedząc, że państwo S. mieszkają wraz z dwuletnim synkiem w pokoju bez okna, a mały Tomek bawi się na miniaturowym i brudnym podwórku najbrzydszej dzielnicy Sydney. Mrs. M. osiemdziesięcioletnia staruszka, u której wynajęliśmy pokój z używalnością kuchni, oddaje nam do użytku cały dom i ogród (dla mnie znajduje się drugi pokój ze stołem i szafą na książki po raz pierwszy od czasów europejskich wyciągnięte ze skrzyni); gotuje dla nas kolację, gdy wie, że w danym dniu żona wraca później. Jej córka z mężem zabierają nas w weekendy samochodem na wycieczki, pokazując nam coraz to piękniejsze zatoki sydneyjskie i okolice Sydney. Przypominam sobie coraz to nowe przykłady, ale i tych wystarczy.

Australijski kryzys ekonomiczny i wzajemne uprzedzenia tubylców i imigrantów sprawiają, że nastroje wśród nowoprzybyłych nie należą do najlepszych. Sytuacja zmienia się z tygodnia na tydzień i warunki, jakie tu zastali są o wiele gorsze od tych, jakie panowały tutaj w chwili powzięcia decyzji co do emigracji do Australii. Jedni marzą o powrocie do Europy zapominając, że nie ma kraju w Europie, który zapewniłby im lepszą egzystencję od tej jaką mają tutaj. Inni chcą emigrować gdzie indziej... Większość jednak ocenia sytuację na trzeźwo. Wieloletnia tułaczka wybiła na masach dipisowskich specjalne piętno sprowadzające się do przekonania, że w wielu krajach jest lepiej niż w tym, w którym się aktualnie przebywa a na pewno jest gdzieś jakaś kraina — ziemia obiecana — w której znaleźć można pełnię dobrobytu a nawet szczęścia... Do warunków, w jakich się przebywa, przystawia się miarkę zbudowaną na tym iluzorycznym przekonaniu i to staje się źródłem niezadowolenia, narzekań i pesymizmu. Im wcześniej zdać sobie z tego sprawę, tym prędzej i radykalniej można sobie zaoszczędzić zbędnych zgoła rozczarowań i zdobyć skromne, ale w naszych uchodźczych warunkach jedyne maksimum zadowolenia.

Roman GRONOWSKI

Pięciolecie «beczek»

Mój reportaż pt. "Szkoły i Dzieci" (Nr 50 "Kultury") wywołał szereg krytyk oraz głosów o charakterze dyskusyjnym.

Niektórzy czytelnicy uznali za niewłaściwe pisanie o czasie niechętnym stosunku młodzieży polskiej do Anglików i to właśnie w okresie zmiany rządu i w chwili, w której się ważyły losy polskiego szkolnictwa. Nie chciałam przemilczać tego faktu, dosyć powszechnego również wśród starszego pokolenia, w nadziei, że uświadomienie stanu rzeczy może przyczynić się do obustronnej zmiany tego stosunku. Innych krytyków dotknęło wysunięcie, jako słuszny, projektu Auberona Herberta o podwójnym obywatelstwie, którym obdarzona młodzież kończąca studia w Anglii mogłaby, moim zdaniem, być zrównana i zbratana z młodzieżą angielską, nie tracąc przy tym obywatelstwa polskiego.

Zwrócono mi też uwagę, że Modern School to w technicznym przekładzie nie szkoła powszechna a gimnazjum wydziałowe, co niniejszym prostuję.

Głosy dotyczące samego zagadnienia szkół polsko-angielskich na Wyspie czynią prasie emigracyjnej zarzut braku zainteresowania tak kapitalnym problemem.

"Kultura, piszą mi, w piątym roku swego istnienia, zdobyła się po raz pierwszy na reportaż o szkolnictwie, który ani nie ogarnia całości prac Komitetu, ani nie wnika w ich istotę. Autorka tego jedynego w Kulturze artykułu na ten temat nie dojechała nawet do Sierocińca, gdzie żyją dzieci 2-go Korpusu, pod wyłączną opieką tego Komitetu, dzieci nie mające nikogo na świecie.

"Pobieżne wizyty w kilku szkołach to mało na poznanie ogromu zagadnień i punktów neuralgicznych, wymagających gruntownego przemyślenia..."

Potwierdzeniem tego zarzutu zdaje się być zdanie innego czytelnika, skądinąd bardzo uspołecznionego, który dowodzi, że dzieci kształcone w szkołach Committee for the Education of Poles są stracone dla Polski i powinny interesować już tylko Anglików...

Ale dlaczego w takim razie interesujemy się Polonią Amerykańską? Dlaczego planujemy środki ochrony przed zupełnym wynarodowieniem Polonii francuskiej? Skąd ta obojętność w stosunku do dzieci polskich skupionych na Wyspie, chociażby nawet miały prędzej lub później zostać obywatelami angielskimi lub australijskimi? Dzieci te będą, przeciw zawsze z krwi i pochodzenia Polakami a mogłyby też pozostać związane z ojczyzną ojców, tradycją i wdzięcznością, gdyby starsze pokolenie na ich wdzięczność zasłużyło.

Poniższy artykuł Teresy Skórzewskiej, zagadnienie tej obojętności rozszerza na zagadnienie stosunku do wszystkich beczkowych osiedli, rozrzuconych na Wyspie brytyjskiej.

M. C.

Pierwszy typowy twór budzącej się wyobraźni u dzieci to rysunek domu; u dzieci naszych, dzieci obozów, przekształcił się w półkole — symbol beczki.

Masowy obecnie exodus do Stanów i Kanady wypłoszy wiele ludzi z tych tranzycyjnych schronisk i położy kres ciekawym socjologicznie warunkom życia, mało znanym na zewnątrz.

Obozy, choć nikt nie doceniał ich wagi i możliwości i nikt do tego nie zmierzał świadomie, spełniły ważne zadanie, chroniąc

tysiące najmłodszych od wszelkich wątpliwości co do pochodzenia i przynależności narodowej.

"Mamusi — pyta matkę pięciolatek — czy za obozem już jest Anglia?"

To jest dodatnia strona izolacji w naszej egzystencji ryb, przelanych z morza do akwarium.

Od 1946 r. zaczęli ściągać Polacy do Anglii, żołnierze wcieleni do PKPR zamieszkali przeważnie w obozach-hostelach, rozrzuconych po Wyspie; dołączały do nich rodziny z Afryki i Indii, ludność cywilna z Libanu. I tak powstały, dotąd częściowo istniejące, osiedla z beczek. Powoli wrosliśmy w prymityw tych polskich wsi. Całociowym nomadom, stanowiącym najmłodsze nasze pokolenie, po pierwszych latach tęsknoty... za Afryką lub Indiami, stały się domem. Rosną w beczkach zdrowo i radośnie, ku przyszłości nieznannej, pozbawionej organicznych powiązań z czymkolwiek poza wspomnieniem — jedyną niemal treścią życia starszych.

Anglicy uczciwie starają się zapewnić **dipisom**, poprzez obóz, znośną egzystencję. Poza wilgocią wdzierającą się pleśnią w dobytek i reumatyzmem w kości, poza szczurami, których twierdzą w szczelinach pomiędzy wewnętrznymi ścianami a zewnętrznym, blaszonym pancierzem beczek okazują się niezdołyte, nic nam nie dokucza. Chyba odcięcie, już nie drutem kolczastym, ale obcością wszystkiego co nas otacza i głodem umysłowego pokarmu. Głód szczególnie ostry u starszych i chorych, niezdolnych do pracy intelektualistów, którzy tu znaleźli schronienie. Są między nimi naukowcy, są pisarze z prawdziwego zdarzenia. Rozporządzają cennym i rzadkim dziś dobrem, własnym czasem. Radzi by go zdyscyplinowanej, twórczej myśli poświęcić, lecz trudno ją w formie utrzymać, przy zupełnym braku bodźca, wymiany ze światem zewnętrznym. Kilka shillingów "pocket money" nie umożliwiała zarzucenia żadnych "pomostów". Trzeba by tym ludziom, jak jeńcom wojennym, inicjatywy z zewnątrz, trafiającej w sedno potrzeb każdego.

Książka, nawiązująca do czyichś zainteresowań, artykuł wyjęty z gazety wystarczy nieraz, by wyrwać wolę człowieka spod przytłaczającego jak grobowiec krągłego sklepienia beczki.

Jest obóz, którego mieszkańcy rozpędową siłą dla swej twórczości stworzyli sami, to "Oficyna Poetów i Malarzy" w Mabledon Park, która dokonuje cudów, dając raz jeszcze dowód co może uparty wysiłek jednostek. Ale Mabledon leży blisko Londynu, co umożliwia kontakty, wymianę myśli — rzeczy których dalekie obozy, na pustkowiach, są całkowicie pozbawione.

Była krótka chwila podjęcia przez Nowakowskiego hasła "Frontem do Obozów". Ten i ów nas odwiedził. Osobiście, przez pięć lat, słyszałam w obozach trzy doskonałe wykłady: prof. Kościałkowskiego, Wita Tarnawskiego i Marii Czapskiej. Były to wielkie przeżycia. Wiernie nam dotąd dotrzymuje kompanii

Teatr, zawsze życzliwie witany. Przyjechał Dygat, radość słuchania go dusił wstyd za fortepian, który mu dostarczono.

Przeważnie jednak wielkie polskie wsie wśród wzgórz czy mozarów angielskich zatoneły w zapomnieniu jak w zaczarowanym jeziorze. Docierają tylko w okresowych objazdach przedstawiciele czterech opiekuńczych Ministerstw, częściowo Polacy...

Polski urzędnik umiał na ogół w ciągu dwunastoletniej emigracji zachować swoją odrębność. Nie lgnie fala do niego, ani on do fali. Wymiana zdań z autochtonami nie wchodzi w skład jego środków rządzenia. Pojawia się nagle wśród beczek, dostrzega nasze potrzeby w ciągu kilku godzin widocznie lepiej niż my w ciągu lat i znika. Potem napływa nowa fala formularzy i instrukcji.

Przeszedłszy bezpośrednio z form bytu wojskowego do cywilnego, obozy zachowały szkielet organizacji koszarowej, wraz z całą nomenklaturą. Potrzeby starców, chorych, matek i dzieci są odmienne od potrzeb żołnierzy. Groza państw totalnych polega na skoszarowaniu ludności cywilnej.

W bardzo nielicznych obozach, na czele których stoją kobiety, umiano tego charakteru uniknąć, wytworzył się bardziej domowy nastrój. Lecz na ogół w obsadzaniu "stanowisk" obozowych panuje myzoginizm.

Dowódczyni PSK w PKPR, dowódczyni polskich WAF, komentarka batalionu szkolnego w Nazarecie, której oddział w najlepszej chyba formie z Palestyny do Anglii przybył — wszystkie cenione w obozach wojskowych przez swoje podkomendne, choć nie byliśmy łatwym elementem — w cywilnych warunkach jakoś się "nie nadały".

Wiele trudności wynika po prostu z braku przygotowania do gospodarstwa domowego panów przeniesionych nieraz z wysokich stanowisk państwowych do rządzenia prymitywnym bytowaniem w beczkach, zależność zaś od centrali nie znającej z własnego doświadczenia warunków bytu obozowego nie ułatwia sytuacji.

Dla przykładu. Istnieje zakaz aby mężowie kobiet zatrudnionych w obozach mieszkali z nimi. Długoletnie rozbitcie rodzin, wynikłe z wojny jest w ten sposób dalej przeciągane. Nieraz matka z niemowlęciem zadomawia się w beczce, gdy ojciec opiekujący się, jak może, innymi dziećmi, pozostaje w mieście. Niezbądane są wyroki władz, lecz skutki ich nie zawsze szczęśliwe.

Szereg schematycznych zarządzeń tego rodzaju sprawia, że obóz miast być powrotem do ubożego, lecz możliwie normalnego życia, przedłuża nastrój poczekałni dworcowej.

Najlepszym rozwiązaniem wydaje się przeorganizowanie "hosteli" obozowych na tzw. "housingestates", gdzie mieszkańcy stają się normalnymi lokatorami, a nawet właścicielami beczek, lub części baraków i żyją w nich na prawach wolnych lokatorów kamienic miejskich, powróciwszy do jednostkowej czy rodzinnej gospodarki. Takiej przeróbce uległ ogromny obóz powojenski w Foxley, ku zadowoleniu mieszkańców.

Ta forma życia przy skromnych zarobkach większości Polaków wydaje się korzystna i nasuwa pytanie, czy w pobliżu Londynu i większych ośrodków przemysłowych nie dałoby się w ten sposób rozwiązać zagadnienia kwestii mieszkaniowej tak bardzo po miastach kosztownej.

Gospodarka własna to podstawowy warunek normalnej egzystencji; starcia wybuchające o zupe, która nie smakuje, o mięso, którego sąsiad dostał większy kawałek, są po prostu spowodowane znużeniem zbyt długotrwałego życia gromadnego. Dom własny, choćby własna beczka, jest szczególnie ważny dla dzieci, nieznających dotąd zabiegów matki o chleb powszedni. Przez całe życie przyzwyczajone czerpać z urzędowych przydziałów i produkty tak otrzymywane lekceważyć, nie wiedzą nic o tradycjach kraju, "gdzie kruszynę chleba podnoszą z ziemi przez uszanowanie dla darów Nieba". Nie tylko kruszynę, lecz zaledwie nadgryzione kawałki chleba z masłem i kawałki ciastek porzucane bywają na ścieżkach, znacząc ślady dzieci uratowanych od śmierci głodowej w Rosji.

Praca włożona w wyleczenie malców od skutków ich włóczęgi będzie zmarnowana jeśli się jej nie uzupełni wpływem wychowawczym domowego życia. W tych dzieciach tkwi w zarodku całe bogactwo duszy polskiej wrażliwej i chłonnej, lecz pozbawionej gruntu, w który normalnie dziecko zapuszczało korzenie, czerpiąc zeń soki i podświadomie asymilując obyczaj i tradycyjne normy moralne. Nie zdołają podołać ich wychowaniu żadne instytucje, bo wychowanie to integracja najmłodszego pokolenia w całokształt społeczeństwa, to kontakt dziecka z pokoleniem wyrobionym, dojrzałym. Przyjmując że takim pokoleniem jesteśmy, jakż jest nasz stosunek do problemu najmłodszych?

Mówiono mi niedawno, że polska inteligencja w Londynie często nie wie o istnieniu polskich szkół obozowych. Nie wierzyłam, lecz w ciągu kilku dni następnym doktor filozofii, dyplomata i pisarz pytali mnie: "Co to jest Stowell Park?" skąd właśnie wracałam.

Jakie są zainteresowania polskiej emigracji politycznej, jeśli w ich skład nie wchodzi tysiące polskich dzieci z których około pięciuset kształci się i żyje w dwóch szkołach obozu Stowell Park, a inne setki w podobnych obozach i pobliskim sierocińcu?

Nie jest w mocy żadnej z tych szkół zrobić z nich pełnowartościowych Polaków, dopóki starsze społeczeństwo o nich "nie wie". Większość, synowie i córki naszych żołnierzy, to pierwsze pokolenie otrzymujące, dzięki pomocy angielskiej, średnie a nieraz wyższe wykształcenie. Co je ma związać z polską kulturą, jeśli nie troska byłego ministra, doktora filozofii i pisarza? Nie chodzi o troskę oficjalną, wyrażaną zapisaniem się do tej czy innej organizacji opiekuńczej, lecz o myśl osobistą serdeczną o przyjazne podanie ręki.

Zycie kulturalne Polonii w U.S.A.

Wydany w marcu br. biuletyn Amerykańskiej Rady Klubów Kulturalnych (American Council of Polish Cultural Clubs — w skrócie ACPCC) zapowiada, że wbrew pogłoskom a nawet staraniom niektórych grup, aby ogólnokrajowy Zjazd Klubów odbywał się co dwa lata, Zjazdy te odbywać się będą każdego roku, w myśl uchwały powziętej w 1950 r. na konferencji w Wilkes-Barre-Pa. i według konstytucji Rady, uchwalonej w roku ubiegłym na Zjeździe w Cambridge Springs, Pa. W roku bieżącym Zjazd przewidziany jest w dniach od czwartku 24 do niedzieli 27 lipca w Cambridge Springs, Pa.

W ramach ACPCC przygotowuje się pod przewodnictwem pani M. F. Kostrubała z Chicago konkurs literacki, którego warunki podane będą do wiadomości już wkrótce, a wyniki ogłoszone być mają na Zjeździe Klubów w r. 1953. W roku 1951-szym Polski Klub Artystyczny w Chicago rozpiął konkurs dla polskiego pochodzenia uczniów szkół średnich z terenu Chicago na opowieść lub reportaż o temacie polskim lub polsko-amerykańskim. Na 79 nadesłanych (w języku angielskim) prac, wyróżniono 10; ukazały się one w specjalnej publikacji nakładem PKA w Chicago. Pierwszą nagrodę uzyskał uczeń Szkoły Świętej Trójcy w Chicago, Michał Rytel za imaginacyjny wywiad z Arturem Rubinsteinem.

Pod patronatem Komitetu Oświatowego Związku Polek w Chicago odbył się w dniu 30 marca 1952 dla uczczenia 15-tej rocznicy śmierci Karola Szymanowskiego koncert, poświęcony w całości jego muzyce. Poprowadził go słowem wstępnym Włodzimierz Skłodowski, profesor literatury i języka polskiego na uniwersytecie de Paul. W koncercie wzięła udział wybitna pianistka polskiego pochodzenia, Wanda Paul, oraz skrzypki Tadeusz Kożuch. Odegrano m. in. po raz pierwszy w Chicago kwartet Szymanowskiego numer 2, Op. 56.

Kiermasz książki i sztuki polskiej planowany jest na listopad bieżącego roku przez Polski Klub Artystyczny w Chicago pod przewodnictwem panny Wandy Baron, wiceprezeski Klubu.

A. J.

Kronika ukraińska

Co nas dzieli?

Numer "Kultury" z wystąpieniem Józefa Łobodowskiego "Przeciw upiorom przeszłości" odkłada się z uczuciem przeżycia najwyższej sensacji, jaką rodzi zetknięcie ze zdrowym rozsądkiem, uczciwością i miłością. W oficjalny zastój, w oficjalną martwość graciarni emigracyjnej buchnęło nagle jakby samo życie ze swoim krzykiem, że tylko rzeczy trudne mają moc żyjącą i że tylko rzeczy żywe i żyjące są godne człowieka. Po raz pierwszy w zasadniczej sprawie politycznej zostały na emigracji powiedziane słowa, które od początku do końca z n a c z ą. Jest czymś najprostszym i najbardziej naturalnym, że poeta ożywia i wskrzesza, co się wydawało pogrzebane. W czasach trudnych poeta był zawsze zapładniającą siłą społeczną i, jak poeci hebrajscy, nie tylko opisywał ale tworzył historię i politykę, gdy dochodziło do rzeczy ostatecznych, kształtując dusze i niemal determinując fakty.

Jeśli godzimy się w skardze, że niestety niczego, co jest twórcze i żywe nie możemy oczekiwać po tak zwanych oficjalnych przedstawicielach emigracji, możemy jednak twierdzić z ulgą, że nie z całą emigracją jest tak źle, jeśli znalazło się pismo, które artykuł Łobodowskiego wydrukowało i że, co jest jeszcze ważniejsze, artykuł ten na wielu Polakach sprawił wrażenie przełomu w polskim piśmiennictwie na tematy ukraińskie.

Nie brak znaków, że wystąpienie to będzie czymś więcej, niż świadectwem platonicznego protestu w imię politycznego rozsądku i pewnego ładu moralnego. Wydaje się, że nawet w tej sprawie coś "wisi w powietrzu". Nie tylko Łobodowski i nie tylko "Kultura" usiłują uczciwie patrzeć na zagadnienie polsko-ukraińskie i szukać rozwiązań godnych ludzi uczciwych i myślących. Z braku jakiegokolwiek myśli "oficjalnej" w tej dziedzinie, działają pewne grupki prywatne, gdzie sine ira et studio usiłuje się rozmawiać wspólnie, wśród przedstawicieli różnych narodów słowiańskich, Polaków, Ukraińców, Białorusinów, Sło-

waków, Czechów — o sprawach, które czekają na rozwiązanie w przyszłości. Jeśli spod pióra polskiego może wyjść tak godna i spokojna analiza działalności i kierunków politycznych organizacji ukraińskich działających na wygnaniu, jaką czytamy w artykule St. J. Paprockiego w pierwszym tegorocznym numerze "The Eastern Quarterly" 1) — to to jednak "coś" znaczy.

Lecz gdy inni będą chwalili Łobodowskiego, ja pragnąłbym zwrócić uwagę na to, co jest może słabą stroną jego wystąpienia.

Pragnę zaznaczyć, że piszę tu nie tylko własne uwagi. Po artykule Łobodowskiego otrzymałem parę listów od katolików polskich, którzy mieszkając przed wojną w Galicji, dobrze tamtejsze sprawy znają. Wymieniłem też poglądy z uczciwymi ludźmi, którzy na zagadnienie polsko-ukraińskie patrzą z kilku punktów widzenia, i szczerze podziwiając wystąpienie Łobodowskiego, nie pomijają tego, który pomija znakomity poeta: punkt widzenia religijnego. Rdzeń zagadnienia ukraińskiego, jeśli mamy się trzymać ziemi: tak! — właśnie ziemi, — jest bowiem natury psychologiczno-religijnej.

Zacznijmy od sprawy wojewody Józefskiego i jego roboty na Wołyniu. Bez trudu wypada się zgodzić, że było w niej wiele rzeczy pozytywnych. Świadczy o tym choćby furia, z jaką pewnego typu Polacy atakowali jego poczynania. Ale — nie wszystkim blask był tam blaskiem szczerego złota, a i samo złoto nie zawsze było najlepszej próby. To prawda, że jego akcja rozpełtała wściekłość polskich szowinistów, ale też — budziła nieufność i podejrzliwość Ukraińców. Raziło ich bowiem, że wszystko to było zbyt "robione", "kierowane". Ukraińcy nie wiedzieli po prostu dokąd to wszystko zmierza, zwłaszcza, gdy z robotą wołyńską zestawiali to wszystko, co spod czapki tej samej władzy, której przedstawicielem był Józefski, wyskakiwało w Galicji.

Ostracyzm w stosunku do wschodniego katolicyzmu i podejrzanie natarczywe popieranie prawosławia przez czynniki urzędowe wywołały na Wołyniu efekty całkiem nieraz nieoczekiwane, jak to się dzieje, gdy czynniki świeckie usiłują "kierować" religią. Oto pewna ilość księży prawosławnych tej ziemi, Ukraińców, przeszła do Kościoła Narodowego, aby się forsowanego przez rząd prawosławia pozbyć, od rządowego stempla wyzwolić — w nadziei, jakże naiwnej, że taka okólna droga umożliwi im dojście do metropolity Szeptyckiego z ominięciem policyjnych ostracyzmów. A Metropolita nic tym ludziom pomóc nie mógł! Telefonowano do niego ze wsi wołyńskich o katolickiego kapłana wschodniego, którego on przecież w istniejących stosunkach posłać nie był w stanie. Pewnego duchownego jadącego w pociągu z Sokala do Włodzimierza gorliwie legitymowano z zamiarem nie puszczenia go przez kordon (tj. dawny austriac-

ko-rosyjski) na Wołyn. Był bowiem "podejrzany" o przestępstwo niesłychane: że jest... unickim kapłanem. Dlatego, że usiłował się rozmówić po ukraińsku z pasażerem (choć nawet nie znał dobrze języka) i darował mu pocztówkę z portretem Metropolity. Zdziwienie było niemiłe, kiedy legitymowany wyciągnął paszport z dyplomatyczną wizą polską z Paryża. — Czy mnożyć przykłady, i to daleko bardziej drastyczne?

W Galicji nie wolno było chłopu ukraińskiemu dokupywać ziemi (zbyteczne tłumaczyć, jakie uczucia budził taki zakaz; kiedy w XVI wieku znalazł się pod polskim zarządem teren dzisiejszej Łotwy, jednym z pierwszych postanowień Zygmunta Augusta było wydanie zakazu Polakom kupowania tam ziemi, aby z powodu większej ich zamożności nie została wyrwana ludności miejscowej, dla której byłoby to wielką krzywdą; ale to było w wieku XVI, kiedy moralność chrześcijańska miała jeszcze pewien walor). Jeśli galicyjski Ukraińiec pragnął gruntu, musiał wędrować właśnie na — Wołyn! Cóż za fantastyczna logika? — Na ten Wołyn, na którym obawiano się przecież "agresji ukraińskiego nacjonalizmu na lojalnych Wołyniaków"! Czyż kryła się w tym intencja, aby w nowym otoczeniu i przy odpowiedniej "pomocy" chłop ukraiński pozbywał się swej wiary katolickiej? Byłoz w tym liczenie na efekt, jaki forsowanie prawosławia ma sprawić na Ukrainie za kordonem bolszewickim? Jakie to charakterystyczne dla polskiego widzenia świata nie w ruchu, ale w postaci zastygłej, dla naszego brania za rzeczywistość — własnych przesądów na jej temat. Tak i tu: kilka frazesów i formułek z przeszłości o prawosławiu brano za jego faktyczny obraz rzekomo istniejący bez zmiany na Wschodniej Ukrainie, jak zastygły, nieruchomy i zatarty, w kilku polskich mózgach — via Moskwa. Dziwne, że i Niemcy za okupacji zaczęli stosować właśnie podobne metody.

W Galicji zaś podjudzany motłoch nie tylko burzył w najspokojniejszych czasach świątynki wschodnio katolickie, jeśli samorzutnie wyrastały w bezludnych przedtem a w międzyczasie osiadłych miejscach (np. między Przemyślanami a Uniwem, gdzie rozniesiono skromną pomocniczą kapliczkę, w której odprawiały się Msze św. w święta; ikony zaś połamano i podepta-no!) — ale urzędy zakazywały wznoszenia świątyni tzw. grecko-katolickich bez uprzedniego zezwolenia, którego się nie otrzymywało. Tak np. niedokończona cerkiewka Bazylianek na Potockiego we Lwowie stanęła w budowie i doczekała się jako niedokończona zachłanności niemieckiej. Za to nie wiedzieć za co i po co budowano ogromne nowe kościoły łacińskie po wsiach, gdzie w całym okręgu była zaledwie garstka "Polaków", to jest katolików łacińskich, którzy w domu często posługiwali się wyłącznie ukraińskim. Wspomnijmy jeszcze o znieważeniu i lżeniu metropolity Szeptyckiego, jeśli nie wrecz nienawisć do niego. Ot, choćby wydarty z okna fotografa wiszący jeszcze z austriackich czasów portret Metropolity bezkarnie w biały dzień podarty w strzępy i znieważony przez "katolickich" (!) korporan-

1) Political Organization of the Ukrainian Exiles after the Second World War. By St. J. Paprocki. "The Eastern Quarterly". Vol. Nr 1-2, January-April, 1952, London-Paris.

tów we Lwowie. Sądzę, że nawet w carskiej Rosji ukarano by dzikusów, choćby byli nimi studenci Rosjanie, gdyby w podobny sposób postąpili z fotografią np. arcybiskupa Popiela; ukarano by chociaż ze względu na powagę państwa i z troski o zachowanie jakiegoś pozorów dbania o poszanowanie prawa. Jedynie "masonski" — jak mawiali "dobrze myślący" — "Tygodnik Wileński" ośmielił się zgłosić protest przeciw temu hańbiącemu wyrykowi. A skandal, który powstał, kiedy śp. kard. Hlond w specjalnych okolicznościach postanowił odwiedzić właśnie tylko Metropolitę... Sam ten jeden incydent wart jest osobnej "monografii".

To nie są bynajmniej drobiazgi, jakby się mogło wydawać. I wielka szkoda, że problem religijny sprawy ukraińskiej Łobodowski nie interesuje, że o nim milczy, przez co całe jego wspaniałe, heroiczne wystąpienie może zawiśnieć w próżni.

Albowiem w tej części Europy nie da się w żaden sposób odzielić zagadnienia narodowego od zagadnienia religijnego, ba! nawet obrządkowego. Gdyby Łobodowski zechciał rzucić okiem zwłaszcza na niezliczone już dziś dzieła bizantynistów, wszystko jedno czy pisane przez katolików, prawosławnych czy protestantów, przez wierzących czy wręcz ateistów: w tych miejscach, gdzie mowa o narodach słowiańskich, jest to bardziej historia religii i obrządków, niż tak zwana historia "czysta", jeśli taka istnieje w ogóle. Czyż Łobodowski nie dostrzega sposobu, w jaki w tej części Europy zmuszeni są rozwiązywać zagadnienia narodowościowe nawet bolszewicy? Zarówno kierowany ateizm jak i kierowane prawosławie to są dwa ściśle powiązane, wzajemnie zdeterminowane oblicza tego samego zagadnienia. Każdy, kto przystępuje do mówienia i pisania o pojęciu narodu na wschód od Odry musi sobie z tych realności zdać sprawę, jeśli nie chce operować prostą niedorzecznością. A cóż dopiero, jeśli chce wpływać na tam wyrosłą rzeczywistość.

Ale i Łobodowski posiada swoje, raczej swoiste podejście religijne do tych zagadnień, choć je ukrywa. Jest, jak się wydaje, wyznawcą (oczywiście nie konfesyjnym, lecz historycznym) — "polskiego prawosławia". A więc jeszcze jedna nieruchoma mgławica!

Zagadnienie ukraińskie jest moralne i religijne w najszerszym i najgłębszym tego słowa znaczeniu, ale nie można tu chcieć religii "kierowanej". Gdyby Józefski był szedł z Szeptyckim, sprawy wzięłyby inny obrót. Ale on wystrzegał się tego kroku, choć go, równocześnie, pragnął. Pewnej chwili (wiosna 1930 roku), szukał dróg zetknięcia. Było to jednak robione tak niewyraźnie, nieprzekonywująco, że Metropolita nie mógł dać swej zgody. Bo zamiast uznać jego suwerenność moralną i kościelną, Józefski chciał go podporządkować sobie jako wyrazicielowi autentycznemu tajemniczych planów na przyszłość, tajemniczych i niewyraźnych. Chciał zdania się na ślepo, zaufania bezgranicznego nie wiedzieć na co i tym samym dobrowolnego związała się w owym permanentnym zaufaniu. Jeśli Łobodow-

ski ma rację, a wydaje się, że ją ma, iż Józefski był agentem woli Piłsudskiego, to znaczy, że wojewoda pragnął, aby Metropolita przestał być sobą, a tym samym, aby abdykował i złożył na jego ręce swój olbrzymi suwerenny autorytet, jaki miał wśród całego społeczeństwa ukraińskiego.

Tymczasem droga do współpracy była: otworzyć Wołyń dla Metropolity. A właśnie tej jednej i jedynej drogi otworzyć nie chciano. Nie chodziło tu bynajmniej o propagandę Unii, ale o zostawienie uczciwej swobody dla wolnej woli Ukraińców. Gdy Stolica św. pragnąc bodaj w części zaradzić nienormalnym stosunkom religijnym na Wołyniu mianowała nieskrepowanego konkordatem wizytatora apolstolskiego w osobie X. Bpa Czarnieckiego, pamiętamy ile rząd — i to nie "endecki" przecież, ale "sanacyjny" — robił mu afrontów, uniemożliwiając działalność, a nawet samą obecność na tym terenie.

Popierano wszelkie sztuczne kreacje, poronione papierowe tricki, byle tylko nie dać samemu ludowi swobodnej i naturalnej możliwości wypowiedzenia się. Dlaczego? Bo jej spontaniczny odruch kierował się — na Lwów Metropolity Szeptyckiego.

Z jego swobodnym wejściem na Wołyń nastąpiłoby odprężenie duchowe ludności ukraińskiej. Zdrowe i samorzutne przejście na Unię tych, którzy by tego pragnęli sami i dobre, naturalne ustosunkowanie się do ludowego prawosławia ze strony Metropolity tam, gdzie by tego przyjsia nie chciano. Wołyń byłby nabrał spokoju i samorzutnego okrzepnięcia, ale tego właśnie, jak widać, nie życzone sobie. Zamiast normalnej strawy, wolano podtykać podejrzone leki i sztuczne preparaty. Nie było wolnej gry sił, ale sprężanie napięć pod różowo i zielono malowane pokrywy. I to się zemściło masakrami wołyńskimi, w których nieznan sprawcy wykorzystywały niepokój: chciałyby się powiedzieć: nieukój i niedosyt religijny, a nawet samo "patrzanie" na Lwów.

Wszystko to zostało pominięte w żalach Łobodowskiego, jak było wykreślane z programów "sanacyjnych" i niesanacyjnych. A powody? 1) Mit o "polskim" prawosławiu z cichą, głęboko tajoną nadzieją, że stanie się ono łańskie bez zniechędzonej Unii. 2) Wejście w serca, w mózgi, w krew, w kości, w powietrze nawet — starych uprzedzeń i nienawiści do katolicyzmu wschodniego, do Unii jako "poronionego tworu", "dziejowej pomyłki" dawnej Polski. Bo przez dziwny paradoks niekonsekwentnej polskiej natury — nie znosząc Unii, gardząc nią, nie uważano jej za katolicyzm, co najwyższemu za "zatrzymanie się w pół drogi", jak wywodzi szczególnie przez Giertycha wypieszczony i wychuchany jeden z bohaterów jego powieści, lub za "przedśionek Kościoła". Jak mi tłumaczył W. A. Zbyszewski. W pewnych zaś okolicznościach, gdzie to jest potrzebne, do wybielania naszego smutnego konta historyczno-religijnego i błędniecia pawim ogonem zasług, których nie posiadamy, niektórzy Polacy, i świeccy i duchowni,

ośmielają się nazywać Unię "największym polskim dziełem" lub też podobnie podniosłe, gdy nigdy dziełem polskim nie była i nie jest. Nie była i nie jest już choćby dlatego, że to nie Polska ją zawierała, była przecież integralną częścią łacińskiego Kościoła. A będąc niefaktem, twierdzenie o Unii jako o "polskim dziele" jest w daleko większej mierze grubym, interesownym i szkodliwym fałszem historycznym.

Niedawno pewien polski biskup zauważywszy przecieź, w rzędzie zasług przypisywanych polskiemu Kościołowi, że Unia jest również dziełem "najznakomitszych Rusinów" (na drugim miejscu wyliczenia wprawdzie...), przypisał ją jednak na pierwszym miejscu... jezuitom polskim.

Stwierdźmy tu w imię prawdy, że nawet wroga Unii propaganda Rosji carskiej i bolszewickiej, przedstawiając również Unię jako "polską intrygę", rozszerza jednak jej ojcostwo oprócz jezuitów także i na "panów polskich"... Ale zarówno to, czym się niekiedy przechwalała Polacy od święta, na co dzień zaś szczerze mówiąc i pisząc słowami owego historyka, że "Unia zgubiła Polskę", jak i to co konsekwentnie od wieków piszą Rosjanie, jest tylko propagadą. Kto chce prawdy, niech zajrzy choćby do encykliki Piusa XII "Orientales omnes Ecclesias". Nawet jej pewne opuszczenia są bardzo pouczające. Trzymając się historii encyklika nie dostarcza dowodów ani megalomańskiej propagandzie niektórych Polaków ani nienawistnej furii rosyjskiej. Unia ukazuje się w niej tym czym była w historii: **wolnym i naturalnym dziełem zaawansowanych reformistów "ruskich" epoki, dziełem zarówno ukraińsko-narodowym jak i religijnym.** I jest doprawdy czymś wysoce żenującym — również w imię prawdy, należy to stwierdzić — że dzieło Unii doszło do skutku i tak wspaniale owocowało — pomimo że od samego początku, zaraz po Brześciu, Polacy robili co mogli, łącznie ze swymi biskupami, aby życie Unii podciąć, aby jej kosztem — dotyczy to królów i sejmów — wynieść prawostawie przy każdej sposobności. Wspomagały dzieło Unii ze strony polskiej jednostki z Zygmuntem III i Skargą na czele, ale naród jako całość nie przyjął jej nigdy nie tylko jako "najwspanialszego polskiego dzieła", ale chociażby przynajmniej — obojętnie, jako równorzędnej i równoprawnej formy katolicyzmu, tak samo rzymskiego i tak samo katolickiego jak łaciński. Rząd polski nie dotrzymał swych przyrzeczeń. Nie chodziło o to, aby Ukraińcy przyjmowali łączność z Rzymem przez obrządek wschodni, ale, aby poprzez obrządek łaciński stawali się Polakami. Nie zostały więc dotrzymane przyrzeczenia dopuszczania biskupów unickich do Senatu, bo ich polscy biskupi za równych sobie nie uważali, ba! nawet kanonicy krakowscy chcieli mieć krok przed katolickimi hierarchiami wschodnimi. (Lecz czyż to jest tylko historia?...). Toteż wielki uczyony, choć nieraz tak pełen uników i zaślepienia, jakim był Aleksander Brueckner, stwierdza z całą szczerością, pisząc o Unii, że "Rzym (...) **jedyny z zasady ją szczerze popierał**".

Owszem, jezuita nasi odegrali dużą i na ogół bezinteresowną rolę (z całą pewnością — jeśli chodzi o Skargę) w propagowaniu jedności, gdy stosunki na Rusi ułożyły się już tak, że **Rusinom Unia** wydała się jedynym ratunkiem, jedyną skuteczną drogą wyjścia z głębin poniżenia, w jakich znalazła się Cerkiew, zwłaszcza, że wspomnienie Florencji z poprzedniego wieku odżyło znowu²⁾. Jeśli jednak zważymy na **zespół czynników**, może się okazać, że więcej niż polska publicystyka, niż świętobliwy żar Skargi podziałał w ostatnich latach na rzecz ostatecznego kroku w stronę Rzymu sam... patriarcha konstantynopolitański, Jeremiasz II, który w r. 1588 przebywał pół roku na Rusi. Ten osobliwy hierarcha w krótkim czasie zrobił wszystko co mógł, oczywiście wbrew własnym intencjom, aby pozniakały największe zapory; aby wzniecić wśród Rusinów powszechne oburzenie przeciw sobie i popełniając w swej łapczywej pogoni za pieniądzem każdą możliwą omyłkę i niezręczność, przyspieszyć krok, który chciał unicestwić.

Jeśli niektórzy członkowie Towarzystwa Jezusowego dokonali bezinteresownego wysiłku za Unią, to — powiedzmy to sobie szczerze — działali oni nie jako Polacy, ale jako jezuita. Jeśli jednak, złapawszy wiatr, który wiał od całego społeczeństwa, ledwo tylko Unia została zawarta aż po swój czasowy koniec, używali wszelkich chwytów, aby w swych kolegiach wymusić przechodzenie uczniów Rusinów z Unii na obrządek łaciński, to w tym wypadku — miejmy znowu odwagę to powiedzieć — postępowali tak nie dlatego, że byli jezuitami, ale dlatego, że byli Polakami i razem z polskimi biskupami, klerem i świeckimi czuli pogardę i wrogość dla tego wielkiego ukraińskiego dzieła religijnego: albowiem w jego skutku **nowy naród** wchodził w skład Rzeczypospolitej. A tego nie chcieli za żadną cenę. Nie

2) Niech wolno tu będzie chociaż na marginesie wspomnieć, że w sprawie unijnej zapanował w XV w. w Kościele jakiś nowy, a raczej odnowiony duch, który się bynajmniej na Florencji nie skończył. Ten poryw szedł przede wszystkim z odrodzonymi po św. Bernardynie ze Sieni francziskanami ścisłej obserwacji, czyli z tzw. w Polsce bernardynami. Jeśli dobrze pamiętam, najdociekliwiej zapuszczał się na ten teren wielki polski historyk X. prof. Fiałek — na tle słynnej sprawy krakowskiego hafciarza Fiola i druku przez niego w Krakowie (koniec XV w.) wschodnio katolickich ksiąg cyrylickich — na pewno z parciem bernardynów i ówczesnych ruskich unitów, głównie Białorusinów. Bernardyni polscy w ostatniej ćwierci XV stulecia prowadzili ożywioną działalność unijną i sporo wielkich schizmatycznych rodów ruskich przywiedli do łączności z Rzymem. Niezwykle serdecznie byli przyjmowani do jedności przez Pawła II, Sykstusa IV i Innocentego VIII np. Sołtan, brat jego Iwoszek z Pińszczyzny, Iwan Sapieha (tj. Sopiha lub Sopiha) itd.

Owi unicy XV wieku patrzyli z góry na łacinników, ufnij w wielką serdeczność, okazującą im przez Stolice św. W swych majątnościach wznosili cerkwie unickie, z których podobno korzystali również duchowni łacini. Byłoby wdzięcznym zadaniem specjalistów źródłowe zbadanie zasięgu terenowego i czasowego tych XV-wiecznych poczynań unijnych, związanych z przedstawicielami rodów, przyjmujących potem obrządek łaciński, ze szkodą religijno-narodową dla swych bliźszych społeczności, którym w ten sposób uciekały warstwy klerownicze.

tylko jako faktu i rzeczywistości, ale nawet jako tajnej myśli przed samymi sobą.

Począwszy już od samego niemal aktu brzeskiego aż po rozbiory, z Rzymu płynnie prawdziwy strumień admonicyj i zakazów pod adresem episkopatu, zakonów (zwłaszcza jezuitów) i kleru świeckiego, aby nie latynizowali Rusinów. O ciasnym, szowinistycznym, stanowisku naszego episkopatu wiemy nawet z podręczników do dziejów Kościoła, kompilowanych w języku polskim. Nic dziwnego, że w zgodzie ze swymi biskupami Polacy traktowali Unię jako pól religię, jako religię "pospółstwa", "chamów" i wprowadzili pogardliwy i obraźliwy podział terminologiczny na "katolików" to jest łacinników" i "unitów", to jest pół-katolików pół-schizmatyków (lub w podobnym znaczeniu: na "katolików" i "greko-katolików", a więc ubogich i podejrzanych krewnych, najniższą rasę w domu Bożym³⁾). Czyż nie istnieją te rozróżnienia do dziś i to nawet — *horribile dictu!* — w wydawnictwach i gazetach katolickich? — Jedyne chyba artykuły o Unii jaki po tej wojnie ukazał się w kraju, to był niezyczliwy a nawet napastliwy szkic historyczny w "Ateneum Kapłańskim", a wśród referatów, które nie zostały wygłoszone na jubileuszu wydziału teologicznego U. J. — był referat na temat unijne...

Wracając jednak do faktów historii: Na synodzie warszawskim, któremu w r. 1643 przydygotał skąd inąd zasłużony Prymas Maciej Łubieński, zapadła uroczysta uchwała episkopatu polskiego zakazująca hierarchom unickim używania tytułów biskupich oraz noszenia purpurowego sznura lub złotego łańcucha do krzyży pectoralnych. Trudno wprost nie podziwiać tej zaciętości nie biorącej pod uwagę nawet tego, że przeciw nasz episkopat nie miał żadnej jurysdykcji nad biskupami unickimi. Rutki wielokrotnie słyszał polskich biskupów i świeckich mówiących: "Było lepiej zniszczyć Unię Ruską, aniżeli ją popierać". W Sejmach pojawiały się żądania, aby Ukraińcom "ukazem" narzucić obrządek łaciński i zlikwidować Kościoł unicki.

Po cóż jednak mnożyć przykłady.

Jeśli już czas, ostatni czas zastąpić drogę, jak posepnie mówi Łobedowski, powracającym upiorom przeszłości, jeśli nie ma zostać "śpiew bez słuchaczy", trzeba powiedzieć wszystko. Wszystko do dna. Pierwszą bowiem podstawą wszelkiej zgody, wszelkiego porozumienia jest znać to, co dzieli. Najważniejsze jest to, co dzieli istotnie i dopiero po poznaniu tego, co dzieli, może przyjść i to, co łączy. Hasło: odrzucić to, co dzieli, a wziąć to, co łączy, jest niemięskim oportunizmem, kłajstrowaniem na krót-

3) Niedawno W. Żyliński w jednym z pism londyńskich pouczał, że należy używać następującej terminologii rozróżniającej: "Kościoł katolicki, Kościoł unicki, Kościoł prawosławny"!... Jak gdyby Kościoł unicki nie był Kościołem katolickim! Jeśli tak stawia sprawę polski pisarz uchodzący za specjalistę od zagadnień unijnych, można chyba "usprawiedliwić" niemal powszechne pomieszanie pojęć, jakie wśród ogółu polskiej inteligencji panuje w zakresie Unii...

ką metę, a bywa kłamstwem od początku. Dzieliło nas i dzieli z Ukraińcami wiele, a nie chcemy przyjąć, że na samym dnie niezgody, u korzenia wzajemnych nienawiści jest Unia: Ona to bowiem zrodziła nowoczesny naród ukraiński. Polacy nie chcieli i wciąż jeszcze nie chcą tego przyjąć.

Jan TOKARSKI.

Nie orientując się w obecnej sytuacji prawosławia, a specjalnie w jego dynamice na Sowieckiej Ukrainie, Redakcja „Kultury”, zgadzając się z przewodnią myślą artykułu, tę jego część traktuje jako dyskusyjną. Do tego zagadnienia wrócimy w niedalekiej przyszłości.

Kronika polsko-ukraińska

Skala zainteresowań i stopień poinformowania publicystyki ukraińskiej w dziedzinie spraw polskich oraz stosunków polsko-ukraińskich są niewątpliwie daleko szersze i głębsze zarazem aniżeli zainteresowanie tematyką ukraińską w prasie polskiej. Tak było 20 lat temu i tak jest po dzień dzisiejszy. Brak jakiegokolwiek wspólnego ośrodka publicystyczno-informacyjnego, który by czuwał nad wymianą i współpracą prasową, sprawia, że poza kilkoma nielicznymi specjalistami od zagadnień ukraińskich w publicystyce polskiej na emigracji, polska opinia publiczna nie zdaje sobie sprawy i nic nie wie o wypowiedziach prasy i publicystyki ukraińskiej w sprawach żywo-nych dla obydwu narodów. Kronika niniejsza jest pierwszą próbą przedstawienia w przekroju głosów i wypowiedzi ukraińskich w sprawach polskich, a przede wszystkim w polsko-ukraińskich.

Obrachunki na polu kulturalnym

Niestety, podobnie jak w dziedzinie spraw politycznych, tak też i na odcinku kulturalnym polsko-ukraińskim bardzo mało się dzieje.

Z przyjemnością jednak konstatujemy, że polemika i ton nielicznych głosów dyskusyjnych w tej dziedzinie nie są tak najeżone wzajemnymi impertynencjami i konfliktami, jak w dziedzinie stosunków politycznych. Szereg ciekawych uwag odnośnie polsko-ukraińskiej współpracy kulturalnej ogłasza A. Czerneckij na łamach "Ukraińskich Wistej" (nr 9/1952). Uwagi te powstały w ramach recenzji, którą autor napisał o artykule prof. Lwa w Encyklopedii Ukrainoznawstwa, o polsko-ukraińskich stosunkach literackich. Czerneckij zaznacza, że dopiero wydarzenia po pierwszej wojnie światowej sprawiły, iż pomiędzy Polakami i Ukraińcami rozpoczął się okres obcości kulturalnej, która po dziś dzień panuje. A jednak, w przeszłości stosunki te zupełnie inaczej wyglądały. Przypomina on, że "ostatni najżywszy kontakt między ukraińskimi i polskimi pisarzami zawiązał się i zerwał jeszcze przed pierwszą wojną światową w krakowskiej grupie Wasyla Stefanyka, Bohdana Łepkiego, Wacława Moraczewskiego, Władysława Orkana, Stanisława Przybyszewskiego i innych w "Zyciu" oraz "Młodziej Muzi", której redaktorem Ostap Łuckij był jednocześnie literackim recenzentem, w krakowskiej "Krytyce" Wilhelma Feldmana. Wojna polsko-ukraińska w roku 1918 przerwała te kontakty literackie. Młodzież ukraińska mało studiowała literaturę polską, a Polacy nie zawsze należycie interesowali się nowościami literatury ukraińskiej. Czerneckij przypomina o wzajemnych przenikaniach i bogaceniu się literatury polskiej i ukraińskiej. W pierwszych polskich piśmiennictwach kościelnych jest wiele starosłowiańskich, ukraińskich wyrażen, wielu polskich pisarzy pochodzących z ukraińskiego rodu i wniosło mimowolnie dużo ukraińskich słów do literatury polskiej. Wielu Ukraińców pisywało początkowo swe utwory po polsku, jak Samiło Zirka, Hetman Wyhowskij, Mazepa, Filip Orłyk ("Diariusz") prof. Izidor Szaranewicz, Denys Zabryckij, a później Iwan Franko ("W najmach u sąsiadów"), Antin Kruszelnickij, Mychajło Jackiw i dopiero później, z polskich wydań, robiło się ukraińskie przekłady. W polskim dziennikarstwie pracowało wielu Ukraińców (Jan Dobrianskij, Iwan Wahylewicz, Iwan Franko, Wasyl Szczurat i inni) od 1848 do 1914 r. i oni też wnieśli dużo ukraińskich słów. Czerneckij przypomina książkę Ludwika Kubali, który dał przepiękny portret-charakterystykę Bohdana Chmielnickiego. Przypomina również dzieło Eugeniusza Starczewskiego "Możliwość wladztwa w Polsce na tle dziejów", t. I (1911), w którym jest nie tylko charakterystyka ukraińskich rodzin magnackich, ale i społeczna oraz narodowo-polityczna analiza Kozaczyzny. Autor stoi bez zastrzeżeń na polycjach ukraińskiego państwa niepodległego, które powinno się odłączyć od Polski, tak jak Norwegia od Szwecji. Wspomina o Szczęsnym Herburcie z Dobromila i jego "Rzeczy o narodzie ruskim". Czerneckij wskazuje również na ciekawą i udokumentowaną książkę J. Krajewskiego pod tytułem "Tajne związki polityczne w Galicji", wydaną przez "Słowo Polskie" we Lwowie przed pierwszą wojną światową, z obszernymi i gruntownymi danymi o grupie Markijana Szaszkiwca w seminarium duchownym we Lwowie i jego antagonyzmów — polskich patriotów ukraińskiego pochodzenia oraz o perypetiach rewolucyjnego kółka polskich patriotów — Ukraińców. Czerneckij wylicza prace prof. Marcelgo Handelsmana, gen. Mariana Kukiela, Tadeusza Hołówki, Wilhelma Feldmana, Stanisława Twardzicia (Rozważania Polskie, 1947), Leona Wasilewskiego, które dotyczą spraw ukraińskich lub sprawom tym w ogóle są poświęcone. Wzmiankuje on wielkich sławistów polskich Brücknera — przyjaciela Iwana Franko — i profesora Baudouin de Courtenay, którzy się pozytywnie odnosili do zagadnienia ukraińskiego oraz grupę Stanisława i Konstancy Srozkowskich (Świat Słowiański), Bolesława Limanowskiego i prof. Henryka Biegeleisena, przyjaciół i współpracowników Iwana Franko, którzy mieli wpływ na formowanie się poglądów polskich na sprawę ukraińską. Czerneckij wspomina również o proukraińskich sympatiach Stefana Żeromskiego, który w "Przedwiośniu" i "Kosiku Napierskim" dał wyraz tym uczuciom. Z tego tytułu Żeromski miał mieć później wiele przykrości. Wacław Moraczewski, który był przyjacielem Wasyla

Stefanyka, odegrał wielką rolę w twórczości pisarza ukraińskiego, szlifując jego talent oraz tłumacząc i drukując polskie wydania dzieł Stefanyka. Wdzięczny pisarz ukraiński nazwał Moraczewskiego "swoją drogą w świat". Podając swe uwagi, spisane zresztą wyłącznie z pamięci, bez źródeł i biblioteki, Czerneckij przypomina, że literatura polska przyswoiła sobie w tłumaczeniach dzieła Bohdana Łepkiego, W. Wynnyczenka i Ułasa Samczuka; najlepszym popularnym podręcznikiem literatury ukraińskiej w języku polskim jest Bohdana Łepkiego "Literatura ukraińska" (Kraków, 1930). Kończąc, Czerneckij przypomina, że pokolenie, do którego on należy, uczyło się i zaznajamiało z ukraińskimi problemami ekonomicznymi Ziemi Halickiej nie tylko z prac Ukraińców Włodzimierza Nawrockiego, Ostapa Terleckiego, Iwana Franko, Bohdana Budzinowskiego, Seweryna Danyłowycza, W. Lewańskiego, ale i z polskich prac ekonomicznych Szczepanowskiego ("Nędza Galicji"), Włodzimierza Gumpłowicza, prof. Bujka, dr Caro dr Hermana Diamanda i inn. Dalej publicysta ukraiński podkreśla, że Daszyński dał polskim robotnikom i wychował nasz Iwan Franko, a myśmy dali polskiej kulturze i sztuce wiele ukraińskich talentów, jak malarza batalistę Juliusza Kossaka, śpiewaka Adama Dientura i innych, Polacy zaś nam artystkę Baczyńską (przy utworzeniu ukraińskiego teatru na Ziemi Halickiej w roku 1864), później Płoszczewskiego i Morską. Ukraińcy dali Polakom i marszałka Rydzasńskiego z rodziny Babiaków w Brzeżanach.

Dzieło Henryka Sienkiewicza "Ogniem i Mieczem" było wielokrotnie już przedmiotem gorących polemik ze strony historiografii i publicystyki ukraińskiej. W jubileuszowym dla Ukrainy roku 1948, w trzeciesiątą rocznicę rewolucji pod przewodnictwem Bohdana Chmielnickiego, znany pisarz ukraiński Jurij Kosacz wydał nową powieść historyczną "Dzień Gniewu", poświęconą epoce Chmielnickiego. Krytyk ukraiński Szewczuk, uczynił na łamach "Ukraińskich Wistej" (nr 1/2, 1949) próbę porównania dzieł Sienkiewicza i Kosacza. Dając raz jeszcze charakterystykę sienkiewiczowskiego "Ogniem i Mieczem", Szewczuk przypomina, że pisarz polski, pisząc swe dzieło, postanowił przeprowadzić porachunki z ukraińską rewolucją ludową 1648 r. Dla tego "rewolucja przestała u Sienkiewicza być rewolucją", a stała się "ślepych buntem ślepej czerni", dzikich, niezorganizowanych elementów, które rujnowały przedmurze zachodniego rycerstwa na wschodzie Europy — polską Rzeczpospolitą — w imię pomsty i grabieży. Sam Chmielnicki, w rysunku Sienkiewicza, gorze tylko pomstą za krzywdę osobistą. Inaczej wygląda u Sienkiewicza strona polska! rycerze, mężowie stanu, przedstawiciele i bohaterowie kultu honoru i Rzeczypospolitej. Powieść Sienkiewicza nie była powieścią o walce między Ukrainą i Polską. W książce tej nie ma ani Ukrainy, ani Polski. Patos państwa, choć tak ważny dla autora, został zagłuszony przez patos stany. Powieść Sienkiewicza, to powieść o szlachcie polskiej. Oto ograniczoną dzieła, nawet jeśli się je rozpatruje tylko jako polski pamflet agitacyjny. Duch dzieła nie był korzystny dla polskiej państwowości. Ale dla nas ważna jest zdecydowana tendencja dzieła przeciwko państwowości ukraińskiej. Dla tego potrzebna nam była odpowiedź na powieść Sienkiewicza. Odpowiedź nie dziennikarskim artykułem. Odpowiedź nie powieściami typu powieści Kaszczenka, które w wielkiej mierze po prostu wywraçały tęzę Sienkiewicza: "Wy powiadacie, że Polacy dobrzy, a Ukraińcy — nie, otóż, właśnie na opak..." Do słusznego rozwiązania sprawy zbliża się Jurij Kosacz swą powieścią "Dzień Gniewu"... Minęło 64 lata¹⁾, zanim mogła się ukazać taka odpowiedź. Lata te były wypełnione pracą historyków ukraińskich, z Hruszewskim, a zwłaszcza Lipińskim, na czele, którzy rekonstruowali dobę 1648 roku. Wypełniona ona była — i to jest szczególnie ważne — ruchem ukraiń-

1) od ukazania się "Ogniem i Mieczem" w roku 1884.

skiej myśli filozoficzno-socjologicznej, która pozostawiła daleko w tyle — oczywiście w swych czołowych przejawach — wszelki regionalizm, ten, który idealizuje "Chochła-maznicę", i ten, który apoteozuje "rycerza polskiego" z jego niby to od Boga daną misją kulturalną na kresach wschodnich. Bo regionalizm szlachecki, to tylko druga strona regionalizmu chłopskiego. A idzie przecież o naród, o ludzkość... W powieści Kosacza widzimy ruch 1648 roku jako ruch ogólnonarodowy. Kosacz w swojej powieści pokazał, że rewolucja Bohdana Chmielnickiego była ważnym ogniwem w ówczesnej walce ludzkości o wyzwolenie narodu z pęt stanowych, w ówczesnej walce ludzkości o sprawiedliwość narodową, ściślej — o sprawiedliwość narodowo-społeczną. Nie potrzebuje on malować Polaków czarnymi farbami (jak to nieraz czynił Sienkiewicz z Ukraińcami). I tak widzimy, że polskie państwo stanowe owych czasów, które wyśpiewał Sienkiewicz, skazane jest na rozkład i śmierć. Nie powiązało ono swych dążeń narodowych z dążeniami ludzkości. I przez to, tylko przez to, zaprzeczona została obecnie koncepcja Sienkiewicza. Ogień i miecz wojska stanowego nie powstrzymają armii wolności".

W drugim zeszyte periodyku ukraińskiego "Ukraina" za rok 1949, znany sławista ukraiński, prof. Jurij Szerech, (którego essay "Młodzież Czwartej Charkowa" drukowany był w "Kulturze" nr 1/1951), autor wielu prac o składni języków słowiańskich oraz z zakresu historii literatury słowiańskich, piastujący dziś profesurę języków słowiańskich na uniwersytecie w Lund w Szwecji, opublikował studium o języku polskim na Ukrainie w XVI, i XVII. stuleciu. Jest to fachowa praca, poświęcona pamięci przedwcześnie zmarłego sławisty francuskiego Antoine Martel i jego dziełu o języku polskim na Ukrainie i Białejrusi²⁾.

Szerech, uznając w całej rozciągłości erudycję, całkowitą bezstronność i analityczność sławisty francuskiego, nie może przyjąć jednak bez zastrzeżeń wszystkich tez Martela, który twierdzi, że począwszy od XVII stulecia, język polski zaczyna się coraz silniej szerzyć w Ukrainie i Białorusi, wypierając we wszystkich dziedzinach panujący tam dotąd, ówczesny język. Martel uważa, że proces ekspansji języka polskiego na Ukrainie i Białorusi odbywał się zupełnie bez użycia środków presji, ponieważ ówczesna kultura grecko-cerkiewno-słowiańska pozostawała na uboczu epoki odrodzenia, tak bujnie rozwijającej się w Polsce Reja i Kochanowskiego. Prof. Szerech nie godzi się z tą tezą i twierdzi, że ma ona dwa słabe punkty. Po pierwsze, Martel rozpatruje zbyt statycznie ówczesny literacki język Ukrainy i Białorusi, nie widząc w nim walki rozmaitych kierunków. Po drugie, nie docenia on faktu, że ucisk językowy może być prowadzony nie tylko przy pomocy bezpośrednich środków administracyjnych (w rodzaju rosyjskich zakazów używania języka ukraińskiego z 1863 lub 1876 roku), ale również — i to z daleko większym sukcesem — środkami pośrednimi. Szerech dowodzi, przytaczając wiele źródeł i przykładów, że język Rusi Kijowskiej, będący zresztą wspólnym językiem literackim i wspólnym narzędziem porozumienia dla Ukraińców, Białorusinów, Litwinów i Mołdawian, nie był martwym i zastygłym, ale stale się rozwijającym językiem i czerpiącym coraz więcej elementów (ukraińskich w Kijowie i Ziemi Halickiej z Wołyniem, rosyjskich w Nowgorodzie i Suzdalu) z miejscowych dialektów. Według Szerecha teza Martela, według której wszystkie elementy wspólne z językiem polskim, jakie znalazł on w tekstach XVI-XVII stulecia są polonizmami, nie jest całkowicie słuszna, gdyż w mowie staropolskiej istniało wiele elementów ukraińskich z XI.-XIV stulecia, kiedy to duchowa ekspansja Ukrainy docho-

²⁾ La langue polonaise dans les pays ruthènes, Ukraine et Russie Blanche 1569-1667. Avec une préface par André Mazon, professeur au Collège de France, Lille, 1938.

dziła do Krakowa, Sandomierza i Lublina. Przytaczając szereg przykładów, Szerech twierdzi, m. in., że również w staropolskiej pieśni "Bogurodzica" są słowa i elementy, spokrewnione bardziej z ukraińskimi niż z polskimi. Warte uwagi są też, zdaniem Szerecha, glosy "Psaite-rza Floriańskiego". Polscy uczeni uznają peryferyjne wpływy języka ukraińskiego na polski, ale dopiero w wieku XVI, co zdaniem Szerecha, nie jest zgodne z rozwojem historycznym, gdyż w owym czasie Polska, przeżywająca rozkwit swej kultury, stanowi siłę ekspansywną. Wówczas zaczyna się gorączkowy okres "zeszlachcenia" języka polskiego i oczyszczania go ze wszystkiego, co było "chłopskie", — nie tylko obce, ale i swoje. A że mowa ukraińska zdawała się być "chłopską", więc, oczywiście, w języku polskim pozostały już tylko te elementy pochodzenia ukraińskiego, które nie uważane były już za ukraińskie. Mimo to zdaniem Szerecha, w mowie polskiej pozostało wiele ukraińszczyzn.

Jurij Szerech odrzuca również tezę Martela, jakoby ukraińskie koła kulturalne dobrowolnie zrzekły się swej mowy, ponieważ była ona martwa, a polska kultura renesansowa zachwycała swą wyższością. Istotnie, kultura grecko-bizantyńska chyliła się ku upadkowi, podczas gdy kultura polska przeżywała rozkwit. Ale ówczesny język Ukrainy — Białorusi nie był martwy, lecz rósł i rozwijał się. Nie było więc danych do zarzucenia swej mowy, a najwyżej do zapożyczenia polskich elementów językowych. Że stało się inaczej, sprawiła przede wszystkim bezpośrednia lub pośrednia presja Polski. Szerech wymienia jako najważniejsze elementy nacisku systematyczne podrywanie egzystencji tych warstw społecznych na Ukrainie, które mogły być nosicielami nowo powstającego języka na podstawie syntezy starego i żywych dialektów. Polityka polska w stosunku do dworu, miasta i duchowieństwa sprawiła, że poderwane zostały społeczne podwaliny pod normalny rozwój języka literackiego na Ukrainie. Uwzględniając konsekwentne kompromitowanie mowy "ruskiej" jako prostackiej w dziełach polskich polemistów typu Skargi ("Mądrych łacinników"), jak ich nazywa Iwan Wyszeński, twierdzi Szerech, można sobie wyobrazić "atmosferę zachwytu językiem polskim i praktycznej wygody w używaniu go i podcinania korzeni wszystkiemu, co mogłoby temu się przeciwstawić". W tej sytuacji, ukraińskie koła cerkiewne zaczęły gorączkowo powracać do mowy cerkiewno-słowiańskiej, usiłując polsko-łacińskiej tradycji kulturalnej przeciwstawić tradycję grecko-słowiańską. "Dialektyka tego powrotu przyniosła tragiczne następstwa" — pisze Szerech — "nasi cerkiewno-słowianozatorzy, pragnąc ratować swą kulturę przed polskim pochodem, w rzeczywistości sami sprzyjali ostatecznemu przerwaniu procesów normalnego rozwoju języka literackiego, sprzyjali wysuszeniu języka literackiego i tym samym, wbrew własnej woli, przysługiwali grunt do dalszego wzmocnienia polonizacji". Ale, mimo to, sprawa z ukraińskim językiem literackim nie wygląda tak tragicznie, zdaniem Szerecha, jakby można było myśleć, przeczytawszy dzieło Martela. "Polonizacja miała wówczas mimo wszystko charakter nie ogólnonarodowy, ale stanowy. Ukraińskie doły społeczne wykazały wielką odporność w stosunku do języka polskiego (przyjmując oczywiście wiele zapożyczeń ze słownictwa polskiego). Sam Martel rejestruje mimochodem, że ukraińskie kozactwo i chłopstwo nie tylko zachowało swą mowę, ale nawet "rozpuściło" w sobie polskich kolonizatorów-chłopów na swym terytorium. A najgłośniejsze, że na tę dobę przypadła olbrzymia swymi rozmiarami kolonizacja środkowej, wschodniej i częściowo południowej Ukrainy, która doprowadziła wreszcie do wytworzenia tam nowych dialektów ukraińskich o syntetycznym charakterze, z podziwu godną jednolitością typu językowego, od Berdyczowa do Gór Kaukazkich i od Lubnów do Morza Czarnego. Otóż, jednolitość i syntetyczność językowego typu tych dialektów dała możliwość nawet bez ukraińskiego "dworu" i wielkiego miasta na początku XIX wieku wytworzenia na ich podstawie nowego ukraińskiego języka literackiego".

Martel nie mógł wykorzystać literatury, wyjaśniającej wiele zagad-

nień z tej dziedziny, jak historycznych prac Lipińskiego, historii ukraińskiej literatury M. Hruszewskiego, językoznawczych prac Stanga, Jaroszenka, Dymianczuka, Kuraszkiwicza i innych — podkreśla Szerech, uznając jednocześnie wartość wkładu, uczynionego przez sławistę francuskiego, a m. in. udowodnioną tezę, że obrońcy prawosławia nie zawsze bronili swej mowy, a zwolennicy katolicyzmu lub unii nie zawsze byli czynnikami polonizacji. "Katolicyzm nie szedł na Ukrainę z zamiarem polonizowania Ukraińców. Jeśli stawał się on narzędziem polonizacji, to nie świadomą postawą, ale pod presją "skomplikowanych i splątanych miejscowych stosunków".

Wreszcie kilka słów o sprawach kościelno-religijnych. "Chrystiańskij Hołos" (nr 5/1951) użala się w artykule "A Polacy zawsze swoje...", że jedna gazeta ("Ostatnie Wiadomości") polska pisze o "grecko-ruskiej metropolii, mając na myśli "ukraiński kościół grecko-katolicki", inna zaś ("Słowo Katolickie"), zdając sprawozdanie z uroczystości kościelnych w Rzymie, zalicza archimandrytę O. O. Bazylianów O. prof. dra T. Hałuszczyńskiego, jako "osobę pochodzenia polskiego do przedstawicieli Polski". "Chrystiańskij Hołos" ma również O. pralatów Walerianowi Meysztołowiczowi za złe, że publikując w "Osservatore Romano" artykuł o stosunkach Polski z Rzymem i pisząc m. in. wiele o Unii Brzeskiej, ani słowem nie wspomina, że była to unia Kościoła Ukraińskiego i że wśród jej meczenników byli i są Ukraińcy.

W związku z tym, dostało się też i "Kulturze". Redaktor paryskiej "Ukrainy" (nr 5/1951) wspomina w kronice redakcyjnej o "wzruszającym" artykule W. Zylńskiego na temat "likwidacji Unii religijnej w Europie środkowo-wschodniej, szczególnie na Ziemi Halickiej i Ukrainie Karpackiej" po czym dodaje:

"Tylko na próżno czytelnik będzie szukał w artykule polskiego publicyści nawet nazwy Ukraińców: zniknęli oni i czytelnik się nie dowie ze wspomnianego artykułu, kimże właściwie byli ci wierni-uniaci na Ziemi Halickiej i na Zakarpaciu... Ponadto Ziemia Halicka uparcie nazywana jest anachronicznie "Małopolską Wschodnią"... Prawda, że w dawnej Polsce "Korona" dzieliła się na dwie prowincje: Wielką i Małą Polskę i że do ostatniej należała również Czerwona Rus (Województwo Ruskie), do której wchodziły ziemie: Lwowska, Przemyska, Sanocka, Halicka i Chełmska. Ale czy warto dziś, w roku 1951, aby redakcja poważnego czasopisma polskiego, która oczywiście dobrze zna wyżej wspomniane fakty, wyciągała z archiwów "Małopolskę Wschodnią" nazwę, która nabrała drażliwego charakteru i którą Ukraińcy odrzucają? Wydaje się nam, że taki organ jak "Kultura" nie musi w słuchując się w głosy "ulicy". Każda "ulica", polska czy ukraińska, w zasadzie swej tylko szkodzi sprawie stosunków polsko-ukraińskich, sprawie, od załatwienia której zależy przyszłość Europy Wschodniej".

Zwiększona aktywność Ukraińców na terenie amerykańskim

Ukraińskie życie polityczne na emigracji podobne jest w tym do polskiego, że istnieje w nim również trójpodział. Obok obozu Ukraińskiej Rady Narodowej z jej komitetem wykonawczym, wykonującym praktycznie funkcje rządu emigracyjnego, istnieje jeszcze ośrodek Ukraińskiej Głównej Rady Wyzwolenczej (UHWR) oraz obóz skrajnych nacjonalistów Stefana Bandery, idący często w polityce emigracyjnej wspólnie z konserwatywną grupą "hetmańców" młodego Skorpadzkiego. Na tym kończy się jednak analogia, gdyż ukraiński ośrodek rządowy reprezentuje o wiele szerszy wachlarz partyjny niż polski rząd emigracyjny w Londynie. Do obecnego ukraińskiego rządu emigracyjnego wchodzi bowiem socjaliści, trzy różne ugrupowania liberalno-demokratyczne, koordynujące swą działalność w ramach tzw. Bloku Stronniectw Demokratycznych oraz umiarkowani nacjonalisci grupy płk. Melnyka. Obecnie toczą się pertraktacje w sprawie przyję-

cia do Ukraińskiej Rady Narodowej, grupy chłopskiej Dołenki i Dubrowskiego o tasiemcowej nazwie Związek Ziem Zjednoczonej Ukrainy — Partia Chłopska.

W ciągu ostatnich lat teka premiera spoczywała w rękach lidera socjalistów ukraińskich, prof. Izaaka Mazepy, który pod koniec ub. roku, na skutek konfliktów między poszczególnymi partiami tworzącymi gabinet, podał się do dymisji. Ukraiński prezydent na emigracji, Andrzej Liwycycki, upoważnił do utworzenia nowego gabinetu znanego z okresu przedwojennego parlamentarzystę ukraińskiego z ramienia ukraińskiej partii demokratycznej UNDO, dr Stefana Barana. W połowie stycznia br. dr Baran utworzył nowy gabinet, do którego, prócz niego, wchodził jako zastępcy inż. D. Andrijewskij, wykonujący zarazem obowiązki zastępcy kierownika resortu spraw zagranicznych. P. Andrijewskij reprezentuje umiarkowanych nacjonalistów grupy płk. Melnyka. Drugim zastępcą premiera, a zarazem ministrem prasy i informacji jest Mykoła Liwycycki, należący do demokratycznego Ukraińskiego Związku Narodowo-Państwowego. Kolejny zastępca dr Barana, p. Mychajło Woskobijnyk, był do niedawna wydawcą gazety "Ukraiński Wisti" w Ulmie i jest sekretarzem Ukraińskiej Rewolucyjno-Demokratycznej Partii, grupującej w swych szeregach wyłącznie emigrację z Ukrainy Sowieckiej. Dalszym zastępcą premiera jest również dobrze znany parlamentarzysta przedwojenny dr Stefan Wytwickij, należący do władz naczelnych UNDO. Dr Wytwickij jest ministrem spraw zagranicznych i w tym charakterze został wydelegowany, przed kilkoma miesiącami, na stały pobyt do St. Zjednoczonych, gdzie zdołał, według ukraińskich informacji prasowych, rozwinąć już dość szeroką działalność, zdobywając sobie przychylny głosy w prasie amerykańskiej. Kierownikiem resortu spraw wewnętrznych jest przedstawiciel nowej emigracji z URDP inż. Wasyl Hryhorenko z Kijowa. Sprawy gospodarcze powierzono nadal socjaliście z USP, inż. Spiridonowi Dowhałowi, podczas gdy resort wojskowy prowadzi w dalszym ciągu przedstawiciel OUN grupy Melnyka, gen. Mykoła Kapustianskij. Jako zupełnie nowi ludzie weszli dr Mykoła Chrobak, przedwojenny działacz UNDO, który objął resort finansów oraz prof. Aleksander Jurczenko, naukowiec-prawnik, sprawujący obecnie funkcje sekretarza stanu w nowym gabinecie dr Barana.

Z ogłoszonych informacji wynika, że 8 członków nowego gabinetu pochodzi z środkowo-wschodnich ziem Ukrainy, a 3 z Ziemi Halickiej; pod względem wyznania 8 jest prawosławnych, 3 grecko-katolików.

Nowy premier ukraińskiego rządu emigracyjnego należy do seniorów ukraińskiego życia politycznego. Urodził się on 25.I.1879 roku w chłopskiej rodzinie ukraińskiej i studiował prawo, filozofię, nauki ekonomiczne i historię na uniwersytetach lwowskim, berlińskim i wiedeńskim. Działalność polityczną rozpoczął dr Baran w Ukraińskiej Partii Demokratycznej, należąc do jej władz naczelnych, następnie zaś pracował w kierownictwie Ukraińskiej Partii Pracy i wreszcie w Ukraińskim Zjednoczeniu Narodowo-Demokratycznym (UNDO), któremu przewodniczył dziś na emigracji. W okresie pierwszej wojny światowej dr Baran, należąc do Głównej Rady Ukraińskiej, a później w roku 1918, do rządu Zachodnio-Ukraińskiej Republiki Ludowej, jeździł w specjalnej misji dyplomatycznej do rządów Turcji i Bułgarii. Po pierwszej wojnie światowej dr Baran był adwokatem w Tarnopolu i od roku 1928 do 1939 — posłem na Sejm z ramienia UNDO. Jako parlamentarzysta, dr Baran zdobył sobie szczególnie popularność występując w Sejmie przeciwko niszczeniu ukraińskich cerkwi prawosławnych i nawracaniu prawosławnych Ukraińców gwałtem na wiarę rzymsko-katolicką. W czasie okupacji niemieckiej, dr Baran powrócił do praktyki adwokackiej. Na emigracji był członkiem komitetu reorganizacji ukraińskiego Centrum Państwowego. Od chwili zaś utworzenia Ukraińskiej Rady Narodowej w r. 1948, przewodniczącym komisji prawniczej. Od czerwca 1949 r. sprawował funkcje jednego z zastępców przewodniczącego Rady Narodowej.

Wraz ze zmianą gabinetu, nastąpiły również zmiany w obsadzie personalnej prezydium Ukraińskiej Rady Narodowej. Dotychczasowy przewodniczący, prof. Borys Iwanycki otrzymał sześciomiesięczny urlop zdrowotny, a jego urząd sprawuje jako p.o. znany pisarz i publicysta Iwan Bahrianyj.

W związku z wydelegowaniem kierownika resortu polityki zagranicznej dr Wytwickiego do USA, można zanotować w ogóle wzrost aktywności Ukraińców w Ameryce. Nie dawno ukonstytuowało się tam Amerykańsko-Ukraińskie Towarzystwo im. Wilsona. Na czele towarzystwa stoi b. poseł Ukrainy w roku 1918 w Berlinie, dr Arnold Margolin, który od lat jest adwokatem w Waszyngtonie. Na organizacyjnym posiedzeniu nowoutworzonego towarzystwa był obecny również obecny sekretarz Komitetu Amerykańsko-Żydowskiego, p. Schneiderman.

BEO

"ORZEŁ BIAŁY"

TYGODNIK POLITYCZNO-LITERACKI
WYDAWCA: GRYF PUBLICATIONS LTD.

169/171, Battersea Church Road, London S.W.11
Tel. BAttersea 0879

ADRES REDAKCJI: c/o R. PIESTRZYŃSKI,
31A, Dean Road — London S.W.2.

Przedstawicielstwa w Austrii, Belgii, Francji, Holandii, Norwegii, Szwajcarii, Szwecji, Włoszech, Argentynie, Kanadzie, Libanie, Pld. Afryce, St. Zjednocz.

■ CENA EGZEMPLARZA:

WE FRANCJI: 25 franków fr. — W BELGII: 5 franków belg.
W WIELKIEJ BRYTANII: 1/-

■ P R E N U M E R A T A:

WE FRANCJI: miesięcznie 100 fr. fr.; kwartalnie 450 fr. fr.
W BELGII: miesięcznie 20 fr. belg., kwartalnie 60 fr. belgijskich.
W WIELKIEJ BRYTANII: miesięcznie 4/4, kwartalnie 12/-,
rocznie 45/-.

■ PRENUMERATE PRZYJMUJĄ:

WE FRANCJI: Libella, 12, rue St. Louis en l'Île, — Paris IV,
nr konta pocztowego Paris cc 565.150.

W BELGII: J. Korab Brzozowska-Csaky, 132, Av. Maréchal
Joffre, Bruxelles-Forest; nr konta pocztowego 7315.20.

W ARGENTYNIE: Składnica Książki Polskiej, Av. Leandro
N. Alem. 641, Buenos Aires.

O G Ł O S Z E N I A: (za 1 cal przez 1 łam = £ 1)

Sprawy krajowe

Umowa kulturalna

Propagandowe pismo ilustrowane, wydawane przez "Towarzystwo Krzewienia Pokojowych i Dobrosąsiedzkich Stosunków z Polską" (Deutsch-Polnische Gesellschaft für Frieden und Gute Nachbarschaft) w Berlinie wschodnim, omówiło w jednym z ostatnich numerów szczegóły umowy kulturalnej, zawartej między Berlinem wschodnim a Warszawą dnia 8 stycznia bież. roku. Rokowania prowadzone były przez delegację pod kierownictwem: ze strony niemieckiej Helmuta Holzauera, przewodniczącego państwowej komisji dla spraw sztuki, a ze strony polskiej Henryka Golańskiego, wiceministra sztuki i kultury. Umowa rozciąga się na całość stosunków kulturalnych, przewiduje celem wykonania poszczególnych postanowień, utworzenia komisji mieszanej oraz dwóch podkomisji w każdym z krajów, dalej utworzenie katedr oraz lektoratów języka polskiego w Niemczech wschodnich, a niemieckiego w Polsce, przyznawania stypendiów, wymianę doświadczeń, wizyty naukowców itp. Autor artykułu podkreśla, że w umowie zwrócono szczególną uwagę na sprawy szkolnictwa i rozwodzi się nad wzajemnymi korzyściami, jakie z tego tytułu są spodziewane. M. in. grupy nauczycieli i wychowawców oraz kierowników i zarządców administracyjnych zakładów szkolnych, złożone z 10-15 osób, będą zapraszone z Niemiec wschodnich do Polski i wzajemnie na dwutygodniowy pobyt, celem wymiany doświadczeń. Podobne przedsięwzięcia będą również organizowane w innych dziedzinach życia kulturalnego.

W nowych podręcznikach szkolnych mają być szerzej uwzględniane osiągnięcia oraz życiorysy wybitnych postaci obu krajów.

Również nauka języka niemieckiego ma być rozszerzona w szkołach polskich. Co się tyczy nauki języka polskiego w szkołach wschodniopolskich, to w tej dziedzinie, pisze autor artykułu, zrobiono zaledwie początek. "Dopiero z początkiem ostatniego roku szkolnego, od 1 września 1951, można było rozpocząć naukę języka polskiego w sześciu szkołach średnich (Oberschulen) Niemieckiej Republiki Demokratycznej i w demokratycznym (tj. sowieckim) sektorze Berlina. Na podstawie dotychczas znanych wyników, pozytywnie ocenić można prace nad nauczaniem języka polskiego w następujących szkołach: Kant-Oberschule (Berlin-Lichtenberg), Goethe-Oberschule (Rostok), Herder-Oberschule (Lipsk), Thee-Neubauer-Oberschule (Erfurt), Humboldt-Oberschule (Magdenburg) oraz Oberschule w Görlitz.

Niestety, nowy podręcznik do nauczania języka polskiego nie całkowicie odpowiada wymaganiom, tak że w najbliższym czasie należy poczynić poprawki. Aby obustronne wysiłki celem polepszenia nauki języka sąsiedzkiego były skuteczniejsze, opracowane będą wspólnie słowniki niemiecko-polskie i polsko-niemieckie, jak również nowe podręczniki do nauki polskiego i niemieckiego".

WIĘZIENIE WROCŁAWSKIE

Na początku bieżącego roku było w więzieniu wrocławskim około 1400 więźniów, z czego tylko 200 skazanych za przestępstwa pospolite. Pozostali to "granicznicy" tj. skazani za próbę przekroczenia granicy, zwani również "andersowcami", oraz skazani za "propagandę" i inni polityczni. Więźniowie nie pracują, spacerów nie ma. Dla "graniczników" kary więzienne są podwójne. Wiek więźniów: przeważnie 16-30 lat.

Żyżwienie: rano i wieczorem pół litra "kawy", na obiad przeważnie "boćwinka", brukiew, buraki pastewne, kapusta kiszona. Chleba 400 gr. dziennie. Mięso, w ciągu ostatnich 2 lat, dano więźniom bodaj tylko raz.

Oto jedna z cel: rozmiary 2x3 metry. Okienko u góry 1x0,70 m. W tej celi przebywało 8 więźniów. Do spania układali się jeden obok drugiego bokiem, co pewien czas jeden z nich komenderował "w tył zwrot".

Łażnia raz na dwa miesiące, opieka lekarska niewystarczająca, w aptece nie ma prawie żadnych lekarstw poza szarą maścią, plastrami itp. Odwiedziny raz w miesiącu na 10 minut. Książki otrzymywali tylko "pospolici". Inni nie dostają ani książek, ani gazet. Ale wiadomości o świecie mają przez nowych więźniów, którzy wciąż przychodzą.

Bicie i znęcanie się nad więźniami jest na porządku dziennym. Bicie się nie tylko w śledztwie, ale i w więzieniu pod ładą jakim pretekstem. Bicie odbywa się najczęściej w "kiblowni", podczas bicia polewa się więźniów wodą i przykrywa kocem. Nazwiska funkcjonariuszy więzienia, celujących w znęcaniu się nad więźniami, oficerów i podoficerów UB, są nam znane.

A oto więzienna piosenka:

Wrocławskie mury, więzienne kraty
I za kratami — młodzieży kwiat,
Bledną ich twarz, wzrok ich ponury,
Za chwilę już wezwie ich kat.

Wtem słyhać kroki, głośne stukanie
I głos klucznika odzywa się:
"Ty graniczniku, chodź na badanie,
Na dole los twój rozstrzyga się".

Schodzą po schodach, drzwi są otwarte
I przy stoliku kaci już są.
Kaci się śmieją i popychają:
"Akowska hordo oddaj broń".

Oddaj automat i amunicję,
Wydad kolegów, zwolnimy cię;
Jak z nami będziesz ty współpracował,
Dowództwo wynagrodzi cię.

Stoję przed nimi jak obłąkany.
Co ci oprawcy ode mnie chcą?
Stawiam pytanie — dostanę lanie
I we drzwiach palce gniotą mi.

Wracam do celi mocno pobity,
Gromada kolegów otacza mnie.
"Zróbcie mu miejsce na tym postaniu
Niech ten męczennik odpocznie".

Ta piosenka, śpiewana przez więźniów wrocławskich, starczy za sprawozdanie.

NASTROJE WSRÓD ROBOTNIKÓW

W fabrykach propaguje się obecnie tzw. rewolucyjne podejście do pracy, którego pilnują delegaci związków zawodowych. Zwalcza się "kumoterstwo, co oznacza, że rząd i partia usiłują przeciwdziałać wytwarzaniu się między robotnikami więzów koleżeńskich zażyłości. Do tego celu służą najrozmaitsze środki — jak używanie "wtyczek" czy też częste przenoszenie na inne miejsce pracy. Od niedawna, przy każdym zakładzie pracy utworzono specjalne referaty, podlegające UB. Rozmówcy nasi mieli możliwość zapoznania się np. z okólnikami w tej sprawie, wydanymi przez Ministerstwo Lekkiego Przemysłu. Zadaniem owych referatów jest, jak mówią, "pilnowanie wszystkich i wszystkich". Fabryki muszą również delegować po kilku pracowników do utworzonych w sierpniu 51 r. przy prokuraturach wydziałów do walki ze spekulacją. Ponieważ ochotników do tych zadań w ogóle nie ma, więc delegaci są wyznaczani. W każdym zakładzie pracy są również "korespondenci" prasy komunistycznej.

Mimo to wszystko, wśród robotników panuje solidarność i donosić cięstwo zdarza się rzadko. Wobec nowo przybyłych, czy przenoszonych z innych fabryk, istnieje coś, co można nazwać "wewnętrzny wywiad" robotniczym i wkrótce wszyscy już wiedzą z kim mają do czynienia. Jeżeli jest to człowiek, uważany za niegodnego zaufania, wówczas "uprzykrzają mu życie". Są i takie wypadki, że łatwego człowieka koleżdy "przerabiają". Nastroj ogólny wśród robotników — zdecydowanie wrogli do reżimu. Przynależność do PZPR (przeciętnie ok. 80% załóg) o niczym nie świadczy: jest to tylko forma zabezpieczenia sobie możliwości pracy. Rozmówcy nasi twierdzą, że w znanym im fabryce, gdzie 90% załogi należy do partii, rzeczywistych komunistów jest może pół procent, a i to nie jest pewne. Są to przeważnie "marionetki, które grają komedię".

Jedną z form oporu robotniczego wobec natarczywej propagandy komunistycznej to "młczące zebrania", na których, po referacie, nie ma żadnych zapytań ani dyskusji. Partia wobec tego "przydziela" te pytania. Od sierpnia ub. roku zauważono, że oprócz prelegenta przychodzi jeszcze ktoś inny, w celu wybadania nastrojów. Często z zebrania propagandowych i masówek robotnicy po prostu uciekają, tak że organizatorzy muszą zamykać drzwi na klucz. Na imprezy reżimowe nie ma ochotników, przeważnie wszyscy są wyznaczani, robotnicy odmawiają również noszenia transparentów — często tłumacząc, że muszą iść do kościoła na mszę. I w rzeczywistości kościoły są przepełnione; nabożeństwo jest dzisiaj manifestacją patriotyczną.

MŁODZIEŻ

Rozmówcy nasi są zdania, że młodzież polska nie jest jeszcze skomunizowana. Jest natomiast nieco "zgulbiona", bo nie otrzymuje odpowiedzi na interesujące ją pytania. Z tego punktu widzenia odnosi się dość krytycznie np. do programów radiowych "Głosu Ameryki" pt. "Razem młodzi przyjaciele". Myśl jest dobra — mówią — bywają nawet dobre audycje, ale audycje te są "zbyt propagandowe", "za dużo wymyślania, a za mało nauki".

BERLIŃCZYK.

Najnowsza historia Polski

Sprawa Brauweiller

Upalnej wiosny roku 1944 zamaskowane przed wzrokiem okolicznych mieszkańców więzienie śledcze Gestapo w Brauweiller pod Kolonią zapełniło się polskimi jeńcami wojennymi. Przybywano pojedynczo lub grupkami: oficerowie z obozów oficerskich tzw. "Oflagów", w większości jednak, i to ponad sto osób, podchorążowie z obozów strzeleckich tj. "Stalagów" wraz z grupą podoficerów W. P.

Wynik wsypy Armii Krajowej na terenie zachodnich Niemiec spowodował energiczną akcję ze strony Gestapo, nie liczącego się zupełnie z obowiązującą Konwencją Genewską dotyczącą jeńców. Aresztowań dokonało Gestapo na terenie obozów jeńческих, decyzją OKW oddając ich pod swoje rozkazy w charakterze "Schutzhatling'ów". Dotąd praktykowano, iż wszelkie badania jeńców przekraczających przepisy niemieckie przeprowadzała obozowa "Abwehr'a" wymierzając przewidziane kary dyscyplinarne, przeważnie aresztu wojskowego.

W danym wypadku więc szło o sprawę większej wagi, skoro samo Gestapo tak gorliwie się nią zajęło. Chodziło o zlikwidowanie działalności konspiracyjnej Armii Krajowej na terenie Niemiec, prowadzonej przez jeńców wojennych.

Sytuacja na odcinku polskim w obozach strzeleckich w odróżnieniu od jeńców innych a jakże licznie reprezentowanych narodowości, wyglądała w ten sposób, że inteligencji naszej było bardzo mało. A ta, która była, to w większości podchorążowie. Jakaż wielka różnica choćby pomiędzy nami a jeńcami francuskimi, wśród których procent inteligencji był duży. Książka, wolne zawody, nauczyciele itd. co odbijało się korzystnie w różnych przejawach życia obozowego jak teatr, biblioteka, kaplica, czytelnia, orkiestra w oparciu zresztą o specjalne możliwości, których my, Polacy, byliśmy zupełnie pozbawieni.

Warunki pobytu w obozie strzeleckim różniły się zasadniczo od warunków panujących w obozach oficerskich. Przede wszystkim były, powiedzmy, mniej "komfortowe", z obowiązkiem pra-

cy fizycznej i słabszą dyscypliną obozową. Sytuacja ta umożliwiała jeńcom poruszanie się w terenie choćby przez wyjazd na pracę lub zmianę miejsca pracy tzw. komenderówki. Pobyt jeńca na pracy pozwalał w praktyce na komunikowanie się z robotnikami cywilnymi, co wprawdzie było zakazane i karane, lecz przy zastosowaniu środków ostrożności stosowane. Jeniec był zaopatrywany za pośrednictwem Męża Zaufania obozu w produkty bezcenne w wygłodzonych Niemczech, przysyłane przez Czerwony Krzyż w Genewie i liczne polskie instytucje zagranicą. Papierosy, czekolada, kawa prawdziwa, czy żywność w konserwach wobec łatwego przekupstwa wartowników niemieckich — niezmiernie ułatwiały zadanie.

Wykorzystując więc te specjalne możliwości Armia Krajowa rozwinęła szeroko zakrojoną akcję konspiracyjną, która na terenie zachodnich Niemiec do roku 1944 działała sprawnie.

W każdym "Stalagu" znajdowała się Komórka Centralna Armii Krajowej, składająca się z reguły z 5-ciu jeńców funkcyjnych, to znaczy takich, którzy byli stale w obozie i pracowali w biurach administracji obozowej. By jednak było można pracować w obozie i w ten sposób być zwolnionym z obowiązku wyjazdu na pracę fizyczną — trzeba było nie mieć sprzeciwu obozowej Abwehry. W praktyce konieczne więc było zachowanie wszelkich pozorów kompletnej obojętności na bogate w wydarzenia wypadki działań wojennych, zwłaszcza gdy zaczęto wycofywać się systematycznie na "lepsze i z góry uplanowane pozycje".

Praca tego pięcioosobowego zespołu w samym obozie nasuwała niezliczone trudności do pokonania. Stale rozszerzające się kontakty z terenem były trudne do zupełnego zamaskowania i groziły stale jakąś "wypałą", spowodowaną choćby niepotrzebnym gadulstwem, tak trudnym w warunkach jeńческих do ukrócenia. Warszawa przysyłała całą swą korespondencję na poszczególnych członków Komórki Centralnej A. K.

System komunikacji obozu z Warszawą był bardzo sprawny, funkcjonował doskonale. Wygląda to dość groteskowo, iż jeńcy zza kolczastych drutów, strzeżeni przez liczne kompanie wartownicze i pod okiem czujnej Abwehry — tak doskonale usypiali czujność niemiecką, co zresztą nie było specjalnie łatwe. Jest to przede wszystkim zasługa Kierownictwa A. K. w Warszawie, które opracowało kilka bardzo precyzyjnych szyfrów, pozwalających w cenzurowanym liście jeńceckim podać zamaskowany meldunek. Dawało to wprawdzie nieraz okazję cenzorowi korespondencji dojścia do wniosku, iż długi pobyt za drutami wywiera swój wpływ na mentalność autora listu, lub że zbyt wiele starych panien drogą korespondencji załatwia swe matrymonialne sprawy, nie zapominając zresztą, by za każdym razem dać wzmiankę o paczce żywnościowej w drodze. W rezultacie jednak, po podstawieniu odpowiedniego hasła — treść właśnie takiego listu nabierała bardzo konkretnej treści.

Niezliczona ilość listów przesyłana z Kraju do polskich ro-

botników cywilnych w Niemczech, prawie że gwarantowała ich nietykliwość. List taki wędrował do najbliższej "komenderówki", ta zaś, przy okazji pobytu w obozie swych przedstawicieli, w magazynie Czerwonego Krzyża, oddawała go dla właściwego adresata. Sposób ten jednak był rzadko praktykowany z uwagi na długi okres czasu potrzebny na dojsię listu do adresata, oraz konieczność posługiwania się pośrednikami.

Najcenniejszym środkiem komunikacji obozu jeńców z Warszawą były paczki żywnościowe. Podoficer niemiecki, kontrolujący paczkę przy wręczaniu jej odbiorcy, na sam widok pudełka z serem kompletnie sfermentowanym i to z pokaźną ilością wylatujących z łoskotem muszek — wyrażając żal, z dosadnym epitetem umieszczał ten właśnie najcenniejszy produkt w koszu, skąd go potem wydobyć nie nastęczało większej trudności. By jednak uniknąć nieprzewidzianych trudności, często jeńcy pracujący na poczcie obozowej z awizowanej paczki usuwali przedmiot ich zainteresowania, co wobec faktu, że paczki często przychodziły uszkodzone, nie budziło podejrzeń. Trudność polegała jednak na tym, by ani dozoruujący Niemiec ani inni koledzy jeńcy pracujący razem, tych operacji nie spostrzegli. Można było się narazić na przykry zarzut kradzieży, w danych warunkach zupełnie nie do wyjaśnienia.

W paczkach przychodziły na milimetrowych filmach instrukcje dla zespołu AK, naświetlenie sytuacji międzynarodowej z polskiego punktu widzenia, sytuacja w Kraju, walka podziemna z okupantem, artykuły prasy podziemnej w doskonałej redakcyjnie formie. Materiał informacyjny był przepisywany na maszynach w licznych kopiach, i to często w biurach niemieckiej administracji obozowej, przez jeńców funkcyjnych i rozsyłany opracowanymi szlakami do komenderówek. Po kilku dniach w formie szeptanej rozchodził się wśród cywilnych polskich robotników. Wiadomości te cieszyły się wielkim wzięciem i uznaniem tak wśród jeńców obozów strzeleckich jak i cywilów — w rzeczywistości pozbawionych zupełnie rzeczowej informacji po linii zainteresowań polskich.

Celem jednak zasadniczym pracy AK w obozie była, zgodnie z otrzymanymi instrukcjami, sprawa szybkiego powrotu do Kraju, po kapitulacji Niemiec, w oddziałach zwartych i to jak największej ilości mężczyzn. Temu to odcinkowi poświęcono specjalnie dużo pracy przygotowując kadry z jeńców i licząc, iż zgodnie z planem mobilizacyjnym AK przybycie ekip oficerów z najbliższych Oflagów nastąpi natychmiast. Nie należy zapominać, iż teren podległy jednemu obozowi był bardzo rozległy, naszpikowany komenderówkami jenieckimi, i formalnie zalany masą robotników cudzoziemskich.

Wczesną wiosną 1944 roku Kierownictwo A.K. w Warszawie popełniło niezwykle ryzykowny krok, wysyłając niespodziewanie do obozów położonych w Nadrenii kuriera specjalnego z Warszawy. Nie porozumiano się uprzednio z zainteresowanymi obozami, dano kurierowi nazwiska (dotąd posługiwano się w ko-

respondencji szyfrowanej pseudonimami) oraz adresy. Rzeczą oczywistą było, iż żaden młody cywil nie mógł podróżować po Niemczech bez zwrócenia na siebie uwagi, gdyż Rzesza mobilizowała prawie że kulawych i garbatych. Kurier był młodym, podchorążym bardzo wartościowym i gorąco oddanym sprawie, gotowym na największe poświęcenia i ofiary. W wyniku aresztowania kuriera przez Gestapo w Kolonii nastąpiły liczne aresztowania w obozach jenieckich działaczy Armii Krajowej, jak i robotników cywilów współpracujących z A.K. Do grupy tej dołączono przy okazji kilku oficerów, którzy wprawdzie w pracy A. K. udziału bezpośredniego nie brali, ale przez swój pobyt w obozie dali się poznać jako element specjalnie wrogo nastawiony do reżimu hitlerowskiego.

Aresztowanych umieszczono w więzieniu Gestapo w Brauweiller, gdzie system badania był dość uproszczony przez Hauptmanna Kraus i Schaarführera Fritza Kroger (lub Troger), Niemca sudeckiego oraz agenta Gestapo z Kolonii Schiffera. Wszelkiego rodzaju niemieckie "drilly" z kopaniem i biciem, z polewaniem spoconego ciała zimną wodą, kara słupek, polegająca na wieszaniu za ręce z tyłu związane, lekko dotykając palcami ziemi i bicie do utraty przytomności, lub wkładanie wykałaczek do nosa, gniecienie palców u rąk za pomocą specjalnego raszpla, zmniejszanie porcji żywnościowej, która była i tak już głodowa, oto m. in. metody stosowane przy wymuszaniu zeznań.

Pobyt w Brauweiller wyraźnie zapowiadał się likwidacją à la Katyń, czego zresztą sami Gestapowcy nie ukrywali. Szczęśliwym trafem dość szybko posuwająca się ofensywa aliancka spowodowała w pośpiechu przeprowadzoną ewakuację więźniów do K. C. Buchenwaldu, gdzie przybyliśmy 17.9.1944 zamieniając mundury wojskowe na pasiaste drelichy kacetu.

Zbyt dużo pisano o obozach koncentracyjnych bym musiał coś nowego dorzucić. Choć brak mi obszerniejszych danych, rezultat pobytu w kaciecie był tragiczny. Czy to w samym obozie, czy w Dorze, czy wreszcie w czasie ewakuacji pieszej do K. C. Flossenburga i Dachau wielu naszych zginęło. Tyfus, biegunka, gruźlica, głód czy zastrzelenie w transporcie ewakuacyjnym więźniów nie mających sił by iść dalej. Została nas mała grupka, która wyszła z życiem. Z pewnością żyją: rtm. Kiedrzyński, kpt. Ronin, por. Tychanowicz, ppor. Dittmar, podchorążowie Borzestowski Władysław, Karcz Witold, Uliński Edward, st. sierżant Balicki Józef — są zapewne i inni. Jest to jednak znikoma grupka w stosunku do ilości aresztowanych.

Krótkie sprawozdanie obejmujące jedynie działalność A. K. na terenie Nadrenii, widziane z perspektywy pracy prowadzonej w Stalagu XII A (Limburg an der Lahn), nie może oddać całości kształtu działalności. Było z nami kilku oficerów-lekarzy, którzy korzystając ze specyficznych możliwości prowadzili swą pracę odrębnie. Pozostawiam zainteresowanym bardziej rzeczowe jej omówienie. W Starogardzie, na Pomorzu — podobna działalność A. K. zakończyła się wyspą — współpracując z pod-

oficerami niemieckimi polskiego pochodzenia, w momencie kapitulacji Niemiec miano dysponować bronią. W rezultacie po wywiezionych jeńcach zamieszanych w tę sprawę ślad zaginął. Brak mi jednak dokładniejszych wiadomości o tej sprawie, wysuwam jednak wniosek, że akcja Armii Krajowej obejmowała teren od Nadrenii do Pomorza.

Jest rzeczą niezwykle dziwną, iż wielka ilość wydawnictw, poświęcona działalności Armii Krajowej pokrywa absolutnym milczeniem akcję konspiracyjną na terenie Niemiec. Dziś z łatwością można odtworzyć całokształt tej walki, prowadzonej w niezwykły sposób, bo za pośrednictwem jeńców — wiążąc wszelkie elementy dostępne a widziane tak z Warszawy jak i z Niemiec, zwłaszcza, iż osoba prowadząca ten odcinek jeniecki A. K. z Warszawy, znajduje się dziś w Londynie. Zbyt dużo w konsekwencji kosztowało nas to ofiar, by móc przejść nad sprawą Brauweiller do porządku dziennego.

Montreal, Kanada.

Mirosław WIERZBICKI

Jeszcze N.S.Z.

W październikowym (1951) numerze **Kultury**, jako dalszy ciąg dyskusji o NSZ, zamieszczony został list podpisany przez Panów "Siwego", "Sandacza" i "Kreta", który w żadnym razie nie może pozostać bez odpowiedzi.

Będąc w okresie okupacji niemieckiej członkiem Sztabu Komendy Głównej NSZ, wobec poruszenia przez autorów listu zasadniczej strony zagadnienia NSZ, czuję się w obowiązku dorzucić do dotychczasowej dyskusji swoje uwagi.

Pozwolę sobie, zamiast własnego wstępu, zacytować szereg wyjątków z opublikowanej dotychczas korespondencji między Nacz. Wodzem w Londynie i D-cą AK.

"...1) Wejście Armii Czerwonej do Polski w pościgu, ale i w styczności z cofającymi się wojskami niemieckimi.

2) Wcześniejsze załamanie się Niemców, przed dojdaniem frontu do Ziemi Polskich"....

Ad wariant pierwszy:

"...W tych warunkach nie mamy możliwości, ani celu podejmowania walki zbrojnej z Niemcami. Zamieniamy okupację niemiecką na sowiecką. Staramy się uchwycić administrację Kraju przez Delegata Rządu, który ujawnia się wraz z aparatem administracyjnym i organami bezpieczeństwa. Wojsko z emigracji nie przybywa do Kraju. Wojsko konspiracyjne nie ujawnia się. Wyjdzie ono z podziemia dopiero wtedy, kiedy uzyskamy wystarczające gwarancje, że Moskwa będzie lojalna i nie będzie przeszkadzać w odbudowaniu niepodległej Rzeczypospolitej..."

"...Niemożność uzyskania takich gwarancji oznaczać będzie, że Rosja, idąc po starej linii historycznej, sprzeciwia się niepodległości Polski. W tym wypadku organizacja wojskowa w Kraju nie wychodzi z ukrycia. Wojsko zorganizowane poza Krajem, staje się ośrodkiem niezależnej siły polskiej. Poczynania niepodległościowe wstępują w fazę

walki z Rosją, nowym okupantem, wrogiem głównym (podkreślenie moje).

"...Naczelnny Wódz do prowadzenia tej nowej walki niepodległościowej rozporządza formacjami wojska, znajdującymi się na terenach Sprzymierzonych, oraz siłami, zorganizowanymi w Kraju, a pozostającymi w konspiracji"...

(Z meldunku gen. Roweckiego Nr 132 do Nacz. Wodza, z dnia 22 czerwca 1942).

"...W całym niemal narodzie ugruntowane jest przekonanie, że Rosja jest naszym wrogiem numer dwa i tkwi w nim głęboka do niej nieufność, wskutek:

a) jej postępowania w ostatnich stuleciach,
b) jej postępowania w latach 1939-41,
c) obecnego stosunku Sowietów do układu polsko-rosyjskiego z r. 1941,

d) dwulicowości w obecnej akcji dywersyjnej,
e) mocnego przekonania ogółu, że wszedłszy do Polski, Rosjanie ustąpią z niej tylko siłą"...

(Z depezy gen. Roweckiego do Nacz. Wodza z dnia 12 stycznia 1943 r.).

"...W obecnych warunkach politycznych jestem bezwzględnie przeciwny powszechnemu powstaniu, którego sens historyczny musiałby z konieczności wyrazić się w zamianie jednej okupacji na drugą. Wasza ocena sytuacji niemieckiej musi być bardzo trzeźwa i realna. Omyłka pod tym względem kosztowałaby bardzo wiele",

(Depesza Nacz. Wodza do D-cy AK z 29 lipca 1944. Dwa dni przed Powstaniem Warszawskim).

List Panów "Siwego", "Sandacza" i "Kreta" zniewala czytelnika do potraktowania wypowiedzi o NSZ, jako opinii obiektywnej, beznamietnej i... rzeczowej.

"Opinię" p. Lednickiego można by pominąć milczeniem, boć autor niezbyt orientował się w zagadnieniach konspiracyjnych, a miał tę satysfakcję, że doznał ulgi wewnętrznej "przejechałszy się" po NSZ.

Zbiorowy list Panów "Siwego", "Sandacza" i "Kreta" stawia — zresztą pozornie — dyskusję o NSZ na płaszczyźnie szerszej z chęcią rzeczowego" ujęcia, ba, z napomknięciem o badaniach historycznych...

Nie wierzę i nie lubię historii pisanej przez aktorów zdarzeń. Cennie natomiast rzeczowość i pod tym kątem pragnę prześwietlić wspomniany list zbiorowy.

— O założeniach ideologicznych NSZ informował autorów "Maciej" rzekomy inspektor KG.NSZ.

Rzeczywiście "Maciej" istniał. Był oficerem jednego z Wydziałów Oddziału I Sztabu NSZ. Być może Szef Wydziału, czy nawet Szef Oddziału I zlecał mu jakieś funkcje inspekcyjne. Jednak Inspektorem KG "Maciej" nie był.

NSZ do 1944 roku posiadało tylko jednego Inspektora Ziemi Zachodnich (okręgi: Mazowsze, Łódzkie, Pomorskie, Poznańskie).

Z początkiem 1944 r. D-ca NSZ mianował inspektorami KG: Szeffa Sztabu, Szeffów Oddz. I, III, Komendanta Okręgu Lublin — przydzielając im do inspekcji po 3-4 Okręgi.

Cytowane przez autorów "założenie ideologiczne — punkt 1" — acz nie należy do tej grupy pojęć — było prawdziwe. Założeniem podanym w punkcie 2 nie wiem kogo obciążyć. "Macieja", czy... autorów listu.

Czy w celach wywołania "walk bratobójczych" inż. Tadeusz, jeden z czołowych przedstawicieli ugrupowań politycznych, patronujących NSZ, jedzie do Londynu jesienią 1943, by tam przedstawić Rządowi i Nacz. Wodzowi poglądy na sprawy polityczne i scaleniowe?

Czy w tymże celu podąży z nim "Bohdan" (kolejno pełniący funk-

cje: Kwaternistrz, Szef Sztabu, Oficer do Zleceń i Inspekcji D-cy NSZ)?

Obaj z narażeniem życia wykonują misję, obaj są w Londynie dekarowani, obaj nie zostali przekazani sądom.

Czy w celu "opanowania władzy" pierwszy i drugi D-ca NSZ zgłaszają się u D-cy AK dla ustalenia warunków scalenia?

Płk dypl. Kurcjuś-"Zegota", drugi D-ca NSZ, umierając tragicznie nosił tytuł: "Pełnomocnik D-cy AK dla spraw NSZ".

Ani przed śmiercią, ani po śmierci płk Kurcjusza (22.4.1944) nikt z władz AK, czy Delegatury nie ośmielił się i nie miał podstaw oskarżać NSZ i ich drugiego D-cy o współpracę z Niemcami. Wysłano zarzut przeciw "Żbikowi", lecz przeprowadzone dochodzenia ustaliły dobitnie, że oskarżenie było bezpodstawne i miało raczej na celu usunięcie z terenu zbyt sławnego "konkurenta". Osoba "Żbika" była na terenie kieleckiego prawie legendarna i to w najlepszym tego słowa znaczeniu.

Być może, że "Maciej", czynny członek Str. Narodowego, głosił podobne hasła, w co zresztą bardzo wątpliwe. Str. Narodowe należało i należy do "wielkich i uznawanych" stronnictw. Nie sądzę, by kierownicy tego odłamu politycznego podzielali i potwierdzali wypowiedzi "Macieja".

NSZ i ich zaplecze polityczne (a od 1939 roku "Związek Jaszczurczy", który wszedł całkowicie w skład NSZ) jako jeden ze swych celów postawiły wywalczenie granicy zachodniej na Odrze-Nyssie Łużyckiej. Cel ten był konsekwentnie i permanentnie propagowany we wszystkich pismach podziemnych, związanych z NSZ.

Struktura organizacyjna NSZ była dostosowana przede wszystkim do osiągnięcia zamierzonych granic zachodnich. Okręgi zachodnie były podporządkowane specjalnemu dowództwu. Wywiad Zachodni był najbardziej rozbudowaną komórką w Oddz. II Sztabu NSZ, a Sztab Propagandy miał do dyspozycji najlepsze siły w celu spopularyzowania tego zagadnienia.

Półowa strat NSZ (przedtem ZJ) była następstwem działalności na Ziemiach Zachodnich. Niemcy stworzyli specjalne oddziały w Wywiadzie i Gestapo do zwalczania tej naszej działalności. W wielkim procesie "Berlińskim" (tak nazwanym, gdyż finał odbył się w Berlinie) straciliśmy 31 członków Wydziału Zachodniego Oddz. II Sztabu.

Na przełomie 1943/44 roku, kiedy pertraktacje scaleniowe coraz to utykały na martwym punkcie, płk dypl. Kurcjuś zdecydował zapewnić poszczególnym d-com AK całkowitą możliwość dysponowania oddziałami NSZ na terenach, które staną się terenem walk.

Sam osobiście omówił tę sprawę z wysokim oficerem AK (nazwisko do wiad. red.) przewidzianym przez Dowódcę AK na dowódcę całości do działań na froncie zachodnim Ziemi Polskich.

Szef Oddz. III Sztabu NSZ nawiązał w tym celu kontakt z Oficerem Oper. Obszaru Północnego AK (postawiliśmy do dyspozycji oddziały z białostockiego).

D-ca Okręgu Łwów zgłosił się u D-cy Obszaru Lwowskiego (płd-wsch.) AK i zaofiarował mu oddziały NSZ do dyspozycji.

Poszczególni d-cy okręgów NSZ otrzymali pełnomocnictwo do całkowitego przekazywania sił właściwym d-com AK w razie zagrożenia, lub powstania lokalnego.

Jedyny warunek, jaki stawialiśmy: "nie rozbijać związków organizacyjnych jednostek liniowych (kompanie, batalionu, pułki)".

Jestem zdziwiony "rzeczowością" argumentu, że "Zab" był pod Sądem Połowym 2 Korpusu. Autorzy wybaczą mi "nierzeczowe pytanie": Jaki wymiar kary zaaplikował Sąd Połowy "Zębowi"?

Odnoszę wrażenie, że o działalności Komisji Weryfikacyjnej AK jestem lepiej poinformowany niż Panowie "Siwy", "Sandacz" i "Kret".

— Komisja Weryfikacyjna w Lubece (następnie w okolicy) była początkowo traktowana jako "Główna", później została ograniczona do terenu okupacji brytyjskiej. Już w maju 1945 wszyscy żołnierze pochodzący z NSZ złożyli swoje personalia na ręce Przewodniczącego Komisji (nazwisko do wiad. redakcji). Osobiście wpłynąłem na NSZ-owców, by odnieśli się z całym zaufaniem do składu osobowego Komisji, mimo, że wiedziałem o nieprzychylnych nastrojach niektórych członków. Wiosną 1946 roku zostałem poinformowany, że Komisja wysłała do Londynu personalia wszystkich NSZ-ców, i że co do kilku postawiła wnioski awansowe bardzo obiektywne. Równocześnie poinformowano mnie, że z Głównej Kom. Wer. AK nie otrzymano żadnej odpowiedzi na postawione wnioski (po roku!). Wiemy jednak, że "urodzeni" AK-wcy awansowali jeszcze długo, długo za zasługi... powojenne.

— Do Komisji Wer. AK w Murnau nikt z członków NSZ nie miał zaufania.

— Komisja Wer. AK we Włoszech (nazwisko do wiad. red.) stosowała procedurę weryfikacyjną przewidzianą chyba w... Kodeksie Karnym Wojskowym. O działalności tej "Komisji" złożyłem meldunek najwyższemu władzom wojskowym, a odpis meldunku przesłałem na ręce Przew. Kom. Wer. AK w strefie brytyjskiej, gdyż te sprawy zębały się.

— Interesuje mnie źródło informacji, które pozwoliło twierdzić autorom, że nikt z weryfikowanych nie ucierpiał z powodu wyjazdu do Kraju członków Kom. Wer. Domyślam się, że na zachód od Kurtyny nikt, ale na wschód...?

Kiedym się zetknął jesienią 1945 z czwartym D-cą NSZ Boguckim, który akurat przybył z Polski do Niemiec, zadałem mu pytanie: "Dlaczego nie przeczuliście na Zachód trzech grup Operacyjnych — jak było w planie w wariantcie "Bolszewicy okupują całą Polskę"... Śp. Bogucki "w obronie" podał:

— Powstanie Warszawskie sparaliżowało ruch na zachód z Białostockiego, Warszawskiego, Podlasia i Lubelszczyzny.

— Nieoczekiwanie szybkie opanowanie Małopolski Wschodniej utrudniło ruch oddziałów z Okr. Łwów.

— Wyczekujące stanowisko Delegatury i D-cy AK spowodowało również wahania wśród żołnierzy NSZ.

— Wiara w politykę Mikołajczyka wpłynęła na postawę społeczeństwa, tym samym i na NSZ-ców.

W tym stanie rzeczy śp. Bogucki zorganizował i wyeksponował na zachód jedną Brygadę, sam pozostając w Kraju. Zostały również organa Służby Cywilnej Narodu i część członków Rady Politycznej NSZ.

Do bitwy Stalingradzkiej dla NSZ Niemcy były wrogiem Nr 1. Po bitwie Stalingradzkiej wrogiem Nr 1 została określona Rosja.

Jeden z wariantów Planu Oper. NSZ przewidując całkowitą okupację Polski przez bolszewików, bezsensowność powstań i niemożność ujednolicenia poglądów z oficjalnym kierownictwem Podziemia — ustalał następujące założenia i plan działania:

— Przerzucić siły NSZ na tereny zajęte przez aliantów zachodnich, wchłaniając po drodze wszystkie oddziały od AK do AL, jeśli tylko wyraża chęć opuszczenia Ziemi Polskich.

— Unikać walki tak z Niemcami jak i z bolszewikami (niech się wzajemnie krwawią jak najdłużej).

— Nie dopuścić do rozbijania, czy zahamowania marszu na zachód, bez względu na konsekwencje (gdyż byłoby to wstępem do wyniszczenia).

W wykonaniu tych zamiarów planowano (w zarysie):

- A) — Grupa Operacyjna z ziem Płd.-Wsch. (około 15.000 ludzi, Grupa Operacyjna z ziem centralnych (około 30.000 ludzi) — pod ogólnym d-twem D-cy NSZ.
Teren koncentracji: Kielecczyzna.

Ogólny kierunek przesuwania: Kieleckie—Śląsk—Sudety—Bawaria.

B) — Grupa Operacyjna z ziem Półn. i Zach. (około 20.000 ludzi), pod d-twem w I-iej fazie D-cy Okręgu Mazowsze, w drugiej fazie Inspektora Ziemi Zachodnich.

Tereny koncentracji kolejno: Białostockie, Mazowsze Zachodnie, Poznańskie.

Ogólny kierunek przesuwania: Mazowsze Półn.-Zach.—Poznańskie—Pomorze Zach.—Meklemburgia.

Plan przewidywał, że poszczególni D-cy Zgrupowań winni stworzyć sobie warunki swobodnego przemarszu, wykorzystując ostateczną przegrana armii niemieckiej.

Wytyczne do wykonania tego planu kategorycznie zabraniały wchodzić się w pertraktacje dotyczące rozbrojenia, względnie zahamowania marszu na Zachód.

Brygada Świętokrzyska — ułamek przewidzianych do przesunięcia na Zachód sił — dostosowała się, ogólnie biorąc, do wytycznych Planu Oper. Mimo usiłowań rozbrojenia przez Niemców, względnie zahamowania jej ruchu na Zachód, swoją postawą i gotowością do walki "wy tłumaczyła" kilkakrotnie bezsensowność żądań niemieckich, a w momencie ostatecznym, kiedy Niemcy znowu grozili likwidacją, z gotowością bojowej przeszła Brygada do akcji i wyknięty cel osiągnęła. Stała na terenie allantów zachodnich. 1800 młodych żyć uratowano od śmierci, Sybiru i więzień. Tylko 1800! To mało, przeraźliwie mało. Może historycy, lecz historycy z prawdziwego zdarzenia, dojdą do wniosku, że liczba winna była być raczej sześciocyfrowa i, że niewykonanie tego obowiązku wobec młodego pokolenia nie obciąża konta kierownictwa NSZ.

Wyłamanie się w czasie wojny "...pewnej grupy ludzi... spod ogólnej dyscypliny narodowej", "...prowadzenie odrębnej polityki", brak cywilnej odwagi w "podtrzymaniu swego poprzedniego stanowiska i w zmienionych okolicznościach", "...przeznaczanie, przemilczanie i wypieranie się faktów" — to są istotne zarzuty postawione NSZ przez Panów "Siwego", "Sandacza" i "Kreta". Celem listu nie była odpowiedź "Zbikowi!", lecz chęć wystąpienia przeciw NSZ.

Pomijając publikacje pamiętnikarsko-osobiste, nie znam wypowiedzi prasowej kierownictwa politycznego i wojskowego NSZ, która by przyczyniła lub przemilczała założenia, cele i metody działania NSZ.

Uznawaliśmy i uznajemy Rosję za wroga Nr 1 od 1943 roku. Od tegoż czasu Niemcy spadli w hierarchii nieprzyjaciół na plan drugi. Przestaliśmy być lojalni wobec Mikołajczyka i jego polityki? Tak! Nie traktowaliśmy bolszewików jako sprzymierzeńców? Tak! Zabranialiśmy prowokować walk z Niemcami na przełomie 1944/45? Tak!

Chcieliśmy przerzucić z Polski na Zachód zdekonspirowaną młodzież walczącą? Tak! I to wbrew oficjalnym rozkazom.

Mieliśmy kontakty z Niemcami? Tak! Nasz wywiad miał kontakty i wyczki u Niemców, u komunistów, u Włochów i we wszystkich organizacjach krajowych przeciwnych samodzielności Polski. Która organizacja, ba, która strona walcząca nie czyniła podobnie? Zdarzało się, że "współpracującym" Niemcom, i to Niemcom na wysokich stanowiskach dawaliśmy nasze dokumenty i asystę ułatwiając im przedostanie się na Węgry (ma się rozumieć przed całkowitym opanowaniem Węgier przez Niemców).

Nagonkę na NSZ rozpoczęli, prowadzą i będą dyrygować dalej bolszewicy. Pierwszym pretekstem do tego było wyniszczenie przez "Żeba" w r. 1943 bandyckiej grupy bolszewickiej pod Borowem, która zajmowała się wyłącznie grabieżą, gwałtami i morderstwami ludności cywilnej w Lubelszczyźnie.

Nie mamy wątpliwości, że najwyżsi dostojnicy Delegatury i AK

kierowali się i kierują się wciąż obiektywizmem w ocenie działalności NSZ. Jednak nieprawdopodobne jest, by swoje opinie i osądy konstruowali na własnych spostrzeżeniach. Musieli korzystać z informacji dostarczanych przez resortowych Szefów komórek Sztabu.

Dziś nie jest dla nikogo tajemnicą, że kierownik BIP'u, Szef Oddz. III, najwyżsi oficerowie Oddz. I i II AK, albo byli świadomymi rzecznikami współpracy z komunistyczną Rosją, albo oddając się skrajnemu pesymizmowi godzili się na ponowny zabór Polski.

Udowodnić można wszystko. Dziś udowadnia się Spychalskiemu współpracę z... NSZ! Za parę miesięcy będziemy czytać "przekonywujący" akt oskarżenia przeciwko czołowym komunistom polskim, udowadniający im współpracę z reakcją na szkodę Narodu Polskiego.

Dokumenty, fakty, świadkowie już są preparowani. Nie ludźmy się, że komedia ta rozpoczęła się w roku 1951-ym! Nie! Początków należy szukać w momencie, kiedy régime sowiecki utwierdził się w przekonaniu, że nie tylko wygra wojnę z Niemcami, lecz ma szansę zagarnąć całą środkową Europę.

Każdy, kto chce zabierać głos w oskarżaniu, czy obronie NSZ musi sięgnąć do zdarzeń poprzedzających hegemonię sowiecką, do przyczyn i skutków obecnego układu politycznego. NSZ jest tylko skutkiem odmiennej oceny sytuacji politycznej w latach 1939-45. Oceny, którą cały Zachód uważa dzisiaj za własną.

Wacław trzeci, ppłk W.P.
b. Szef Oddz. III Sztabu NSZ

"SYRENA PUBLICATIONS"

W DETROIT

Księgarnia wysyłkowa: Posiada na składzie duży wybór książek polskich, ze wszystkimi nowościami włącznie. Książki z Polski. Organizuje "Klub Przyjaciół Książki Polskiej" na U.S.A. i Kanadę.

Przyjmuje prenumeratę na czasopisma Polskie: "Kultura", "Sprawa Polska", "Orzeł Biały", "Wiadomości".

Główne przedstawicielstwo dwutygodnika humorystyczno-satyrycznego "Pokrzywy" na U.S.A. i Kanadę.

WYSYŁA LEKARSTWA DO POLSKI

ADRES: "SYRENA PUBLICATIONS", 8805, Neal Str.
Detroit 14, Mich. U.S.A.

Książki

Lenin, Trocki, Stalin

Stalinowcy usiłują z równą wytrwałością fałszować przeszłe wypadki jak i bieżącą rzeczywistość sowiecką. Dość liczne świadectwa naszych współczesnych, którzy tę rzeczywistość widzieli, żyli i cierpieli pod reżimem komunistycznym, utrudniają tę propagandę. Rzecz ma się jednak inaczej o ile chodzi o wypadki należące już do historii: im jest mniej świadków i uczestników tych zdarzeń, tym bardziej zmyślane przez stalinistów interpretacje mogą wpływać nawet na tych, którzy nic wspólnego z komunizmem nie mają.

Doszedłszy do władzy, totalitaryści ulegają przemożnej obojętności przeinaczania minionych wypadków. Kiedy Napoleon został cesarzem nie przyszło mu do głowy by zmieniać fakty historyczne wedle swego upodobania lub zależnie od swoich interesów. Ani on, ani nikt inny, nie przypisał temu kto dokonał 18 Brumaire'a zasługi 14-go lipca. Stalinizm jest pozbawiony tych skrupułów: 40-milionowy nakład "Historii Rosyjskiej Partii Komunistycznej" jest najlepszym tego dowodem. Nigdy nie napisano dzieła (które się podaje za historyczne), bardziej zafalszowanego, ale żadna też książka polityczna nie była rozkolportowana w takiej ilości egzemplarzy.

Prace stalinowskie dotyczące przeszłości są równie dalekie od prawdy jak mitologia od historii. Głoszą one na przykład, że Stalin jest niezaprzeczoną władzą Związku Sowieckiego od 20-tu z górą lat, co jest zgodne z prawdą, ale twierdzą ponadto, że był od pierwszych dni bolszewizmu najbliższym współpracownikiem Lenina — co jest szczerą fantazją. Cofając w przeszłość rolę odegraną przez Stalina w rosyjskim ruchu rewolucyjnym, hagiografowie jego i Berii, ostatniego szefa NKWD, dotarli aż do 1893/94 roku, w którym malują nam Stalina jako organizatora i ideologa pierwszych ruchów robotniczych w jego rodzinnym

B. D. WOLFE, *La jeunesse de Lénine*, str. 280; *Lénine et Trotsky*, str. 288; *Lénine, Trotsky et Staline*, str. 400. — Ed. Calmann-Lévy, Paryż, 1951.

kraju. Nie ośmielają się jednak, dotychczas, cofnąć daty urodzenia sowieckiego władcy (1879 rok); wynika stąd, że Stalin kierował ruchem robotniczym w Gruzji licząc lat czternaście, co jest trochę za wcześnie nawet gdyby się okazało, że Stalin był cudownym dzieckiem, czego również nikt dotąd nie twierdził.

Po drugiej wojnie światowej zainteresowanie Ameryki sprawami dotyczącymi komunizmu stale wzrasta. W liczbie tych, co się do tego przyczyniają odróżniamy dwie kategorie pisarzy, których w Europie brak niemal zupełny. Są to w pierwszym rzędzie byli uczestnicy rosyjskich ruchów rewolucyjnych, po większej części mienszewicy, jak Dallin, Nikołajewski, Schwarz a wreszcie korespondenci prasy amerykańskiej, którzy spędziwszy wiele lat w Sowietach, wydali prace o istotnej wartości naukowej, jak William Chamberlain albo Louis Fischer.

Praca Bertrama Wolfe, mimo że pisana stylem dziennikarskim, zalicza się do tej kategorii. Książka wydana w USA w jednym tomie pod tyt. "Three who made a Revolution", a w tłumaczeniu francuskim w trzech tomach, kreśli dzieje rosyjskiego marksizmu, od jego początków, aż do pierwszej wojny światowej. Każda z trzech postaci: Lenin, Trocki i Stalin zajmuje stanowisko proporcjonalne do roli jaką odegrali w okresie przedwojennym, czyli naprzód idzie Lenin, następnie Trocki a dopiero w końcu Stalin.

Historię rosyjskiego ruchu rewolucyjnego w początkach bieżącego wieku charakteryzują trzy zasadnicze wypadki: założenie gazety "Iskra", kongres 1903 roku i rewolucja 1905. Pomysł założenia socjalistycznego dziennika był pomysłem Lenina, on też wybrał mu nazwę i napisał artykuł wstępny do pierwszego numeru. Do komitetu redakcyjnego weszli Plechanow, Axelrod i Wiera Zasulicz (twórcy rosyjskiego marksizmu) oraz Lenin, Martow i Potresow (przedstawiciele nowej generacji marksistów). (W okresie rewolucji 1917 r. wypowiedzą się oni wszyscy przeciwko Leninowi). "Historia Rosyjskiej Partii Bolszewickiej" Stalina, wspominając "Iskrę", wymienia jedynie Lenina, przemilczając wszystkich innych. W koncepcji Lenina pismo to miało stworzyć ośrodek skupiający wszystkie ugrupowania marksistowskie, rozproszone po Rosji i przygotować grunt dla stworzenia partii robotniczej na terytorium rosyjskim. Z drugiej strony pismo miało zwalczać tendencję "ekonomistyczną", która się szerzyła z powodzeniem pośród rosyjskich marksistów. Owa tendencja, pod wpływem rewizjonizmu Bernsteina, kładła główny akcent na legalną walkę ekonomiczną, prowadzoną przez syndykaty, zamiast walki politycznej, której głównym narzędziem miała być Partia.

Wkrótce po założeniu "Iskry", w 1902 r., Lenin wydał broszurę pt. "Co robić?", która miała służyć tym samym celom co pismo. Rozwijał w niej, po raz pierwszy, kilka swoich zasadniczych poglądów na organizację Partii. Lenin miał wtedy 33 lata i w ciągu całego swego życia pozostał wierny tym koncepcjom. Cytat z Lasalle'a, który zdołał kartę tytułową: "Partia rośnie

w siłę gdy sama się oczyszcza", jest najlepszym świadectwem przewodniej myśli, która to pismo ożywiała. Większa część tej broszury, poświęcona polemice z ekonomizmem, straciła dziś swoją aktualność, poglądy wszelako na organizację Partii zachowały całe swoje znaczenie. Znajdujemy tu koncepcje, które następnie stosowali bolszewicy: żelazna dyscyplina, czystki, zawodowi rewolucyjniści, pogarda dla spontanicznych ruchawek i konieczność narzucania swej woli klasie robotniczej przez mniejszość chociażby nieproletariacką, jako że klasa robotnicza "pozostawiana sama sobie jest jedynie zdolna rozwinąć świadomość trade-union'ów".

W roku, w którym ukazała się ta broszurka, zjawił się w Londynie, w redakcji "Iskry", młody, dwudziestodwuletni człowiek, bezpośrednio zbiegły z Syberii, skąd przysyłał do "Iskry" swoje artykuły, podpisane pseudonimem "Pero". Nazywał się on Lew Bronstein i miał się niebawem wslawić jako Trocki. Młody ten rewolucjonista zwrócił się natychmiast po przyjeździe do Lenina, który go wciągnął do prac redakcyjnych "Iskry". Już po kilku miesiącach w liście z 2 marca 1903 r. pisał Lenin: "Zaproponowałem wszystkim członkom Naczelnego Komitetu, kooptację Pero jako członka Komitetu redakcyjnego". Plechanow sprzeciwił się temu najkategoryczniej, domyślając się, że ta propozycja Lenina była wymierzona przeciwko niemu. W dawnej bowiem redakcji, złożonej z sześciu członków, Plechanow rozporządzał dwoma głosami. W wypadku innego podziału głosów i kooptacji nowego członka upadło by jego uprzywilejowane stanowisko. Na skutek weta Plechanowa Trocki, choć brał udział w posiedzeniach redakcji, to jednak bez prawa głosu. Był to początek niechęci, a następnie nienawiści, Plechanowa do Trockiego, której Plechanow nie zdołał się wyzbyć do końca życia.

Dwa lub trzy miesiące później (lipiec 1903 roku) został otwarty kongres Rosyjskiej Partii Socjal-demokratycznej, rozpoczęty w Brukseli, a zakończony w Londynie, który wydał **bolszewizm**, panujący dziś nad jedną trzecią ludzkości, wówczas kiedy **mieniszewizm** liczy dziś zaledwie kilku przedstawicieli w Europie i Ameryce.

Na prawie sześćdziesięciu uczestników Kongresu było tylko czterech robotników, reszta składała się z inteligencji. Na 51 głosów było 35 zwolenników "Iskry". Plechanow przedłożył projekt programu Partii, który wywołał gwałtowną dyskusję. Zwłaszcza zwalczany był paragraf głoszący, że zasadniczym warunkiem rewolucji społecznej jest dyktatura proletariatu, czyli zdobycie przez proletariąt takiej władzy, która pozwoliłaby mu na uniemożliwienie wszelkich prób oporu eksploatatorów. Plechanow zabrał głos po Trockim, aby bronić tej tezy i wygłosił w swojej mowie prorocstwo, zrealizowane niebawem przez Lenina: "O ile wybory wypadną niekorzystnie dla klasy robotniczej możemy próbować rozwiązać parlament nie po dwóch latach, ale możliwie już w ciągu pierwszych dwóch tygodni".

Po gorącej dyspacie, dotyczącej programu, został on przyjęty

zarówno przez przyszłych bolszewików jak i przez mieniszewików. Lenin zabrał głos tylko raz jeden na temat sprawy agrarnej. Wszelako "Historia" Stalina podaje, że Lenin "obalał wszystkie sprzeciwy", uznając przy tym sprawę przyjęcia programu za punkt zasadniczy obrad, "Historia" pomija całkowicie nazwisko Plechanowa.

Co do statutu Partii Lenin i Martow wysunęli dwie różne wersje pierwszego paragrafu: formuła Lenina była następująca:

"Członkiem Partii może być każdy, kto godzi się z jej programem, zasila Partię materialnie i uczestniczy w jakiejś organizacji Partii".

Martow proponował zamiast osobistego uczestnictwa w jednej z partyjnych organizacji, poparcie czynności partyjnych pod kierunkiem jednej z organizacji Partii. Wielu delegatom, nawet bolszewikom, rozróżnienie to wydawało się subtelnością bez znaczenia. Tekst jednak Lenina był ciężarny w następstwie. Stwierdza to również Stalin, tym razem słusznie. Lenin dążył bowiem do partii-mondlitu, partii bojowej o dyscyplinie i organizacji ściśle określonych. Plechanow poparł Lenina, Trocki — Martowa. W końcowym głosowaniu Martow miał 28 głosów, Lenin — 22.

Ale niebawem Lenin odzyskał przewagę. Siedmiu delegatów (pięciu z Bundu i 2 "ekonomistów"), którzy głosowali za Martowym opuścili obrady na znak protestu. Lenin mając przewagę, natychmiast skorzystał z tego, aby wybrać nowy Komitet redakcyjny "Iskry", wyłączając zeń Axelroda, Wierę Zasulicz, Potrasowa i Trockiego, którzy się wypowiedzieli za tekstem Martowa. Od tej chwili zaistniały terminy bolszewik (od większości) i mieniszewik (od mniejszości).

Poglądy głoszone przez Lenina oraz jego metody wywołały wkrótce liczne protesty najbardziej wybitnych osobistości. Trocki poświęcił Leninowi dwa pisma, w których go przedstawił jako karykaturę Robespiera. Przeczuwając leninowską koncepcję Partii pisał: "Organizacja Partii zastępuje tu samą Partię, Centralny Komitet — organizację, a wreszcie dyktator staje na miejscu Centralnego Komitetu". Było to jeszcze jedno prorocstwo, które miało się spełnić. Róża Luksemburg wtóruje tym napisałom na Lenina: "Ultra-centralizm głoszony przez Lenina, pisze, nie świadczy o pozytywnym i twórczym umyśle, ale zdradza raczej jałowy umysł dozorczy, który marzy o kontrolowaniu czynności Partii, nie zaś o jej zapładnianiu, o jej zwięźeniu bardziej aniżeli rozszerzeniu, o poskramianiu bardziej niż o jednoczeniu". (Zastanawiające jest, że autor, mimo przytaczanych faktów, ośmiela się twierdzić dwukrotnie, że Lenin był przekonany demokratą aż do 1917 roku. Wolfe uległ powszechnemu prawu, według którego starzy komuniści i krypto-komuniści, raz wyzwoleni spod wpływów stalinizmu żywią nadal złudzenia co do jego poprzednika, Lenina).

Gwałtowne te polemiki toczyły się w ciągu 1904 roku. W lutym

zaś tegoż roku Port Artur został zaatakowany i wybuchła wojna rosyjsko-japońska.

Czerwona Niedziela, 9.1. st. st., zapoczątkowała nowe ustosunkowanie się do zagadnienia. Wyłoniły się trzy koncepcje. Pierwszy pogląd, mienszewicki, twierdził, że Rosja znajduje się w przededniu rewolucji burżuazyjno-demokratycznej, w przededniu swego 1789 r. Upadek carszemu i feudalizmowi będzie sprzyjał rozwojowi kapitalizmu a co za tym idzie zasilą ruchy robotnicze. W tych okolicznościach proletariat i jego partie nie powinny dążyć do objęcia władzy. Parvus i Trocki, (który właśnie porzucił był mienszewików i ogłosił się "poza frakcją") byli zdania, że rewolucja burżuazyjno-demokratyczna może się przekształcić w rewolucję proletariacką zdolną rozszerzyć się na całą Europę. Była to teoria "permanentnej rewolucji". Stanowisko Lenina było dosyć nieokreślone. Podobnie jak mienszewicy twierdził, że bieżąca rewolucja jest burżuazyjno-demokratyczna, ale że burżuazja jest niezdolna do rządzenia; rzucił przeto hasło dyktatury demokratycznej proletariacko-rolniczej, co stanowiło dosyć niespodziewane zestawienie słów.

Znacznie ważniejsza od tych teorii była konkretna działalność rosyjskich marksistów. Trocki skoczył pierwszy w przygodę rewolucyjną przekraczając nielegalnie granicę w lutym 1905 r., podczas gdy Lenin wrócił do kraju dopiero w listopadzie. W chwili jego powrotu Rada (Sowiet) Petersburga była już czynna i była opanowana przez mienszewików, którzy ją stworzyli. Bolszewicy początkowo byli przeciwni jej powstaniu. Trocki, którego znaczenie wciąż rosło, stał się jej rzeczywistym wodzem. Załamanie się rewolucji spowodowało aresztowanie Trockiego i zmusiło Lenina do nowej emigracji. Trockiego skazano na dożywotnią deportację na Syberię, skąd raz jeszcze zbiegł. Po klęsce rewolucji nastroj na emigracji stał się jeszcze bardziej ponury niż poprzednio.

Wspólna walka zmusiał obie grupy do zjednoczenia, które nastąpiło na Kongresie Sztokholmskim w kwietniu 1906 r. Był to jednak akt czysto formalny, w rzeczywistości walki wewnętrzne rozgorzały ponownie i rozłam został ostatecznie zatwierdzony na bolszewickim kongresie w Pradze w 1912 roku.

Lata pomiędzy 1906 r. a 1912 wypełniły niezliczone rozłamy i spory. W ciągu jednej z tych scysji padło po raz pierwszy imię Stalina.

Imię Lenina zyskało rozgłos w ruchu socjalistycznym w Rosji dzięki "Iskrze" i Kongresowi Londyńskiemu, imię Trockiego przez "permanentną rewolucję" i Radę Petersburską, imię Stalina przez "ekspropriację". Każdy miał swój własny styl, który go wyróżniał od innych.

Lenin, w instrukcjach przesłanych we wrześniu 1905 roku ze Szwajcarii do Rosji, nakazywał: "dajcie każdemu zespołowi krótkie i proste formuły na fabrykację bomb... Niech jedni, nie zwlekając, zabijają szpiega, albo wysadzą jakiś komisariat poli-

cji, inni zaś zorganizują napad na bank w celu zagarnięcia funduszy potrzebnych na powstanie".

Bolszewicy w Gruzji (która zresztą była wciąż jeszcze twierdzą mienszewizmu), przyjęli te wskazania Lenina dosłownie i stosowali je nadal, nawet po zakończeniu działań rewolucyjnych 1905.

Róża Luksemburg wystąpiła raz jeszcze przeciw leninowskim metodom i Kongres Partii miał się tym zająć, ale grubsze sumy zagarnięte dzięki tym "ekspropriacjom" dały Leninowi konkretną przewagę: mógł lepiej organizować swoją propagandę, jak również werbunek zwolenników i obsadzać zebrania partyjne ze szkodą mienszewików. Tak też na Kongresie Partii w Londynie w 1907 r. Lenin zdołał skupić więcej delegatów, aniżeli strona przeciwna, mienszewicy, i zapewnić sobie większość. Martow pisał wtedy: "Sławna większość Kongresu Londyńskiego była sfabrykowana... dzięki ogromnym środkom finansowym, które bolszewicy zdobyli po części drogą ekspropriacji, po części przez "konfiskatę" funduszy przeznaczonych na ogólne cele Partii".

W ciągu następnych lat wybuchało szereg skandali związanych z tymi ukradzionymi pieniędzmi (przy okazji zmiany banknotów Litwinów został aresztowany w Paryżu). Ostatecznie Międzynarodówka Socjalistyczna zajęła się tą sprawą i Lenin został zmuszony do zwrotu pewnej części pieniędzy "Honorowemu Komitetowi", który się składał z trzech marksistowskich liderów niemieckich: Karl Kautsky, Klara Zetkin i Franz Mehring. Powstało kilka komisji śledczych, utworzonych przez samych marksistów rosyjskich, z czego jedna w Gruzji. Martow twierdził później, że ta komisja wykluczyła z Partii Stalina, czemu on kategorycznie zaprzeczał, nie mogąc jednak przedstawić przekonujących dowodów.

W każdym razie poruszając w swojej "Historii" obszernie temat działań przedrewolucyjnych Stalin najzupełniej przemilcza sprawę tyfliskich ekspropriacji.

Lenin, w przeciwieństwie do innych socjalistów rosyjskich, bardzo cenił działalność Stalina i po zjeździe praskim (1912 r.), na którym bolszewicy stali się osobną partią, dokooptował Stalina do Komitetu Centralnego. Od tej pory gwiazda Stalina zaczyna się wznosić w wewnętrznej hierarchii bolszewickiej. Ten pierwszy krok okazał się znamienny: nie przez działalność w masach, nie przez wybór na Kongres osiąga Stalin stanowisko, ale przez zakulisowe posunięcia; metody tej będzie się Stalin trzymał w ciągu lat następnych, w okresie stałego wzrostu swego znaczenia w szeregach bolszewickich.

Branko LAZITCH

Gospodarka energetyczna Wsch. Europy

Nakładem Centrum Studiów Europy środk.-wschodniej Komitetu "Free Europe" — ukazała się nowa praca Jana H. Wszelakiego pt. "Fuel and Power in Captive Middle Europe".

Na marginesie warto podkreślić, że autor wprowadził w swym studium nowy termin "captive" dla określenia krajów ujarzmionych przez Sowiety, wychodząc ze słusznego założenia, że termin "satellite" — satelicki — odnosić się może jedynie do rządów komunistycznych narzuconych tym krajom.

Europa środk.-wschodnia przeżywa pod ciśnieniem sowieckim rewolucję przemysłową. Zgodnie z planami uprzemysłowienia przyjętymi przez rządy Wsch. Niemiec, Czechosłowacji, Polski, Węgier, Rumunii, Bułgarii i Albanii — buduje się na tych obszarach kilkanaście tysięcy nowych — wielkich i średnich zakładów przemysłowych, przy czym tysiące istniejących fabryk unowocześnia się i powiększa. Plany uprzemysłowienia są już wykonane w ok. 50% i w konsekwencji potencjał wytwórczy ciężkiego przemysłu tego obszaru został podwojony w stosunku do skali z roku 1939.

Obszar ujarzmionej Europy środk.-wschodniej odgrywa bardzo poważną rolę w ogólnym planie zbrojeniowym Sowieców. Rozbudowa potencjału przemysłowego zależy bezpośrednio od rozbudowy zasobów energetycznych — węgla, ropy, prądu elektrycznego itp.

Od roku 1950 produkcja zasadniczego paliwa tj. węgla pozostawia wiele do życzenia. I tak, w porównaniu z rokiem 1949 wydobycie węgla w Polsce w r. 1950 wzrosło o 5%, podczas gdy wytwórczość przemysłowa wzrosła w tym samym roku o 30,8%. Okazuje się, że przemysł rośnie znacznie szybciej niż wydobycie węgla. Podobna sytuacja panuje w Czechosłowacji i w innych krajach ujarzmionych.

Autor wykazuje, że przyczyną kryzysu w produkcji węgla w Polsce, w Czechosłowacji, na Węgrzech i w Rumunii — jest katastrofalna sytuacja żywnościowa. Górniczy polscy byli najlepszymi górnikami w Europie. Według danych z 1937 r. produkcja węgla per capita wynosiła dziennie: we Francji i w Belgii — 0,8 tony, w Wielkiej Brytanii — 1,2 tony, w Holandii — 1,6 tony, w Niemczech — 1,5 tony, a w Polsce — 1,8 tony (na Górnym Śląsku nawet 2 tony). Obecnie analogiczne cyfry stanowią za ledwie 75-80% w stosunku do poziomu przedwojennego.

Górnicy polscy, czescy, węgierscy i rumuńscy — są źle odżywiani, źle odziani, źle mieszkają i wskutek tego nie są zdolni do tak wydajnej pracy jakiej od nich wymagają.

Na obecny kryzys żywnościowy składa się wiele przyczyn — m. in. polityka agrarna, gromadzenie żywnościowych rezerw

strategicznych, wywóz artykułów żywnościowych do Sowieców i do komunistycznych Chin.

Wydobycie węgla miękkiego i twardego, produkcja paliw płynnych i gazowych, naturalnych i syntetycznych — warunkują bezpośrednio rozwój planowanych przemysłów. W ustępach końcowych swego studium Jan Wszelaki wyraża opinię — że jeżeli rządy satelickie nie poddadzą zasadniczej rewizji swych polityk w odniesieniu do problemu pracy, jeżeli nie opanują szybko kryzysu żywnościowego, jeżeli nie osiągną szybko postępu technicznego i organizacyjnego w wydobyciu węgla twardego — brak paliw może poważnie zagrozić planowej rozbudowie przemysłów w ujarzmionej Europie środk.-wschodniej.

Praca Jana Wszelakiego — jakkolwiek przeznaczona w pierwszym rzędzie dla ekonomistów — winna być przestudiowana przez wszystkich, którzy interesują się Europą środkowo-wschodnią i bezprzykładowymi przemianami gospodarczymi i socjalnymi jakie zachodzą na tym obszarze.

Lon.

Der MONAT

M I Ę D Z Y N A R O D O W Y M I E S I Ę C Z N I K
P O L I T Y C Z N O - L I T E R A C K I
P O D R E D A K C J ą M E L V I N A J. L A S K Y E G O

Berlin-Dahlem, Saargemünder Strasse 25.

Cena egzemplarza — 1 DM.

Listy do Redakcji

Szanowny i Drogi Panie Redaktorze,

Wrześniowy numer "Kultury", powróciwszy najwidoczniej z Kanady do Francji, trzy razy wędrował przez Atlantyk by dotrzeć do mnie dopiero w przedświątecznym okresie. Znalazłem w nim obok wnikliwego, jak zwykle, "Dziennika podróży do Niemiec" Hostowca oraz wybor-nych przekładów poezji murzyńskiej Łobodowskiego także i list p. Leszka Pogonowskiego — przedstawiciela dawnej RPPS czy też "PPS-Lewicy", polemizujący zaczepnie z moim wspomnieniem pośmiertnym o "Bazyli" — Kazimierzu Pużaku, drukowanym w Nr 5/43 "Kultury" w rubryce "Straty Kultury Polskiej". Choćby przeciwny jestem tasiemcowemu prawowaniu się na łamach prasy polskiej i mierzi mnie zapiekłe kauzyperdztwo pewnych emigracyjnych publicystów starszego pokolenia, to jednak trudno by mi było milczeniem pominąć niespro-wokowany atak p. Pogonowskiego; tym bardziej, że niezależnie od ak-centów czysto osobistej wycieczki niezbyt przejryste argumenty mego oponenta poruszają pewne istotne momenty historii Podziemia, zama-zując, być może bezwiednie, kontury między tym czym była postawa jednolita Polski Podziemnej, a w jej ramach stronnictwa WRN-PPS, a tym co stało się swoistą kiereńszczyzną, staczającą się po równi po-chyłej do folkfrontowej miazgi kapitulantów.

Jestem gotów przyznać rację tym wywodom p. Pogonowskiego, które dotyczą przynależności do anty-komunistycznego obozu związanej z nim grupy działaczy tzw. PPS-Lewicy. Spraw tych skomplikowanych choć ciekawych, nie rozvíjałem w artykule o Pużaku, gdyż "Bazyli", który był sercem i mózgiem WRN (Wolność, Równość i Niepodległość — kryptonim PPS w Podziemiu) zwalczał bez pardonu wszelkie od-lamowe grupy lewicowe, uważając iż istnienie ich jest wodą na so-wiecki młyn. Sam p. Pogonowski nie mało dostarcza argumentów na poparcie tej tezy Pużaka, wspominając szereg pro-komunistycznych rozłamów w swojej grupie, przy czym przemilcza te, które miały miej-sce jeszcze przed oportunistyczną dywersją Osóbk-Morawskiego i póź-niejszymi, powojennymi harcami eks-księdza Matuszewskiego i zwią-zanych z nim "lewicowych lewicowców" w krajowym, licencjonowanym PPS. (Pużak i Pajdak siedzieli wówczas w więzieniu moskiewskim). Pisząc wspomnienie o najtwardszym i najwspanialszym dla mnie przy-wódcy Podziemia nie widziałem potrzeby robienia jednocześnie reklamy grupkom, które tonąc w bałamutnym doktrynerstwie bruzdziły w pla-nowej scaleniowej akcji Pużaka, — człowieka o wyjątkowo jasno spre-cyzowanej niepodległościowej linii politycznej.

P. Pogonowski stara się podważyć ścisłość moich relacji takimi oto chwytami: "Lerskiemu udało się oderwać od PS (Polskich Socjalistów — dopisek mój) kilku zaledwie działaczy młodzieżowych z Leszkiem Raabe na czele". Przede wszystkim muszę się zastrzec, że zadania po-wierzone mi, jako emisariuszowi stronnictw jednolite narodowe, Na-czelnego Wodza — gen. Sikorskiego i Rządu RP miały dużo poważ-niejszy charakter niż "odrywanie" kogokolwiek skądkolwiek. Jednym z kilku czysto-politycznych fragmentów mojej ówczesnej misji krajo-wej było zreferowanie poglądów trzech wyżej wymienionych ośrodków londyńskich na cabokształt kwestii jednolite narodowej w kraju. Z za-gadnieniem tym wiązała się między innymi sprawa właściwej repre-zentacji polskich mas robotniczych w Krajowej Radzie Politycznej przy Delegacie Rządu. Tzw. "Londyn" dawał wówczas za moim po-sřednictwem po raz pierwszy stuprocentowe i jednolite poparcie WRN-owi, na czele którego stali wówczas Arciszewski, Pużak i Zaremba. To-też p. Pogonowski jako człowiek niezły w zakamarkach lewicowych na-szego Podziemia zorientowany, powinien był wiedzieć, że na tym od-cinku kluczową sprawą było nie odrywanie takich czy innych zespołów

ludzkich od poprzątkanych jednolitifrontowcami Polskich Socjalistów, ale w pierwszym rządzie przeprowadzenie w drodze wielu żmudnych pertraktacji by w KRP zamiast przedstawiciela PS zasiadł reprezentant prawdziwej PPS, jakim była jej podziemna kontynuacja WRN. W sprawie tej, obok zdecydowanego od dawną Komendanta Armii Kra-jowej, nieodżałowanego gen. Grot-Roweckiego, podobne stanowisko zajął nowy Delegat Rządu oraz władze tzw. "Kwadratu" — Stron-nictwa Narodowego.

Daleki jestem od tego, by przypisywać sobie w załatwieniu tej spra-wy dominującą zasługę, niemniej przyznać muszę, iż doznałem uczucia wielkiej satysfakcji, gdy biorąc na zaproszenie Delegata Rządu udział w zebraniu Krajowej Rady Politycznej, wczesną wiosną 1943 r. na Pradze, mogłem być świadkiem godnego wycofania się dotychczasowego przedstawiciela "Koła" z ramienia PS i "dania placu" reprezentan-towi WRN, którym był późniejszy Przewodniczący Rady Jedności Na-rodowej — Pużak. Decyzja ta nie była bynajmniej wynikiem jakichś moich manewrów wśród przyjaciół i kolegów przedwojennych na od-cinku młodzieży lewicowej, ale została powzięta przez ludzi odpowie-dzialnych za politykę PS, z którego cały szereg osób powróciło do PPS-WRN. Jeśli nazwisk do dziś ze zrozumiałych względów nie mogę podać, by nie zaszkodzić ludziom szpiclowanym w kraju, sądzę, że p. Pogonowski nie będzie nadal próbował ciągnąć mnie za język i wy-jaśnienia powyższe uzna za wystarczające. Natomiast nie dziwi mnie zupełnie, że jako członek byłej RPPS będzie mi pewnie nadal miał za złe sumienne wykonywanie zleceń emisariackich na sektorze socjalis-tycznym, zmierzających do scalenia politycznego Podziemia Polskiego nie tylko w stosunku do Berlina ale i do Moskwy.

Znamienne jest jednak, że p. Pogonowski postanowił adwokatować komunistom, biorąc ich w obronę przed nie tyle zresztą moją co Raa-bego sugestią, iż to im zależało na likwidacji pewnych niebezpiecznych i mających na lewicy polskiej wpływy ludzi. Pisałem więc: — "jeden z najciekawszych przywódców socjalistycznych młodego pokolenia Le-szek Raabe oświadczył mi, iż komuniści wydali wyrok śmierci na trzech młodych działaczy lewicowych — na niego, Rosińskiego z Krakowa oraz na mnie". P. Pogonowski raduje się, że "sugestia autora "Wspom-nienia o Bazyli", że Leszek Raabe zginął z rąk komunistycznych, aczkolwiek logiczna, nie może być udowodniona". Nie zamierzam kru-szyć kopii z p. Pogonowskim o alibi komunistów w tej sprawie. Raabe otrzymał ostrzeżenie od kogoś, czyjego nazwisko znowu nie jestem je-szcze w stanie ujawnić, ponieważ osobnik ten odgrywa pewną rolę w reżimowej aparaturze krajowej a nie jestem pewien czy powiadomił nas ze zwykłą gadulstwą, czy też po znajomości, ze względu na ja-kąś szczątkową przyzwoitość. Tego rodzaju zamiary komunistów nie byłiby na odcinku polskim niczym nowym, jeśli uświadomimy sobie, że już w pierwszych latach okupacji sowieckiej szczególnie dotkliwie ucierpiała lewica, której cały szereg przywódców z prezesem lwowskiej Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej Longinem Chmielewskim na czele zostało zlikwidowanych. Nb. aresztowany został również i zaginał bez śladu w więzieniach rosyjskich jeden z głównych działaczy komu-nistycznych wśród lwowskiej młodzieży uniwersyteckiej, Tadeusz Wró-bel, który wraz z gronem najsilniejszych polskich komunistów ośmielił się podpisać memoriał, domagający się od Stalina zerwania kompromitu-jącego paktu Ribbentrop-Mołotow, będącego podstawą wrześniowego rozbioru Polski.

P. Pogonowski nie poprzestaje na rzeczowej polemice z moimi wy-wodami, ale pozwala sobie jednocześnie na złośliwe ataki pod adre-sem mojej osoby oraz organizacji "NiD", której jestem jednym z wiceprzewodniczących. Pisze mianowicie: — "Nieznane mi są motywy, dlaczego p. Lerski zalicza siebie do działaczy lewicowych. Czyżby z tego względu, że był kiedyś sekretarzem Tomasza Arciszewskiego? To raczej tłumaczy szereg niesocjalistycznych pociągnięć londyńskich epi-gonów WRN-u i uznanie NiD'u za partię polityczną w ramach kon-kurencyjnej Rady..."

Nie jestem w stanie pojąć co wspólnego z moim wspomnieniem

śp. Pużaku mają pretensje p. Pogonowskiego do Polskiego Ruchu Wolnościowego "Niepodległość i Demokracja". Jeśli zaś idzie o moją osobistą przeszłość polityczną, to chociaż nie zamierzam się z p. Pogonowskim licytować na "lewicowość" — mam prawo sądzić, że Raabe którego cytowałem, miał podstawy by mnie zaszeregować jako działacza lewicowego, grubo zanim Tomasz Arciszewski zapronował mi w jesieni 1944-go roku objęcie funkcji sekretarza Premiera. Co prawda u p. Pogonowskiego cnotę "lewicową" posiadli jedynie ci, którzy umieszcili się "na lewo" od atakowanych przez niego załadle Arciszewskiego, Kwapińskiego i Zaremby oraz całego, wojennego WRN. Przy takim systemie szufladkowania istotnie trudno by mnie było pomieścić w obozie p. Pogonowskiego i towarzyszy, zwłaszcza, że nie będąc marksistą zawsze większe mam zaufanie do tradycyjnej linii reprezentowanej przez wyżej wymienionych przywódców PPS niż do ekwilibrystyki odszczepieńców. Jest rzeczą zabawną, że w latach przedwojennych jako prezes Polskiej Młodzieży Społeczno-Demokratycznej we Lwowie, współdziałającej bardzo ściśle z młodzieżą PPS, z ZNMS, z Wiciami, z Polską Akademią Młodzieży Ludową, atakowany byłem stale przez moich wszechpolskich i sanacyjnych oponentów jako niebezpieczna "żydokomuna". M. inn. w związku z akcją przeciw idiotycznemu ghettu ławkowemu i tragicznym antysemickim ekscesom zostałem napađnięty przez bojówkę prawniczych studentów i odniosłem pięć ciężkich ran w głowę. Za walkę z Ozonem i rzędem sanacyjnym byłem dwukrotnie sądzony. Raz w związku z wydaną przeze mnie odezwą przeciw polityce Becka na Zaolziu, drugi raz w wyniku kampanii demokratycznej w okresie wyborów samorządowych, kiedy jako mówca, po raz pierwszy zetknąłem się na wiecu w domu im. Daszyńskiego z Kazimierzem Pużakiem.

Dziś, kiedy pojęcia lewicy i prawicy tracą w naszym uniwersalnym konflikcie swe sloganowe nawet znaczenie — wobec faktu że podjęliśmy walkę na śmierć i życie z największą "lewicową" tyranią świata, mniej mi już zależy na tym, jaką etykietkę zechce mi łaskawie przyczepić p. Pogonowski czy ktokolwiek inny. Doceniam nadal w pełni znaczenie sprawiedliwości społecznej i fascynują mnie zagadnienia związane z przyszłą "reformą reform" — niemniej uważam, że gdy miasto płonie i pożar narasta, nie pora segregować strażaków na brunetów, blondynów i filatelistów.

Z wysokim poważaniem

Jerzy LERSKI.

Sao Paulo, Brazylia, 23 marca 1952 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Z największą przyjemnością przeczytałem artykuł p. Łobodowskiego pt. "Przeciw upiorom przeszłości", zamieszczony w Nr 2/52-3/53 "Kultury". Artykuł jest tak dobrze napisany i tak wyczerpujący zagadnienie, że mimo najlepszych chęci, nie mogę nic do niego dodać. Wszystko co piszę dalej jest właściwie powtórzeniem myśli autora. Podziwiam p. Łobodowskiego za jego odwagę powiedzenia prawdy w oczy i jednej i drugiej stronie. Obie zawiniły. Śmiem jednak wyrazić nadzieję, że jego trudy nie pójdą na marne i może kiedyś nadejdą znów czasy gdy, tak jak dawniej, malinowy sztandar kozacki i złoty sztandar koronny będą na polu bitwy znów walczyć "piersz przy piersi" ze wspólnym wrogiem. Może znów usłyszy się okrzyki, jak niegdyś, z dawnych lat: "Puskaj, bat'ku, my z Lachami chozom umiraty!".

Proszę przyjąć wyrazy głębokiego poważania.

Adam POLAKIEWICZ

92, Clova Rd., London E.7., 28.3.1952.

Szanowny Panie Redaktorze,

Czuje, że p. Łobodowski będzie w opalach i dlatego chcę dać znać, że w swoich poglądach nie jest zupełnie osamotniony.

Na sprawę ukraińską — lat temu dziesięć — miałem poglądy p. Giertycha, chociaż już wtedy wyczuwałem jakąś nieszczerść — z tym "ludem". Przez te dziesięć lat wiele się zmieniło na świecie. Powstało sporo nowych państw — owoce dążeń różnych narodów o których nie było wiele słycać w 1918 r. To chyba powinno pobudzić do stwierdzenia, że rzeczy te nie zostały zatrzymane w biegu i poglądy które były słuszne w r. 1900 a nieomal słuszne w 1918 r. są zupełnie błędne dziś.

Uwaga jednego Ukraińca w "Wiadomościach" (polemizująca z artykułem Giertycha) trafia w sedno: Ukraińcy w 1920 mieli nieporównanie słabsze poczucie swojej odrębności narodowej niż dziś. Nie ma nic bardziej pobudzającego ducha narodu jak okresy swobody i przesładoń wciąż się przeplatające.

Wielu naszym publicystom zdaje się, że sam fakt "sztucznego stworzenia" ruchu ukraińskiego przez Austrię i podsyćanie go przez Niemców dyskredytuje go jako ruch prawdziwie narodowy. Bardzo to duży błąd. Chyba większość ruchów narodowych w naszych czasach jest albo wzniesiana albo podsyćana przez jakieś mocarstwo (dla własnych celów).

Ruchy narodowe słowiańskie popierała w Cesarstwie Austriackim — Rosja, która dziś podburza nacjonalistów perskich czy egipskich. Indonezjacy powołali do życia Japończycy, protegowali Amerykanie. Niemcy, oprócz Ukraińców protegowali też Litwinów (i... Górali). Naprawdę, chyba nie wiele z młodych ruchów narodowych nie ma dziś żadnego możnego protektora. Nie tu jądro sprawy.

Autentyczność lub sztuczność ruchu narodowego można poznać po tym co się dzieje gdy protektor się wycofa, zmieni politykę — lub zniknie, tak jak np. Austria zniknęła jako mocarstwo po pierwszej wojnie światowej. Jeśli ruch był sztuczny to też zniknie, zgaśnie jak "Gorahlen". Jeśli autentyczny, to choć słaby, chwyci za broń jak Ukraińcy w obu wojnach, z uporem będzie szukał nowego protektora (bo jasne, że słabi, wśród nieprzyjaciół, muszą się o kogoś oprzeć — to tylko my, Polacy, chcemy prowadzić niezależną politykę opartą o: finanse — Skarb Narodowy i wojsko — Earl's Court), z wytrwałością będzie budował życie kulturalne i organizacyjne. Tyle o "ludzie" czy "szczępie".

Gdy w rozmowach o popieraniu, czy też nie, przez nas ruchu ukraińskiego słyszę w odpowiedzi: "Rosja nam nigdy tego nie przebaczy", to po pierwsze kojarzy mi się to z powiedzeniem Hitlera: "Benito, nigdy ci tego nie zapomnę" (bo jest tak samo groteskowe) a po drugie pachnie jakimś sowieckim biurem propagandy. Jak ludzie, którzy kląrują Anglosasom, że są głupkami, gdy myślą, że ich granice znajdują się na Renie — "bo przecież one leżą co najmniej na Wiśle", mogą ogłaszać totalne "desinterressement" wobec tego co się dzieje po drugiej stronie Zbrucza?

Jak ludzie, którzy na powiedzenie Anglików w związku z granicą na Odrze: "Niemcy wam tego nigdy nie przebaczą", umieją znaleźć dobre argumenty o konieczności tej granicy mimo że niewątpliwie budzi ona wściekłość niemiecką? Jednym z kontrargumentów jest to, że po narodzie, który (bez granicy na Odrze i Nysie) wymordował nam 5 milj. mieszkańców trudno spodziewać się jeszcze zwiększenia nienawiści. Zdaje się, że i dla sąsiada ze wschodu powodem do "nie przebaczenia nam nigdy" — jest sam fakt naszego istnienia. Tu leży najtrudniejszy problem. Wskutek fanatycznego imperializmu, barbarzyństwa i nienasyconych żądań względem Polski — niestety nie jest dla nas możliwe, nawet na krótszy okres czasu sprzymierzyć się z jednym sąsiadem — kolosem przeciw drugiemu i grać na "zmianie stron" w korzystnej chwili. W ciągu ostatnich 150 lat stawaliśmy się z nurzącą jednostajnością pastwą to jednego, to obu sąsiadów-kolosów. Polityka

polska zaiste ma — i będzie miała — wąski wybór: albo z 80 milionami techno-barbarzyńców na 200 milionów neandertalów albo na odwrót. Sami przeciw żadnemu z tych kolosów nic nie zrobimy, sprzymierzeńcy zachodni na czas nigdy nie pomogą, tak przewaga tych olbrzymich naszych przeciwników jest miążdżąca. Federacja narodów Środkowej Europy jest jedynym wyjściem, ale i tak będziemy w niej zawsze pierwszą ofiarą, na którą spadną ciosy.

I dlatego nadzieja, że jeden z kolosów może być rozbity i że na Wschodzie byłyby dwa państwa organicznie sobie przeciwne, jest jedyną szansą, że beznadziejną monotonie naszych klęsk będzie można przerwać. Niewątpliwie wrogiem Nr 1 dla Rosji, zdrajcą wyłamującym się z "bratniej rodziny narodów" — byłaby Ukraina. Antagonizm rosyjsko-ukraiński byłby intensywniejszy od ukraińsko-polskiego, a nawet może od rosyjsko-polskiego. Dopiero w takich warunkach gra polityczna byłaby możliwa. Tak długo jak mamy zjednoczone Niemcy za jednego, a jednolitą Rosję za drugiego sjaśniada, nie możemy z nimi rozmawiać, bo one nie są w naszej skali: będziemy dla nich fraszką na wojnie, fraszką jako partner do federacji a nawet fraszką jako mniejszość narodowa. Stworzenie Federacji Środkowo-Europejskiej tego nie kończy, bo one nie są w naszej skali: będziemy dla nich fraszką na wojnie, fraszką jako partner do federacji a nawet fraszką jako mniejszość narodowa. Stworzenie Federacji Środkowo-Europejskiej tego nie kończy, bo one nie są w naszej skali: będziemy dla nich fraszką na wojnie, fraszką jako partner do federacji a nawet fraszką jako mniejszość narodowa. Stworzenie Federacji Środkowo-Europejskiej tego nie kończy, bo one nie są w naszej skali: będziemy dla nich fraszką na wojnie, fraszką jako partner do federacji a nawet fraszką jako mniejszość narodowa.

Ma słuszność p. Łobodowski, że nie należy obawiać się zbytnio kombinacji Ukraina-Niemcy (nie wchodząc w prawdopodobieństwo jej powstania). Kombinacja Rosja (plus Ukraina)-Niemcy jest dla nas dużo bardziej zabójcza, a przy niepodległej Ukrainie kombinacja Rosji i Ukrainy i Niemców przeciw Polsce (lub Federacji) — nie do pomyślenia.

Natomiast proponowane załatwienie sporu o ziemię południowo-wschodnie wydaje się niezbyt realne. Federacja — czy nie — jakaś granica administracji być musi. Kondominium nawet wewnątrz jednej federacji będzie trudne do przeprowadzenia. Jedyna rada to ustępstwa: Ukrainy od Sanu a nas od Zbrucza. Wiem, że taka prosto z mostu mowa okrzyczana bywa "zdradą" w Londynie — któryś tam artykuł Konstytucji, podobno. Wiem także, że to oznacza wysiedlenie mieszkających tam obecnie ludzi sprowadzenie Polaków z Ziemi Odzyskanych. Podaję w wątpliwość, czy przeprowadzenie tego przesiedlenia i przez to przekreślenie możności współpracy z Ukrainą jest dla Polski korzystne. Lecz jakiegokolwiek ustępstwa polskie na wschodzie są nieodłącznie związane z zachowaniem całości Ziemi Odzyskanych. I Ukrainy powinni o tym dobrze wiedzieć. Dlatego za najlepszą receptę na zgodę polsko-ukraińską podaję:

Granica na Odrze i Nysie!

Dając Niemcom ochłapek ich dawnych ziem w naszych przyjaciół ich nie przeminimy. Najdrobniejsze natomiast ustępstwo na wschodzie może zadecydować o możliwości współpracy polsko-ukraińskiej.

Z poważaniem.

Mikołaj WIERZBA

Szanowny Panie Redaktorze,

W 45/46 numerze "Kultury" ukazał się ciekawy artykuł p. Wiktora Ostrowskiego pt. "Genealogia Polonii argentyńskiej". Artykuł ten zainteresował mnie szczególnie z tej przyczyny, iż jestem jeśli nie jedynym, to chyba jednym z bardzo nielicznych dziennikarzy i pisarzy polsko-argentyńskich, związanym z obu krajami, z Polską duchem i pochodzeniem, z Argentyną urodzeniem i wychowaniem.

Jak słusznie zauważył p. Ostrowski, emigracja polska do Argentyny składała się przeważnie z elementu chłopsko-robotniczego, przybyłego tu w poszukiwaniu kawałka chleba. Była jednak zawsze pewna grupa inteligencji, choć niewątpliwie — "było jej mniej niż rodzynek w chudym cieście". Wśród tej grupki były jednostki, które odegrały dość poważną rolę w życiu Argentyny, zapisując się chlubnie w jej dziejach i stając się prawdziwymi ogniwami przyjaźni i duchowej łączności pomiędzy obu narodami. Szereg nazwisk tego typu wymienia p. S. Pyzik w swej ciekawej i pracowicie opracowanej książce pt. "Los Polacos en la Republica Argentina".

W niniejszym liście pragnę podać, jako przyczynek do artykułu p. Ostrowskiego i pracy p. Pyzika, parę danych o działalności śp. ojca mego, inżyniera Bernarda W. Zakrzewskiego, który w czasie gdy Argentyna wkroczyła w okres intensywnej modernizacji i rozwoju technicznego, oddał bardzo poważne usługi swoją wiedzą fachową. Nazwisko mego ojca wymienia p. Pyzik w swej pracy, a p. Ostrowski wspomina je wśród członków "Komitetu Funduszu" powstałego 4 października 1914 r. w Buenos Aires w celu zbierania funduszy na sprawę polską, bez podawania jednak bliższych danych. Tym celowsze wydaje mi się podanie poniższych danych biograficznych:

Śp. ojciec mój urodził się w r. 1874 w majątności Kokorzyn w powiecie kościańskim a województwie poznańskim, jako syn Władysława, właściciela ziemskiego i posła na Sejm Pruski i Wandę z Kosińskich, wnuczki generała napoleońskiego i jednego z twórców Legionów włoskich, Amilkara Kosińskiego. Po ukończeniu gimnazjum w Lesznie, studiował na Politechnice w Karlsruhe a potem w Charlottenburgu, gdzie w r. 1899 otrzymał dyplom inżyniera.

W roku 1904 wyjechał jako asystent profesora Kummera z Politechniki w Charlottenburgu do Uruguaju, gdzie pracował przy budowie nowoczesnego portu w Montevideo, aby po krótkim czasie przenieść się do Buenos Aires, oddając swe usługi argentyńskiemu Ministerstwu Robót Publicznych.

Na stanowisku inżyniera pierwszej klasy ojciec mój wykonał szereg projektów i przeprowadził wiele poważnych prac inżynierskich, które uczyniły jego nazwisko powszechnie znanym. Wymienię tu spośród większych prac parę najważniejszych:

projekt i wykonanie mostu żelaznego, zwodzonego na rzece Riachuelo w porcie Buenos Aires;

projekt i wykonanie robót sanacyjnych i osuszenie miasta Resistencia, jak również przyległych nizin nad rzeką Paraguay;

studium regulacji i umożliwienie żeglugi na rzece Bermejo, dopływie rzeki Paraguay;

przeprowadzenie drogi kołowej nie podlegającej zalewom poprzez dwadzieścia parę kilometrów szeroką dolinę rzeki Corrientes;

projekt i budowę mostu żelaznego o trzech przęsłach nad rzeką Mendoza w Uspallata w wysokich Kordylierach, etc.

W roku 1907 rząd argentyński wydelegował ojca na kilka miesięcy do Europy, celem odbioru zamówionych w Niemczech konstrukcji żelaznych i pogłębiarek.

W roku następnym, z polecenia Ministerstwa robót publicznych i na specjalną prośbę gubernatora prowincji Mendoza, Don Emilio Civit, ojciec mój objął stanowisko dyrektora robót publicznych tejże prowincji. Na tym stanowisku przeprowadził znaczne prace regulacji miasta, założył wspaniały park u podnóża Kordylierów, oraz rozbudował potężną sieć kanałów odwadniających kilkadziesiąt tysięcy hektarów ziemi, użyźnianej spiętrzonymi wodami rzek górskich.

W roku 1911 założył ojciec własne biuro inżynierskie w Buenos Aires. Poza ogromną ilością prac pomniejszych na zamówienia prywatne, wykonał w tym okresie szereg studiów dla nowo powstających linii kolejowych, szereg mostów dla zarządu miejskiego miasta Buenos Aires, duży most na rzece Quequen Grande w prowincji Buenos Aires, a w r. 1915, na zamówienie ministerstwa spraw wojskowych, kompleks budynków koszarowych dla 6 pułku piechoty w Mercedes. Z okazji inauguracji tych koszar wybity został pamiątkowy medal brązowy, którego jeden egzemplarz wręczył ojcu prezydent republiki, Dr Victorino de la Paz.

Po pierwszej wojnie światowej śp. ojciec mój podążył by oddać swe usługi odrodzonemu po latach niewoli Państwu Polskiemu. Objął stanowisko naczelnika Wydziału Komunikacyjno-Budowlanego przy województwie w Poznaniu, pełnił całkiem bezinteresownie funkcje komisarza dla odbioru statków przyznanych Polsce na rzece Odrze, a z ramienia Ministerstwa Spraw Zagranicznych, komisarza Rządu dla likwidacji spraw granicznych polsko-niemieckich. Jako taki podpisał w imieniu R.P. układ międzynarodowy w sprawie żeglugi na Warcie (Dz. Ustaw Nr 26 z r. 1928). Za pracę swą został odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi oraz krzyżem "Polonia Restituta".

Gdy we wrześniu 1939 nawała niemiecka runęła na Polskę, ojciec mój, wraz z całym sztabem administracyjnym województwa poznańskiego został wyewakuowany na wschód. Zmęczone intensywną pracą serce nie wytrzymało dni wrześniowych, a szczególnie wiadomości o zgonie jednego z synów w bitwie pod Kutnem. Dnia 20 września zmarł nagle na udar serca pod wsią Wielkoryte powiatu Brześć nad Bugiem i tam został tymczasowo pochowany.

Polsce i Argentynie oddał pracę swą i swą wiedzę, stając się jednym z tych pionierów, co ponieśli imię polskie za oceany i położyli fundamenty pod genealogię obecnej Polonii Argentyńskiej.

Kreślę się z głębokim poważaniem

Jan WYSSOGOTA-ZAKRZEWSKI.

DO PRENUMERATORÓW "KULTURY".

Zawiadamiamy, że każdorazowa zmiana adresu pociąga za sobą dodatkową opłatę w wysokości 35 frs. (badź równowartości), którą należy przekazywać do Redakcji lub do przedstawiciela za pośrednictwem którego "Kultura" jest prenumerowana.

KORESPONDENCI "KULTURY"

Korespondentem Londyńskim "Kultury" jest p. J. Mieroszewski.
Adres: 21, Fentiman Road, London S.W. 8, Telefon REL. 41-33.

Korespondentem Berlińskim "Kultury" jest p. Jerzy Prądzyński.
Adres: Hanauerstr. 80, Berlin-Wilmersdorf. Telefon 83 42 23.

Wydawca: Edition et Librairie „LIBELLA”, 12, rue St-Louis en l'Île, Paris (IV*).
Directeur-gérant: M^{me} Christiane Karasiewicz.

Dépôt légal: 2^e trimestre 1952.

KULTURA

REDAKTOR — JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 1, Avenue Corneille, Maisons-Laffitte (Seine-et-Oise).
Telefon: Maisons Laffitte (S.-et-O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA

FRANCJA: Libella, 12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris IV*.
W. BRYTANIA: «Gryf» Publications Ltd., 169/171, Battersea Church Road, London, S.W.11.
WŁOCHY: Ewa Wierusz-Kowalska, Corso Trieste 130/5, Roma
SZWECJA: Red. Norbert Zaba, Kallskärgatan 3/IV, Stockholm
NIEMCY: «Ostatnie Wiadomości», 17a, Mannheim-Sandhofen, 4094 LSCO Schöna, U.S. Zone
ARGENTYNA: Tadeusz Dąbrowski, «Składnica Książki Polskiej», Av. Leandro N. Alem 641, Buenos Aires
KANADA: Books and Newspapers Agency, H. R. Radomski, 83 Front St. E. Toronto/Ont.; Stan. L. Opolski, 880 Barton St. E. Hamilton/Ont. Krystyna Krakowska, 2290 Av. Marcil, Notre Dame de Grâce, Montreal/Que. Stan. L. Leński, 570, Aberdeen Ave., Winnipeg/Man. Stanisław Zybala, 1089 Queen St. W., Toronto/Ont.
U.S.A.: Józef Białasiewicz, 1165 Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill.; W. Bienkowski, „Gryf Publ.”, 808 Wager Str., Utica, N.Y.; L. Dudarew-Osetyński, 28471 Ventura Blvd Azoura, California; M. K. Dziewanowski, 27 Aberdeen Ave., Cambridge, Mass.; Christian M. Kretowicz, 1828 Glenwood Ave., Toledo 2, Ohio; Andrzej Pleśczyński, P.O. Box 750, Santa Barbara, California; M. Szyrowski, 11 Cooper Street, New York 34, N.Y.; Kazimierz Trojanowski, 8805 Neal St., Detroit 14, Mich.; S. Dziarczykowski, 3216 W. — 15 St., Los Angeles 19, California.
BELGIA i KONGO BELG.: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 132, Av. Maréchal Joffre, Bruxelles-Forest. Nr konta pocztowego 7315-20.
AFRYKA POŁUDNIOWA: Janusz Kruszyński, 71, Raglan Street, Sydenham, Johannesburg
AUSTRALIA: «Vistula» (Australia) PTY, Ltd., 77, Pitt Street, Sydney
BRAZYLIA: Prenumeraty przyjmują: Julia Barcińska, r. Erasmo Braga 227 s. 214, Rio de Janeiro, oraz Zofia Kietlińska, Av. Batel 1514, Curitiba, Parana; Walery Bader, Barao de Limeira 915, apto 58, Sao Paulo
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 53, rue de Lausanne, Genève
MEKSYK: Victor Stanisławski, Apartado Postal 206, Culiacan, Sin

Egz. poj.	Prenumerata	
	½-roczna	Roczna
150 fr.	900 fr.	1800 fr.
3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
250 lir	1500 lir	2500 lir
3 kr.	15 kor.	28 kor.
2,50 DM	15 DM	25 DM
10 peso	60 peso	120 peso
75 cent.	4 dol.	6 dol.
75 cent.	4 dol.	6 dol.
30 bfr.	145 bfr.	260 bfr.
3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
5 sh. (a.)	£A 1.7.6.	£A2.12.6.
15 cruz	90 cruz	150 cruz
2 fr. szw.	12 fr. szw.	22 fr. szw.
0,75 cent.	4 dol.	6 dol.

W krajach niewymienionych prenumeratę liczymy tak jak we Francji, doliczając na koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie.

Koszta przesyłki pojedynczego numeru: 30 fr. fr.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres: Jerzy GIEDROYC, 1, Av. Corneille, Maisons-Laffitte (S.-et-O.).

Redakcja KULTURY rękopisy nadesłane a nie zamówione zwraca jedynie przy załączeniu znaczków w pocztowych na porto

KULTURA omawia w pierwszym rzędzie książki i czasopisma nadsyłane do redakcji w 2-ch egzemplarzach

Cena ogłoszeń: cała strona 10.000 fr.; ½ strony 6.000 fr. fr.

OSTATNIE WIADOMOŚCI

jedyne pismo polskie w strefie amerykańskiej Niemiec.

Ukazuje się trzy razy tygodniowo.

W każdą niedzielę dodatek.

Korespondenci: we Francji, W. Brytanii, Włoszech,
Kanadzie, Stanach Zjednoczonych, Wenezueli,
Argentynie, Australii i Nowej Zelandii.

Ogłoszenia: 1 cm. 1 łam. — 4,20 DM (1 dol.). Za słowo
w ogł. drobnych 0,20 DM (5 ct. am.)

Redakcja, administracja, drukarnia:

**17a, MANNHEIM-SANDHOFEN, 4094 LSCO Schönau
US Zone, Germany.**

PREUVES

Cahiers Mensuels du Congrès
pour la Liberté de la Culture

*défend l'indépendance spirituelle de l'homme
partout où elle est menacée.*

Le numéro de 64 pages, illustré 70 fr.
Abonnement annuel : France 700 fr.
Etranger 1.000 fr.

PREUVES : 41, avenue Montaigne — PARIS (8^e)

Téléphone : ELY 56-61 et 63 — C.C.P. : 17.800 Paris.

NUMÉRO SPÉCIMEN SUR DEMANDE.

KONTAKTE

MIESIĘCZNE SPRAWOZDANIA Z KONGRESU
WOLNOŚCI KULTURY W NIEMCZECH.

Bezpłatna wysyłka

poprzez niemieckie przedstawicielstwa w:

Frankfurt/Main-Sachsenhausen, Stegstrasse 36

Berlin-Zehlendorf, Schmarjestrasse 4

Cena 150 frs.